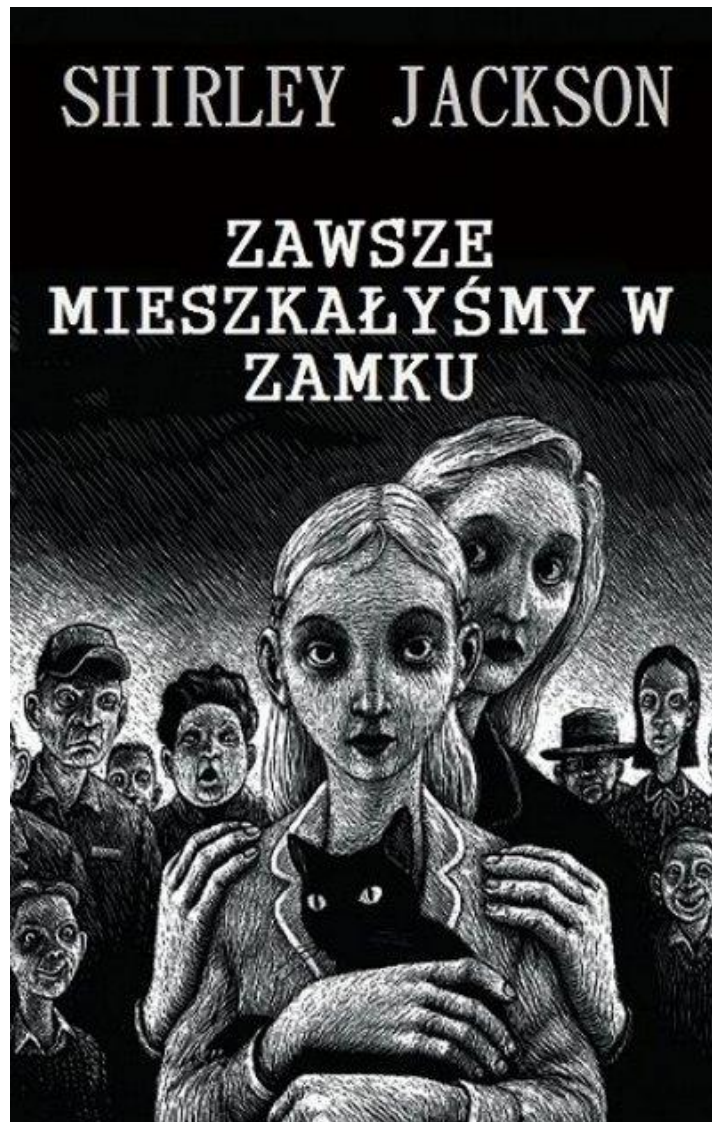




Shirley Jackson

**ZAWSZE MIESZKAŁYŚMY W
ZAMKU**

Przełożyła Ewa Horodyska



Państwowy Instytut Wydawniczy

ՀԱՅԿ

Pascalovi Covici

I

Nazywam się Mary Katherine Blackwood. Mam osiemnaście lat i mieszkam z siostrą Constance. Często myślę, że przy odrobinie szczęścia mogłam urodzić się wilkołakiem, bo dwa środkowe palce obu moich rąk są tej samej długości, ale muszę zadowolić się tym, czym obdarzyła mnie natura. Nie lubię mycia, psów i hałasu. Lubię moją siostrę Constance, Ryszarda Plantageneta i *Amanita phalloides*, muchomora sromotnikowego. Reszta mojej rodziny nie żyje.

Ostatnio, kiedy przeglądałam książki z biblioteki stojące na kuchennej półce, okazało się, że termin ich zwrotu upłynął prawie pół roku temu, i zastanowiłam się, czy wybrałabym inne, gdybym wiedziała, że to będą ostatnie książki i że już na zawsze zostaną na naszej półce. Rzadko przenosiliśmy rzeczy; rodzina Blackwoodów nigdy nie zdradzała skłonności do wędrówek i przeprowadzek. Stykaliśmy się wprawdzie z drobnymi, nietrwałymi przedmiotami: książkami, kwiatami, łyżkami, ale głębiej tkwiło w nas przywiązanie do trwałych dóbr. Zawsze odkładaliśmy rzeczy na miejsce. Wymiataliśmy kurz spod stołów i krzeseł, łóżek, obrazów, dywanów i lamp, lecz one same zostawały tam, gdzie były; nigdy nie przesunęliśmy nawet o cal szylkretowego kompletu przyborów na toaletce matki. Blackwoodowie mieszkali w tym domu od zawsze i utrzymywali w nim porządek; kiedy wprowadzała się tu kolejna pani Blackwood, znajdowano miejsce na jej rzeczy — i tak w naszym domu gromadziły się warstwy dobytku Blackwoodów, balast i mur obronny przeciw światu.

Książki z biblioteki przyniosłam do domu w piątek, pod koniec kwietnia. Piątki i wtorki były dla mnie straszne, bo musiałam chodzić do miasteczka. Ktoś musiał iść do biblioteki i do sklepu; Constance nigdy nie ruszała się poza ogród, a stryj Julian nie mógł. A zatem to

nie дума ani upór wypędzaly mnie dwa razy w tygodniu do miasteczka, lecz po prostu potrzebowalimy ksiazek i jedzenia. Byc moze dum sprawiala, ze przed powrotem do domu zachodzilam do Stelli na filiżankę kawy; powiedzialam sobie, ze to z dumy, i nie ominelabym Stelli, chocbym nie wiem jak pragnela znalezc sie w domu, ale wiedzialam rowniez, ze Stella zauwazylyby mnie, gdybym przeszla obok nie wchodzac, i moglyby pomyslec, ze sie boje, a tego juz bym nie zniosla.

— Dzień dobry, Mary Katherine — mawiala zawsze Stella, przecierajac ladę wilgotną ściereczką — jak się dzisiaj miewasz?

— Bardzo dobrze, dziękuję.

— A Constance Blackwood dobrze się czuje?

— Bardzo dobrze, dziękuję.

— A on?

— Zupełnie nieźle. Poproszę czarną kawę.

Jeśli ktoś wchodził i siadał przy ladzie, zostawiałam kawę i bez pośpiechu wychodziłam, skinawszy Stelli głową na pożegnanie.

— Bądź zdrowa — rzucala machinalnie.

W bibliotece starannie wybieralam ksiazki. Mieliśmy, oczywiście, ksiazki w domu, zapełnialy dwie ściany gabinetu ojca, ale ja lubilam baśnie i ksiazki historyczne, a Constance te o jedzeniu. Stryj Julian nigdy nie wzial ksiazki do ręki, ale lubil patrzec na Constance czytającą wieczorami, kiedy pracowal nad swoimi notatkami, i od czasu do czasu spogladal na nia, kiwajac głową.

— Co czytasz, moja droga? Uroczy widok, dama z ksiazką.

— Czytam coś, co nazywa się *Sztuka gotowania*, stryjku.

— Zachwycające.

Oczywiście nigdy nie milczyliśmy zbyt długo w obecności stryja Juliana, lecz nie przypominam sobie, aby któraś z nas kiedykolwiek otworzyła choć jedną z pożyczonych książek stojących teraz na kuchennej półce. Wyszłam z biblioteki pewnego pięknego kwietniowego ranka; świeciło słońce i wszędzie wokół spod warstwy brudu dziwnie przebijały fałszywe obietnice wiosennego przepychu. Pamiętam, że stałam na schodach biblioteki trzymając książki i wpatrując się przez chwilę w delikatną zieleń gałęzi na tle nieba, i jak zawsze żałowałam, że nie mogę wrócić do domu krocząc po niebie, a nie przez miasteczko. Mogłam od razu przejść na drugą stronę ulicy i iść dalej aż do sklepu kolonialnego, ale to by oznaczało, że muszę minąć dom towarowy i siedzących przed nim mężczyzn. W tym miasteczku mężczyźni pozostawali młodzi, kobiety zaś starzały się pod wpływem szarego, niedobrego znużenia i czekały milczące, aż mężczyźni wstaną i wrócą do domów. Mogłam iść tą stroną ulicy i przeciąć ją dopiero na wysokości sklepu; wolałam to, choć musiałam przechodzić obok poczty i domu Rochesterów ze stertami przerdzewiałej blachy na podwórzu, popsutymi samochodami, pustymi kanistrami po benzynie, starymi materacami, armaturami i baliami, które rodzina Harlerów przywiozła z sobą i które — w co święcie wierzę — kochała.

Dom Rochesterów był najładniejszym domem w miasteczku i dawniej posiadał bibliotekę z orzechową boazerią, salę balową na piętrze oraz mnóstwo róż wokół werandy. Urodziła się w nim nasza matka i zgodne z prawem powinien należeć do Constance. Postanowiłam, jak zawsze, że bezpieczniej będzie przejść obok poczty i domu Rochesterów, choć nie lubiłam patrzeć na dom, w którym urodziła się matka. Rano po tej stronie ulicy było przeważnie pusto, ponieważ padał na nią cień, ja zaś i tak musiałam minąć dom towarowy po wyjściu ze sklepu, a mijanie go w obydwie strony przekraczało moje siły.

Za miasteczkiem, przy Hill Road, River Road i Old Mountain, ludzie tacy jak Clarke'owie i Carringtonowie pobudowali nowe, piękne domy. Musieli przejeżdżać przez miasteczko, aby dostać się do Hill

Road i River Road, ponieważ główna ulica była zarazem stanową autostradą, ale dzieci Clarke'ów i Carringtonów chodziły do prywatnych szkół, a jedzenie dostarczano do kuchni przy Hill Road z większych miast. Samochód dowoził pocztę z miasteczka przez River Road aż do Old Mountain, ale mieszkańcy Mountain wysyłali listy z innych miejscowości, a mieszkańcy River Road jeździli do wielkomiejskich fryzjerów.

Dziwiło mnie zawsze to, że ludzie z miasteczka, mieszkający w brudnych domkach przy głównej drodze albo przy Creek Road, z uśmiechem kiwali głowami i machali do przejeżdżających Clarke'ów czy Carringtonów. Kiedy Helen Clarke wchodziła do sklepu Elberta, żeby kupić puszkę przecieru pomidorowego lub funt kawy, o których zapomniała kucharka, wszyscy mówili jej „dzień dobry” i stwierdzali, że pogoda się poprawia. Dom Clarke'ów jest nowszy niż dom Blackwoodów, lecz wcale nie jest ładniejszy. Nasz ojciec sprowadził pierwszy fortepian, jaki widziano w miasteczku. Carringtonowie są właścicielami papierni, ale do Blackwoodów należy cała ziemia między autostradą a rzeką. Shepherdowie z Old Mountain dali miasteczku ratusz — biały, o spadzistym dachu, okolony zielonym trawnikiem, z armatą stojącą od frontu. Była kiedyś mowa o wprowadzeniu podziału na strefy, wyburzeniu chałup przy Creek Road i rozbudowie miasteczka, tak aby pasowało do ratusza, ale nikt nawet palcem nie kiwnął; może myśleli, że Blackwoodowie zaczną wówczas uczęszczać na zebrania rady miejskiej. Mieszkańcy miasteczka załatwiają w ratuszu karty wędkarskie i łowieckie, a raz w roku przyjeżdżają na zebranie Clarke'owie, Carringtonowie i Shepherdowie, którzy uroczyście głosują za usunięciem śmietniska Harlerów z Main Street oraz ławek sprzed domu towarowego i co roku zostają dziarsko przegłosowani przez pozostałych. Za ratuszem odchodzi w lewo Blackwood Road, która prowadzi do domu. Blackwood Road otacza wielkim kołem posiadłość Blackwoodów, a wzdłuż całej drogi ciągnie się ogrodzenie z drutu, postawione przez naszego ojca. Niedaleko za ratuszem stoi duży czar-

ny głąz oznaczający początek ścieżki przeciętej bramą, którą otwieram i zamykam za sobą, a później przechodzę przez lasek i jestem w domu.

Ludzie z miasteczka zawsze nas nienawidzili.

Podczas zakupów grałam w pewną grę. Wyobrażałam sobie te dziecięce gry, w których plansza jest podzielona na małe pola, a gracz wykonuje ruch zgodnie z rzutem kostką; zawsze istnieją jakieś zagrożenia, na przykład: „tracisz jedną kolejkę” albo „cofasz się o dwa pola”, albo „wracasz na start”; ale są także korzyści, takie jak: „idź trzy pola naprzód” czy „zyskujesz dodatkowy ruch”. Dla mnie punktem startu była biblioteka, a metą czarny kamień. Musiałam posuwać się główną drogą, następnie zaś przejść na drugą stronę i dojść do czarnego kamienia, który oznaczał wygraną. Zaczęłam nieźle, ruszając pustą, bezpieczną stroną Main Street, i mógł to być jeden z lepszych dni; bywało tak wiosną, choć niezbyt często. Gdyby ten dzień okazał się dobry, złożyłabym później cenną ofiarę na znak wdzięczności.

Ruszyłam szybko, biorąc na początek głęboki oddech i nie rozglądając się; niosłam książki z biblioteki i torbę na zakupy i obserwowałam ruchy własnych stóp, jedną za drugą; stóp w starych brązowych butach po matce. Czułam, że z budynku poczty ktoś mnie obserwuje — od sześciu lat nie odbieraliśmy listów i nie mieliśmy telefonu, bo nie moglibyśmy tego znieść — ale potrafiłam wytrzymać owo spojrzenie; była to stara panna Dutton, która nigdy nie gapiła się otwarcie, jak inni, tylko zerknęła spoza okiennic lub zasłon. Nigdy nie patrzyłam na dom Rochesterów. Nie mogłam znieść myśli, że nasza matka tam się urodziła. Zastanawiałam się czasami, czy Harlerowie wiedzą, że mieszkają w domu należącym do Constance; na ich podwórzu panował zawsze taki hałas, spowodowany przerwaniem blachy, że nie słyszeli, jak przechodzę. Może Harlerowie myśleli, że ten

nieustanny metaliczny szczęk odstraszy demony, a może byli muzycykalni i podobały im się te odgłosy; może ich wewnętrzne życie wyglądało tak samo jak zewnętrzne: siedzieli na starych baliach i jedli obiad z wyszczerbionych talerzy, ustawionych na szkielecie starego forda, szczękając puszkami i wrzeszcząc do siebie. Chodnik przy domu Harlerów zawsze pokryty był warstwą brudu.

W następnym ruchu przechodziłam na drugą stronę ulicy (tracisz kolejkę), gdzie mieścił się sklep kolonialny. Wahałam się za każdym razem, słaba i bezbronna, na skraju drogi, którą mknęły rozpędzone samochody. Dla większości pojazdów Main Street była trasą przelotową, auta i ciężarówki pędziły autostradą i kierowcy rzadko mnie zauważali. Rozpoznawałam miejscowych po ich szybkich, paskudnych spojrzeniach i zawsze się zastanawiałam, co by było, gdybym wkroczyła na szosę — czy samochód skręciłby z nienacka, niemal mimowolnie, w moją stronę? Ot tak, żeby mnie przestraszyć, żebym uskokoczyła? A potem śmiech, zewsząd, zza okiennic poczty, z ławek przed domem towarowym, spoza drzwi sklepu kolonialnego; wszyscy z uciechą obserwują Mary Katherine Blackwood umykającą spod kół samochodu. Czasami tracę dwie, a nawet trzy kolejki, zanim przejdę, bo czekam, aż ulica zrobi się pusta.

W połowie drogi wychodzę z cienia w jaskrawe, złudne kwietniowe słońce; jeszcze przed lipcem żar nadtopi drogę i moje stopy ugrzęzną w niej, przez co przeprawa stanie się bardziej niebezpieczna (Mary Katherine Blackwood, uwięziona w asfalcie, usiłuje wydobyć się spod samochodu; wróć i zacznij grę od początku), a budynki będą jeszcze brzydsze. Całe miasteczko było odlane z jednej formy, jednego czasu i stylu, jak gdyby ludzie potrzebowali brzydoty i karmili się nią. Domy i sklepy sprawiały wrażenie ustawionych w bezmyślnym pośpiechu, by zapewnić schronienie ludziom niechlujnym i niemiłym, a dom Rochesterów i dom Blackwoodów, nawet ratusz, zostały tu sprowadzone, może przypadkiem, z jakiejś dalekiej, cudownej krainy, gdzie mieszkają ludzie z klasą. Może ktoś zawładnął tymi wspaniały-

mi domami —karząc Rochesterów i Blackwoodów za zło ukryte w ich sercach — i uwięził w miasteczku? Może ich powolny rozkład odzwierciedlał brzydotę mieszkańców? Rząd sklepów przy Main Street był monotoniem szary. Właściciele mieszkali na piętrze w zwykłych mieszkaniach, a zasłony w ich oknach były blade i bezbarwne; każda barwa blakła szybko w tym miasteczku. To nie Blackwoodowie rzucili urok na miasteczko; należało ono do mieszkańców i stanowiło jedyne odpowiednie dla nich miejsce.

Zbliżając się do rzędu sklepów zawsze myślałam o zgniliźnie, o palącej, czarnej, bolesnej zgniliźnie, która drąży od środka i przynosi straszne cierpienie. Tego im życzyłam.

Miałam przy sobie listę zakupów; Constance sporządzała ją we wtorki i piątki przed moim wyjściem z domu. Ludziom z miasteczka nie podobało się, że miałyśmy zawsze pod dostatkiem pieniędzy na wszystko; brałyśmy, oczywiście, pieniądze z banku, ale wiem, że wszyscy mówili o majątku ukrytym w naszym domu, zupełnie jakby spoczywały tu wielkie stosy złotych monet, którymi Constance, stryj Julian i ja zabawiamy się wieczorami, porzuciwszy na chwilę lekturę książek z biblioteki, i przesypujemy złoto między palcami, licząc je, ustawiając w słupki i rozrzucając, a przy tym drwimy i stroimy szydercze grymasy zza zamkniętych drzwi. Przypuszczam, że wielu zawistników z miasteczka łaknęło naszych stosów złota, ale byli tchórzami i bali się Blackwoodów. W sklepie razem z listą zakupów wyjęłam z torby portmonetkę, żeby Elbert widział, że mam pieniądze, i nie mógł wymówić się od obsłużenia mnie.

Nie miało znaczenia, kto był w sklepie. Nigdy nie czekałam na obsługę; pan Elbert albo jego blada, chciwa żona zawsze wybiegali z jakiegoś kąta, by podać mi wszystko, czego sobie zażyczyłam. Czasami, w wakacje, kiedy pomagał im starszy syn, uprzedzali go w pośpiechu, żeby przypadkiem nie natknął się na mnie, a raz, gdy jakaś dziewczynka — nie z miasteczka, rzecz jasna — podeszła do mnie w

sklepie, pani Elbert odciągnęła ją tak gwałtownie, że miała aż krzyknęła. Po długiej chwili ciszy, pełnej oczekiwania, pani Elbert nabrała powietrza i spytała: „Coś jeszcze?” Zawsze prostowałam się i sztywniałam, kiedy podchodziły do mnie dzieci, bo się ich bałam. Bałam się, że mnie dotkną, a wtedy ich matki rzucają się na mnie z pazurami, jak drapieżne ptaki; zawsze tkwił we mnie ten obraz: pikujące, agresywne ptaki o szponach ostrych jak brzytwa. Tego dnia miałam kupić dużo różnych rzeczy dla Constance i z ulgą stwierdziłam, że w sklepie nie ma dzieci, a kobiet jest niewiele. Masz dodatkowy ruch, pomyślałam, i powiedziałam panu Elbertowi „dzień dobry”.

Skinął mi głową; nie mógł mnie zupełnie zlekceważyć, a kobiety w sklepie obserwowały go czujnie. Odwróciłam się do nich plecami, ale wyczuwałam za sobą ich obecność; stały trzymając puszki, torby z ciasteczkami albo główki sałaty i nie zamierzały się poruszyć, dopóki nie wyjdę, aby mogły podjąć rozmowę i dać się ponieść fali własnego życia. Gdzieś tam była pani Donell; zauważyłam ją wchodząc i zastanawiałam się, czy przyszła specjalnie w ten sam dzień co ja, gdyż zawsze usiłowała coś powiedzieć; była jedną z nielicznych, które się odzywały.

— Poproszę kurczaka — powiedziałam do pana Elberta, a jego chciwa żona otworzyła zamrażarkę po drugiej stronie sklepu, wyjęła kurczę i zaczęła je pakować. — I jagnięce udko — dodałam. — Stryj Julian zawsze nabiera ochoty na jagnię, gdy nadchodzi wiosna.

Wiedziałam, że nie powinnam była tego mówić, bo przez sklep przebiegło ciche westchnienie, jak wstrzymywany krzyk. Pomyślałam, że gdybym im powiedziała to, co naprawdę chciałam powiedzieć, czmychnęłyby jak króliki, ale i tak czekałyby na mnie na zewnątrz.

— Cebula — zwróciłam się uprzejmie do pana Elberta — kawa, chleb, mąka. Orzechy — dodałam — i cukier, zabrakło nam cukru. — Z tyłu dobiegł cichy, lękliwy śmiech; pan Elbert omiółł mnie szybkim spojrzeniem i spuścił oczy na towary, które układał na ladzie. Po

chwili pani Elbert przyniosła zapakowane mięso i położyła obok innych zakupów. Nie musiałam się odwracać, dopóki nie byłam gotowa do wyjścia.

— Dwie kwarty mleka — powiedziałam. — Ćwierć kwarty śmietany i funt masła. — Harrisowie nie dostarczali nam nabiału od sześciu lat i dlatego kupowałam mleko i masło w sklepie. — I tuzin jaj. — Constance zapomniała dopisać jajka do listy, ale w domu zostały tylko dwa. — I jeszcze blok fistaszkowy — dorzuciłam. Stryj Julian będzie dzisiaj chrząścił i chrupał nad papierami, a potem cały lepki położy się do łóżka.

— Blackwoodowie zawsze lubili dobrze zjeść. — To był głos pani Donell gdzieś zza moich pleców; ktoś zachichotał, a ktoś inny powiedział: „Szszzsz.” Nawet się nie odwróciłam; wystarczyło, że czułam za sobą ich obecność, nie musiałam oglądać ich płaskich, szarych twarzy o pełnych nienawiści oczach. Życzę wam wszystkim śmierci, pomyślałam, pragnąc powiedzieć to na głos. Constance powtarzała mi: „Niczego po sobie nie pokazuj” i „Jeśli zwrócisz na siebie uwagę, będzie jeszcze gorzej”; miała zapewne rację, ale ja i tak życzyłam im śmierci. Miło byłoby wejść któregoś ranka do sklepu i zobaczyć ich wszystkich, nawet Elbertów i dzieci, w agonii, wijących się z bólu. Obsłużyłabym się sama, pomyślałam, przekroczyłabym ich ciała i wzięłabym z półek wszystko, na co przyszłaby mi ochota, a potem poszłabym do domu, być może wymierzając po drodze kopniaka pani Donell. Nigdy nie wstydziłam się tych myśli, żałowałam tylko, że nie mogą się spełnić. „Nie powinnaś ich nienawidzić

mówiła Constance — to osłabia tylko ciebie.” Ale ja i tak ich nienawidziłam i zastanawiałam się, po co w ogóle zostali stworzeni.

Pan Elbert ustawił wszystkie moje zakupy na ladzie i czekał, wpatrując się w przestrzeń za moimi plecami.

— To wszystko — powiedziałam, a on, nie patrząc na mnie, spał i podsumował ceny, po czym wręczył mi kartkę, żebym sprawdziła, czy mnie nie oszukał. Zawsze skrupulatnie sprawdzałam jego rachunki, choć nigdy się nie mylił; niewiele miałam możliwości odegrania się na nich, ale robiłam, co mogłam. Zakupy wypełniły dwie torby i musiałam zanieść je do domu, innego wyjścia nie było. Oczywiście nikt nie zaproponowałby mi pomocy, nawet gdybym tego oczekiwała.

Tracisz dwie kolejki. Szłam powoli, dźwigając zakupy i książki z biblioteki, i musiałam przejść obok domu towarowego, aby dotrzeć do Stelli. Przystanęłam w drzwiach sklepu, szukając po omacku w sobie jakiejś myśli, która pozwoliłaby mi poczuć się bezpiecznie. Z tyłu dobiegły mnie szmery i pokasływania. Szykowali się, by znowu zacząć rozmawiać, i zapewne z ulgą przewracali do siebie oczyma. Moja twarz skamieniała. Dzisiaj zamierzałam myśleć o lunchu w ogrodzie; uchyliłam powieki za ledwie na tyle, by widzieć, dokąd idę — brązowe buty matki unosiły się i opadały - a w myślach przykrywałam stół zielonym obrusem i stawiałam na nim żółte talerze i truskawki w białej misce. Żółte nakrycia, myślałam, czując na sobie spojrzenia mężczyzn, a stryj Julian dostanie grzankę z jajkiem na miękko i przypominę Constance, żeby okryła go szalem, bo to przecież dopiero wczesna wiosna. Nawet nie patrząc widziałam ich grymasy i gesty; życzyłam im wszystkim śmierci i deptałam po ich trupach. Rzadko zwracali się bezpośrednio do mnie, najczęściej do siebie nawzajem. „To Blackwoodówna — dobiegł mnie czyjś wysoki, szyderczy głos — jedna z sióstr Blackwood z farmy Blackwoodów.” „Przykra sprawa z tymi Blackwoodami — odezwał się głośno ktoś inny — bardzo przykra dla tych biednych dziewcząt.” „To ładna farma — mówili — dobra ziemia pod uprawę. Można by się wzbogacić na ziemi Blackwoodów. Gdyby się żyło milion lat, miało trzy głowy i nie dbało o to, co tam rośnie. Trzymają ziemię pod kluczem, ci Blackwoodowie.” „Można

się wzbogacić." „To przykre dla tych dziewcząt." „Nie wiadomo, co wyrośnie na ziemi Blackwoodów."

Depczę po ich trupach, myślałam, jemy lunch w ogrodzie i stryj Julian ma szal na ramionach. Na tej drodze zawsze ścisnęłam mocno torbę z zakupami, bo pewnego strasznego ranka upuściłam ją i jajka się potłukły, a mleko wylało. Zebrałam, co mogłam, słysząc przy tym ich okrzyki, i powtarzałam sobie, że nie ucieknę, choćby nie wiem co; gwałtownie wpychałam do torby puszki, pudełka i rozsypany cukier, powtarzając sobie, że nie ucieknę.

Przed domem Stelli była pęknięta płyta chodnikowa, a szczelina wyglądała jak wyciągnięty palec i znajdowała się tam od zawsze. Inne drogowskazy, takie jak odcisk dłoni Johnny'ego Harrisa w cementowym fundamencie ratusza czy inicjały małego Muellera na ganku biblioteki, pojawiły się za mojej pamięci; byłam w trzeciej klasie, kiedy budowano ratusz. Ale szczelina przed domem Stelli istniała od zawsze, tak jak sama Stella. Pamiętam, że przejeżdżałam tamtędy na wrotkach i uważałam, by na niej nie stanąć, bo wtedy mama mogłaby skrócić kark. Mijałam to miejsce na rowerze, z rozwianym włosiem, a mieszkańcy miasteczka nie darzyli nas wówczas tak jawną niechęcią, choć ojciec mówił, że i tak są nic niewarci. Matka powiedziała mi raz, że ta szczelina istniała już w czasach, gdy ona była panną i mieszkała u Rochesterów, więc na pewno znajdowała się tu, kiedy matka poślubiła ojca i zamieszkała na farmie Blackwoodów. Przypuszczam, że ta szczelina w kształcie palca była tu od czasu, gdy zbudowano miasteczko ze starego, zszarzałego drewna i z jakiegoś nieprawdopodobnego miejsca sprowadzono tych brzydkich ludzi o złych twarzach, aby ich tu osiedlić.

Stella kupiła ekspres do kawy i wstawiła marmurową ladę za pieniądzę z ubezpieczenia po śmierci męża, ale odkąd mogłam sięgnąć pamięcią, były to jedyne zmiany u Stelli; przychodziliśmy tu z Constance po szkole i wydawałyśmy nasze drobne, a przy tym codziennie

kupowałyśmy popołudniową gazetę dla ojca, żeby miał co czytać wieczorami. Teraz już nie brałam gazety, ale Stella nadal ją sprzedawała, podobnie jak czasopisma, cukierki i szare pocztówki z widokiem ratusza.

— Dzień dobry, Mary Katherine — powiedziała, kiedy usiadłam przy ladzie i postawiłam zakupy na podłodze. Życząc całemu miasteczku śmierci, myślałam czasami, że mogłabym oszczędzić Stellę, bo była mi najbliższa z nich wszystkich i jej jednej udało się zachować jakiś kolor. Była okrągła i różowa, a gdy wkładała jasną perkalową sukienkę, zawsze trwało dobrą chwilę, zanim wtopiła się w brudną szarość.

— Jak się dziś miewasz? — spytała.

— Bardzo dobrze, dziękuję.

— A czy Constance Blackwood ma się dobrze?

— Bardzo dobrze, dziękuję.

— A on?

— Zupełnie nieźle. Poproszę czarną kawę.

Prawdę mówiąc, wołałam kawę z cukrem i śmietanką, bo bez nich jest bardzo gorzka, ale ponieważ przychodziłam tu tylko z dumy, poprzestawałam na absolutnym minimum.

Jeżeli ktoś zaglądał do Stelli, kiedy ja tam byłam, wstawałam i wychodziłam cicho, ale czasami miałam pecha. Tego ranka, za ledwie Stella postawiła moją kawę na ladzie, w drzwiach pojawił się jakiś cień, a Stella spojrzała i powiedziała: „Dzień dobry, Jim.” Podeszła do rogu lady i czekała, aż gość usiadzie, abym mogła wyjść niepostrzeżenie; ale to był Jim Donell i od razu wiedziałam, że mam dzisiaj pecha. Niektórzy z mieszkańców miasteczka mieli prawdziwe twarze, które potrafiłam rozpoznać i których nienawidziłam, każdej z osobna;

należeli do nich Jim Donell i jego żona, bo ich niechęć była celowa, a nie tępa i pochodząca z nawyku, jak u innych. Większość ludzi zatrzymałaby się na końcu lady, obok Stelli, ale Jim Donell podszedł prosto do mnie i usiadł na najbliższym stołku, ponieważ chciał przynieść mi pecha, wiedziałam o tym.

— Coś słyszałem — powiedział, obracając się na stołku i patrząc na mnie z bliska — że podobno się wyprowadzacie.

Wolałabym, żeby usiadł nieco dalej; Stella podeszła do nas z drugiej strony lady i pragnęłam, żeby kazała mu się przesunąć, tak bym mogła wstać i wyjść bez przeciskania się obok niego.

— Słyszałem, że się wyprowadzacie — powtórzył dobitnie.

— Nie — odparłam, bo czekał na odpowiedź.

— To dziwne — powiedział, zerkając to na mnie, to na Stellę. — Przysięgłbym, że ktoś mi mówił o waszej rychłej wyprowadzce.

— Nieprawda — odparłam.

— Chcesz kawy, Jim? — zagadnęła Stella.

— Jak myślisz, Stello, kto puścił taką plotkę? Kto mógł gadać, że się wyprowadzają, choć nie ma w tym ani źdźbła prawdy?

Stella pokręciła głową, usiłując powstrzymać uśmiech. Zauważyłam, że moje palce szarpią papierową serwetkę, oddzierając rozek, i zmusiłam dłonie do bezruchu, ustalając zasadę: ilekroć zobaczę strzępek papieru, muszę pamiętać, że mam być miłsza dla stryja Juliana.

— Nie do wiary, jak te plotki się rozchodzą — stwierdził Jim Donell. Może czekała go prędką śmierć; może narasta już w nim zgnilizna, która go zabije. — Czy słyszałaś, żeby ludzie gdzieś tak plotkowali, jak u nas? — zwrócił się do Stelli.

— Zostaw ją w spokoju, Jim — powiedziała Stella.

Stryj Julian był stary i bliski śmierci, niestety, bliższy

śmierci niż Jim Donell, Stella czy ktokolwiek inny. Biedny, stary stryj Julian był umierający i postanowiłam być dla niego miłsza. Urządzimy piknik w ogrodzie. Constance przyniesie szal i okryje stryjowi ramiona, a ja położę się na trawie.

— Nikomu nie dokuczam, Stello. Czy ja komuś dokuczam? Pytam tylko pannę Mary Katherine Blackwood, dlaczego całe miasto gada o ich rychłej wyprowadzce. Ze niedługo wyjadą i zamieszkają gdzie indziej. — Zamieszał kawę; kątem oka widziałam krążącą łyżeczkę i chciało mi się śmiać. W tej łyżeczce było coś tak prostego i głupiego, podczas gdy Jim Donell nie przestawał mówić; byłam ciekawa, czy nadal by mówił, gdybym wyciągnęła rękę i zatrzymała łyżeczkę. Zapewne tak, powiedziałam rozsądnie do siebie, zapewne chlusnąłby mi kawą w twarz.

— I zamieszkają gdzie indziej — powtórzył posępnie.

— Przestań — powiedziała Stella. Postanowiłam uważniej słuchać opowieści stryja Juliana. Dobrze, że kupiłam blok fistaszkowy.

— A tak się martwiłem — podjął Jim Donell — że nasze miasto straci jedną ze świetnych, starych rodzin. To by była naprawdę wielka szkoda. — Obrócił się na stołku, bo ktoś stanął w drzwiach. Patrzyłam na swoje ręce złożone na kolanach i, oczywiście, nie miałam zamiaru sprawdzać, kto przyszedł, ale Jim Donell zawołał: „Joe!”, i wiedziałam, że to Durtham, ten cieśla.

— Joe, czyś kiedy słyszał coś podobnego? Całe miasto gada, że Blackwoodowie się wyprowadzają, a tu panna Mary Katherine mówi mi, że to nieprawda.

Na chwilę zapadła cisza. Wiedziałam, że Dunham wpatruje się ze zmarszczonymi brwiami w Jima Donella, a potem w Stellę i we mnie

rozważając to, co usłyszał, porządkując słowa i ustalając znaczenie każdego z nich.

— Czyżby? — odezwał się wreszcie.

— Słuchajcie, wy dwaj — zaczęła Stella, ale Jim Donell mówił dalej, odwrócony do mnie plecami, wyciągnąwszy nogi tak, żebym nie mogła go wyminąć i wyjść.

— Jeszcze dziś rano mówiłem ludziom, że źle się dzieje, kiedy stare rodziny odchodzą. Chociaż można bez obawy powiedzieć, że duża część Blackwoodów już odeszła. — Zaśmiał się i uderzył dłonią o ladę.

— Odeszła — powtórzył. Łyżeczka w jego filiżance znieruchomiała, ale on nie umilkł. — Miasteczko traci wiele ze swego stylu, kiedy odchodzą zacne, stare rodziny. Ktoś mógłby pomyśleć — dodał, cedząc słowa — że nie są mile widziane.

— No właśnie — wtrącił ze śmiechem Dunham.

— Mieszkają sobie w pięknym, starym domu, ogrodzonym, z prywatną drogą, i żyją elegancko.

Zawsze ciągnął, dopóki się nie zmęczył. Kiedy Jimowi Donellowi coś przyszło do głowy, powtarzał to bez końca i na tyle sposobów, na ile mógł, chyba dlatego że miał bardzo mało pomysłów i musiał wyżyć każdy do sucha. Ponadto wydawało mu się, że kiedy coś powtarza, brzmi to jeszcze śmieszniej. Wiedziałaś, że nie przestanie, dopóki nie będzie zupełnie pewien że nikt go nie słucha. Postanowiłam przestrzegać zasady: nigdy nie myśl o danej rzeczy więcej niż raz, i spokojnie złożyłam ręce na kolanach. Mieszkam na księżycu, powiedziałam sobie, mam swój własny rudy domek na księżycu.

— Cóż — rzekł Jim Donell; w dodatku śmierdział.

— Mogę każdemu powiedzieć, że znałem Blackwoodów. Nie pamiętam, żeby mnie zrobili coś złego, skądże znowu, dla mnie zawsze byli bardzo uprzejmi. Ale — dodał ze śmiechem — na kolacja to mnie nigdy nie zaprosili, co to, to nie.

— Dość już tego — przerwała ostro Stella. — Idź się czepiać kogo innego, Jimie Donell.

— Czy ja się kogoś czepiam? Myślisz, że c h c i a - ł e m iść do nich na kolację? Masz mnie za w a r i a t a?

— A ja — odezwał się Dunham — mogę każdemu powiedzieć, że raz naprawiłem im złamany schodek, a oni mi za to nie zapłacili. — Mówił prawdę. Constance kazała mi pójść do niego i powiedzieć, że nie zapłacimy za nieoheblowaną deskę przybitą krzywo do stopnia, skoro zamawialiśmy u stolarza nowy, porządny schodek. Kiedy wyszłam i oznajmiłam że nie zapłacimy, Dunham wykrzywił się, splunął, wziął młotek, oderwał deskę i rzucił ją na ziemię. „Zrób to sama”, powiedział mi, wsiadł do ciężarówki i odjechał.

— Nie zapłacili — powtórzył teraz.

— To musiało być jakieś przeoczenie, Joe. Idź od razu do panny Constance Blackwood, porozmawiaj z nią, a ona już dopilnuje, żebyś dostał, co ci się należy. Ale gdyby cię zapraszała na kolację, Joe, bądź twardy i powiedz pannie Blackwood: „Nie, dziękuję.”

Dunham parsknął śmiechem.

— To nie dla mnie — odparł. — Naprawiłem im schodek, a oni nigdy mi za to nie zapłacili.

— To dziwne — powiedział Jim Donell. — Zabierają się za odnawianie domu i w ogóle, choć cały czas myślą o wyprowadzce.

— Mary Katherine — odezwała się zza lady Stella, podchodząc do mnie — idź do domu. Zejdź z tego stołka i idź do domu. Nie będzie tu spokoju, póki nie znikniesz.

— O, to szczerą prawdą — przyświadczył Jim Donell. Stella spojrzęła na niego, a on cofnął nogi i pozwolił mi przejść. — Powiedz tylko słowo, Mary Katherine, a wszyscy przyjdziemy i pomożemy się wam spakować. Tylko słowo, Merricat.

— A siostrze możesz powiedzieć... — zaczął Dunham, ale ja byłam szybsza i wychodząc usłyszałam jedynie śmiech ich dwóch i Stelli.

Lubiłam mój dom na księżycu. Umieściłam w nim kominek, a na zewnątrz ogród (co może rosnąć na księżycu? Muszę zapytać Constance) i zamierzałam zjeść lunch w moim księżycowym ogrodzie. Na księżycu wszystko było bardzo jasne i miało dziwną barwę; mój domek był błękitny. Śledziłam ruchy własnych stóp, małych i brązowych, a torba z zakupami kołysała się lekko z boku. Wstąpiłam już do Stelli i teraz musiałam tylko minąć ratusz, który powinien być pusty, wyjąwszy ludzi rejestrujących psy, podliczających grzywny od kierowców, którzy przejeżdżali przez miasteczko, wysyłających zawiadomienia w sprawie wody, ścieków i śmieci, a także zabraniających innym palenia liści lub łowienia ryb. Ci wszyscy ludzie powinni siedzieć gdzieś w głębi ratusza, pogrążeni w pracy; nie musiałam się ich obawiać, chyba żebym łowiła ryby poza sezonem. Pomyślałam o okniach z księżycowych rzek i w tej samej chwili zobaczyłam młodych Harrisów, którzy kłócili się hałaśliwie na podwórku z kilkoma innymi chłopcami. Dostrzegłam ich dopiero po wyjściu zza ratusza i jeszcze mogłam zawrócić, pójść główną drogą aż do potoku, a potem dotrzeć do domu od drugiej strony, ale było już późno; niosłam zakupy i trudno byłoby mi brodzić w potoku w matczyńskich butach. Pomyślałam, że mieszkam na księżycu, i ruszyłam szybkim krokiem. Zauważyli

mnie natychmiast; wyobraziłam sobie, że wiją się z bólu, przeżarci zgnilizną, i głośno krzyczą. Pragnęłam, by skręcali się i płakali u moich nóg.

— Merricat — wołali — Merricat, Merricat! — i stanęli w szeregu za ogrodzeniem.

Zastanawiałam się, czy ich rodzice, Jim Donell, Dunham i brudny Harris, urządzali regularne musztry, ucząc dzieci z miłością i troską odpowiedniego ustawienia głosu; bo jak inaczej tyle dzieci nauczyłyby się tego tak dokładnie?

Merricat, rzecze Connie, chcesz herbaty kroplę, dwie?

O nie, rzecze Merricat, ty otrujesz mnie.

Merricat, rzecze Connie, chcesz pograć się we śnie?

Tam na cmentarzu, na grobu dnie!

Udawałam, że nie rozumiem ich języka; na księżycu nasza mowa była miękka i płynna i śpiewaliśmy w blasku gwiazd, spoglądając na stary, wysuszony świat. Byłam już pranie w połowie ogrodu.

— Merricat, Merricat!

— Gdzie Connie? Szykuje kolację?

— Chcesz herbaty?

Czułam się dziwnie, zanurzona w sobie, gdy tak szłam równo i sztywno wzdłuż płotu, stawiając stopy pewnie i bez widocznego pośpiechu; znajdowałam się wewnątrz samej siebie i wiedziałam, że oni na mnie patrzą; ukryłam się głęboko, ale słyszałam ich i widziałam kątem oka. Pragnęłam, żeby wszyscy padli martwi na ziemię.

— Tam na cmentarzu, na grobu dnie.

— Merricat!

Pewnego razu, kiedy przechodziłam, na ganek wyszła pani Harris; może chciała sprawdzić, dlaczego chłopcy tak się wydzierają. Stała tam przez chwilę, patrząc i słuchając, a ja przystanąłam i spojrzałam prosto na nią, spojrzałam prosto w jej matowe, tępe oczy. Wiedziałam, że nie powinnam się do niej odzywać i że mimo to się odezwę.

— Nie może ich pani powstrzymać? — spytałam, zastanawiając się, czy jest w tej kobiecie coś, do czego mogłabym przemówić, czy ona kiedykolwiek biegała radośnie po trawie, patrzyła na kwiaty, poznała zachwyty albo miłość. — Nie może pani?

— Dzieci — powiedziała nie zmieniając tonu, spojrzenia ani wyrazu tępego rozradowania — nie przezywajcie pani.

— Dobrze, mamó — odparł z powagą jeden z chłopców.

— Nie podchodźcie do płotu. Nie przezywajcie pań.

Poszłam sobie, a oni piszczeli i krzyczeli, podczas gdy kobieta stała na ganku i śmiała się głośno.

Merricat, rzecze Connie, chcesz herbaty kroplę, dwie?

O nie, rzecze Merricat, ty otrujesz mnie.

Ich języki spłoną, pomyślałam, poczują się tak, jakby połykali ogień. Ich gardła spłoną wypowiadając słowa, a w brzuchach poczują pożar gorętszy niż tysiąc płomieni.

— Do widzenia, Merricat! — zawołali, gdy mijałam róg ogrodzenia. — Nie wracaj zbyt prędko!

— Do widzenia, Merricat, pozdrów Connie!

— Do widzenia, Merricat!

Ale ja już dotarłam do czarnego kamienia i bramy, od której biegła nasza ścieżka.

II

Musiałam postawić torbę na ziemi, żeby otworzyć bramę; wisiała tam zwykła kłódka, którą mogło wyłamać nawet dziecko, ale był też znak TEREN PRYWATNY. NIE MA PRZEJŚCIA, i tego nie można było zlekceważyć. Nasz ojciec postawił bramy, założył kłódki i powiesił tablice, zamykając ścieżkę; przedtem wszyscy skracali sobie tędy drogę z miasteczka do zjazdu z autostrady, gdzie zatrzymywał się autobus. Dzięki naszej ścieżce, przechodząc obok naszych drzwi, zyskiwali około ćwierć mili. Matka niechętnie patrzyła na każdego, komu zachciało się przechodzić koło frontowych drzwi, i gdy ojciec sprowadził ją do domu Blackwoodów, musiał od razu zamknąć drogę i ogrodzić całą posiadłość, od autostrady aż do potoku. Na drugim końcu ścieżki znajdowała się następna brama, na której również wisiała kłódka i tablica z napisem TEREN PRYWATNY. NIE MA PRZEJŚCIA, lecz ja rzadko tamtędy chodziłam. „Autostradę zbudowano dla wszystkich”, mawiała matka, „a moje drzwi należą do mnie”.

Każdy, kto do nas przyjeżdżał, po odpowiednim zaproszeniu, korzystał z głównego podjazdu prowadzącego prosto od bramy przy autostradzie do naszego domu. Kiedy byłam mała, często wyobrażałam sobie, leżąc w sypialni na tyłach domu, podjazd i drogę jako skrzyżowanie tuż przed frontowymi drzwiami; z podjazdu korzystali dobrzy ludzie, czyści i zamożni, ubrani w atłasy i koronki, którzy mieli prawo nas odwiedzać, a ścieżką podkradali się niepewnie i służalczo mieszkańcy miasteczka. Nie mogą dostać się do środka, powtarzałam sobie leżąc w ciemnym pokoju i obserwując cienie drzew na suficie, już nigdy nie będą mogli dostać się do środka, bo droga jest na zawsze zamknięta. Czasami stawałam za ogrodzeniem, ukryta w krzakach, i ob-

serwowałam ludzi idących z miasteczka poboczem do zjazdu z autostrady. O ile mi wiadomo, odkąd ojciec założył kłódki na bramach, nikt nie próbował wejść na ścieżkę.

Wepchnęłam torbę z zakupami za ogrodzenie i starannie zamknęłam bramę, sprawdzając dla pewności kłódkę. Z chwilą dokładnego zatrzaśnięcia za sobą kłódki stawałam się bezpieczna. Na ścieżce było ciemno, ponieważ odkąd ojciec zarzucił pomysł czerpania zysków z naszej ziemi, pozwalał drzewom, krzewom i kwiatom rosnać, jak chciały; i wszędzie oprócz długiej łąki i ogrodów rósł gęsty zagajnik, którego ukryte dróżki znałam tylko ja. Kroczyłam ścieżką spokojnie, bo byłam już w domu i wiedziałam, gdzie postawić stopę i gdzie skręcić. Constance potrafiła nazwać każdą roślinę, ale mnie wystarczyło, że wiem, gdzie i jak rosną, i znajdowałam wśród nich niezawodne kryjówki. Jedynymi śladami na ścieżce były moje własne, wiodące do miasteczka i z powrotem. Za zakrętem mogłam napotkać ślady stóp Constance, bo czasami wychodziła po mnie tak daleko, ale większość jej śladów dostrzegałam w ogrodzie i domu. Dzisiaj dotarła aż do skraju ogrodu i zobaczyłam ją zaraz za zakrętem. Stała w słońcu, na tle domu, i pobiegłam jej na spotkanie.

— Merricat — powiedziała, uśmiechając się do mnie — zobacz, dokąd dzisiaj doszłam.

— Za daleko — odparłam. — Następnym razem pójdziesz za mną aż do miasteczka.

— Właściwie mogłabym — stwierdziła.

Przeszył mnie dreszcz, choć wiedziałam, że tylko droczy się ze mną, ale zaśmiałam się głośno.

— Nie byłabyś zachwycona — powiedziałam.

— Masz, leniuchu, pomóż mi to nieść. Gdzie mój kot?

— Poszedł łapać motyle, bo się spóźniłaś. Pamiętałaś o jajkach? Zapomniałam ci powiedzieć.

— Oczywiście. Zjedźmy lunch w ogrodzie.

Kiedy byłam małą, myślałam, że Constance jest zaczarowaną księżniczką. Próbowałam rysować jej portrety z długimi, złotymi włosami, oczyma namalowanymi najbłękitniejszą kredką i różowymi policzkami; te obrazki zawsze mnie zdumiewały, bo ona naprawdę tak wyglądała, nawet w najgorszych chwilach była różowo-biało-złota i nic nie potrafiło przyćmić tych barw. W moim świecie zawsze była najcenniejszą istotą. Ruszyłam za nią po miękkiej trawie, mijając kwiaty, które pielęgnowała, i weszłam do domu, a mój kot Jonasz wyskoczył spomiędzy grządek i pobiegł za mną.

Constance zaczekała za wysokimi frontowymi drzwiami, a ja weszłam po schodach do środka, postawiłam zakupy na stoliku w hallu i zamknęłam drzwi na klucz. Miały pozostać zamknięte aż do popołudnia, ponieważ nasze życie toczyło się przeważnie na tyłach domu, na trawniku i w ogrodzie, gdzie nikt obcy nie zaglądał. Front domu pozostawał zwrócony ku autostradzie i miasteczku, a my robiłyśmy, co nam się podobało za jego surową, nieprzystępną zasłoną. Utrzymywałyśmy ład w całym domu, ale korzystałyśmy z tylnych pokoiów, kuchni, sypialni i ciepłego pokoiku tuż za kuchnią, w którym mieszkał stryj Julian. Za domem rósł kasztan Constance, był tam śliczny, rozległy trawnik, za nim warzywny ogród Constance, a dalej drzewa ocieniające potok. Kiedy siadałyśmy na trawniku, nikt nie mógł nas zobaczyć.

Przypomniałam sobie, że mam być miłsza dla stryja Juliana, widząc go przy ogromnym starym biurku w rogu kuchni, gdzie przekładał swoje papiery.

— Pozwolisz stryjkowi zjeść kawałek bloku fistaszkowego? — spytałam Constance.

— Po lunchu — odparła.

Troskliwie wyjmowała zakupy z toreb; artykuły spożywcze zawsze były skarbem dla Constance i dotykała ich z cichym szacunkiem. Nie było mi wolno jej pomagać; nie było mi wolno przygotowywać posiłków ani zbierać grzybów, choć czasami przynosiłam jarzyny z ogrodu albo jabłka ze starego sadu.

— Będziemy mieli bułeczki — powiedziała Constance głosem niemal śpiewnym, ponieważ właśnie wyjmowała i chowała żywność. — Stryj Julian dostanie jajko na miękko z masłem, bułeczkę i trochę puddingu.

— Kleiku — odezwał się stryj Julian.

— Merricat dostanie coś chudego, pożywne i słonego.

— Jonasz złapie mi mysz — powiedziałam do kota, który siedział na moich kolanach.

— Zawsze bardzo się cieszę, kiedy wracasz do domu. — Constance przerwała swoje zajęcie i spojrzała na mnie z uśmiechem. — Częściowo dlatego, oczywiście, że przynosisz jedzenie. Ale także dlatego, że tęsknię za tobą.

— Zawsze bardzo się cieszę, kiedy wracam do domu — wyznałam jej.

— Czy to było bardzo przykre? — Musnęła przelotnie palcem mój policzek.

— Lepiej nie pytaj.

— Kiedyś tam pójdę. — Już po raz drugi wspomniała o wyjściu na zewnątrz i przeszył mnie dreszcz.

— Constance — przemówił stryj Julian. Podniósł z biurka kartkę papieru i wpatrywał się w nią marszcząc brwi. — Nie sądzę, abym zo-

stał powiadomiony, czy twój ojciec wypalił dziś rano cygaro w ogrodzie, jak zwykle.

— Z pewnością tak — odparła Constance. — Ten kot łowił ryby w potoku — zwróciła się do mnie. — Przyszedł cały zabłocony. — Złożyła torbę po zakupach, wsunęła ją do szuflady i ustawiła książki z biblioteki na półce, gdzie pozostały już na zawsze. Jonasz i ja mieliśmy siedzieć w kącie i nie przeszkadzać Constance w kuchni; miło było na nią patrzeć, gdy poruszała się wdzięcznie w blasku słońca i delikatnie dotykała jedzenia.

— Dzisiaj przychodzi Helen Clarke — powiedziałam. — Boisz się?

Odwróciła się do mnie z uśmiechem.

— Ani trochę — odparła. — Chyba jest ze mną coraz lepiej. I mam zamiar upiec rumowe ciasteczka.

— A Helen Clarke rzuci się na nie z krzykiem i pożre łapczywie.

Mimo wszystko miewaliśmy jeszcze gości, kilka znajomych osób, które przybywały od strony podjazdu. Helen Clarke jadała z nami podwieczorek w piątki, a pani Shepherd, pani Rice i stara pani Crowley zaglądały od czasu do czasu w niedzielę po kościele, aby powiedzieć, że spodobałyby się nam kazanie. Przyjeżdżały sumiennie, mimo iż nigdy ich nie odwiedzałyśmy, i spędzały z nami kilka obowiązkowych minut. Niekiedy przywoziły kwiaty z własnych ogródków albo książki, albo piosenki, które Constance mogłaby spróbować zagrać na harfie; rozmawiały uprzejmie, śmiały się nawet od czasu do czasu i niezmiennie zapraszały nas do siebie, choć wiedziały, że nie przyjdziemy. Były uprzedzająco grzeczne dla stryja Juliana, cierpliwie znosiły jego wynurzenia, proponowały nam przejażdżki samochodowe i uważały się za nasze przyjaciółki. Constance i ja zawsze dobrze o nich mówiłyśmy, bo wierzyły, że ich wizyty sprawiają nam przyjemność. Nigdy nie korzystały ze ścieżki. Gdy Constance oferowała im

sadzonki róż albo zapraszała do obejrzenia nowego, przyjemnego zestawu kolorów, szły z nią do ogrodu, lecz nigdy nie przekraczały ustalonych przez siebie granic; obchodziły ogród, opuszczały dom frontowymi drzwiami, wsiadały do samochodów i wyjeżdżały przez dużą bramę. Kilka razy państwo Carrington przyjechali zobaczyć, jak nam się wiedzie, ponieważ pan Carrington był bliskim przyjacielem naszego ojca. Nigdy nie weszli do domu i odmawiali poczęstunku, ale podjeżdżali pod frontowe schody i rozmawiali z nami przez chwilę, siedząc w samochodzie. „Jak sobie radzicie same? Czy potrzeba wam czegoś? Czy możemy coś dla was zrobić? Jak wam się powodzi?” Constance zawsze zapraszała ich do środka, ponieważ wychowano nas w przekonaniu, że niegrzecznie jest trzymać gości przed drzwiami, lecz Carringtonowie nigdy nie chcieli wejść do domu.

— Zastanawiam się — powiedziała myśląc o nich — czy Carringtonowie przyprowadziliby mi konia, gdybym ich poprosiła. Mogłabym na nim jeździć po tej długiej łące.

Constance odwróciła się i patrzyła na mnie przez chwilę, marszcząc lekko brwi.

— Nie poprosisz ich — odparła w końcu. — Nikogo o nic nie prosimy. Pamiętaj o tym.

— Żartowałam — uspokoila ją i uśmiechnęła się znowu. — Tak naprawdę to chciałabym mieć tylko skrzydlatego konia. Mogłabym zabrać cię na nim na księżyc i z powrotem.

— Pamiętam, że kiedyś chciałaś mieć gryfa — powiedziała. — No, a teraz, panno Bumelantko, biegnij nakryć do stołu.

— Zeszłego wieczoru strasznie się pokłócili — odezwał się stryj Julian. — Ona powiedziała; „Mam dość. Więcej tego nie zniosę, Johnie Blackwood”, a on na to: „Nie mamy wyboru.” Podśluchiwałem, oczywiście, pod drzwiami, ale przyszedłem za późno i nie usłyszałem, o co się kłócili. Przypuszczam, że o pieniądze.

— Rzadko się kłócili — zauważyła Constance.

— Byli dla siebie prawie zawsze uprzejmi, moja droga, jeśli to właśnie masz na myśli; zniechęcający przykład dla nas wszystkich. Moja żona i ja woleliśmy krzyczeć na siebie.

— Czasami wydaje mi się, że nie było tych sześciu lat — powiedziała Constance. Wzięłam żółty obrus i wyszłam do ogrodu, żeby nakryć do stołu. Z tyłu dobiegł mnie jej głos, mówiący do stryja Juliana. — Czasami czuję, że oddałabym wszystko, aby mieć ich tu z powrotem.

Jako dziecko wierzyłam, że kiedyś urosnę na tyle, by dosięgnąć górnej framugi okien w bawialni matki. Były to duże, pojedyncze okna, ponieważ dom zaprojektowano jako letni i ojciec założył ogrzewanie tylko dlatego, że nasza rodzina nie miała się dokąd przenieść na zimę. Prawnie należał nam się dom Rochesterów w miasteczku, lecz dawno już go straciliśmy. Okna bawialni sięgały od podłogi do sufitu i nigdy nie mogłam dotknąć górnej framugi; matka mówiła gościom, że jasnoniebieskie jedwabne zasłony na oknach mają czternaście stóp długości. W bawialni były dwa wysokie okna i dwa podobne w jadalni po drugiej stronie hallu, a z zewnątrz wydawały się wąskie i cienkie, przez co dom wyglądał posępnie i wyniośle. Wewnątrz jednak bawialnia była śliczna. Matka przywiozła z domu Rochesterów krzesła o złotych nogach i swoją harfę, a cały pokój lśnił od luster i połyskliwego szkła. Używałyśmy z Constance tego pokoju tylko wtedy, gdy Helen Clarke przychodziła na podwieczorek, ale zawsze utrzymywałyśmy w nim idealny porządek. Constance wchodziła na drabinkę, żeby umyć górne framugi okien, odkurzałyśmy dreздеńskie figurki na kominku, a ja obchodziłam pokój z miotłą owiniętą szmatką i przecierałam ozdobne zwieńczenia ścian, zadzierając głowę ku białym owocom i liściom, omiatając amorki i kokardy; zawsze kręciło mi się w głowie od patrzenia w górę i kroczenia w tył, i śmiałam się, gdy Constance

chwyciła mnie i podtrzymała. Pastowałyśmy podłogi i cerowałyśmy drobne rozdarcia w różowych, brokatowych obiciach na sofach i krzesłach. Nad każdym z wysokich okien był złoty lambrekin, kominiek otaczała złota ślimacznica, a na ścianie bawialni wisiał portret matki. „Nie zniosłabym nieporządku w moim pięknym pokoju”, mawiała nasza matka, i dlatego nie wolno nam było tu wchodzić; ale teraz starałyśmy się, by lśnił jak atłas.

Matka zwykła jadać podwieczorki z przyjaciółkami przy niskim stoliku obok kominka, dlatego Constance zawsze tam nakrywała. Siedziała na różowej sofie, naprzeciw portretu matki, a ja zajmowałam krzeselko w kącie i patrzyłam. Wolno mi było przynosić filiżanki i spodki i podawać kanapki i ciastka, ale nie mogłam nalewać herbaty. Nie lubiłam jeść, gdy ludzie mi się przyglądali, więc dostawałam podwieczorek później, w kuchni. Tamtego dnia, kiedy Helen Clarke po raz ostatni przyszła na podwieczorek, Constance nakryła do stołu jak zwykle, stawiając śliczne, różowe filiżanki z cienkiej porcelany, których zawsze używała nasza matka, i dwa srebrne półmiski, jeden z małymi kanapkami, a drugi ze specjalnie upieczonymi rumowymi ciasteczkami; dwa ciasteczka czekały na mnie w kuchni, na wypadek, gdyby Helen Clarke wszystkie zjadła. Constance siedziała spokojnie na sofie; nawet się nie poruszyła, a ręce trzymała złożone na kolanach. Czekałam przy oknie, wypatrując Helen Clarke, która zawsze zjawiała się punktualnie. Tylko raz zapytałam Constance: „Boisz się?”, a ona odparła: „Nie, ani trochę.” Nie odwracając się mogłam poznać po głosie, że jest spokojna.

Dostrzegłam samochód na podjeździe, a potem zauważyłam, że siedzą w nim dwie osoby, a nie jedna.

— Constance — powiedziałam — ktoś z nią przyjechał.

Constance milczała przez chwilę, po czym odpowiedziała dość stanowczo:

— Chyba wszystko będzie dobrze.

Odwróciłam się do niej i zobaczyłam, że siedzi spokojnie.

— Odprawię ją — stwierdziłam. — Nie powinna tego robić.

— Nie — powiedziała Constance. — Naprawdę sądzę, że wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

— Ale nie pozwolę cię straszyć.

— Prędzej czy później — odparła — prędzej czy później będę musiała zrobić pierwszy krok.

Przeszył mnie dreszcz.

— Chcę, żeby sobie pojechała.

— Nie — powiedziała Constance. — Absolutnie nie.

Samochód zatrzymał się przed domem i wyszłam do hallu, by otworzyć frontowe drzwi, które odryglowałam już wcześniej, ponieważ nieuprzejmie jest robić to przy gościu. Kiedy wyszłam na ganek, przekonałam się, że nie jest aż tak źle, jak myślałam; Helen Clarke nie przywiozła żadnej obcej osoby, tylko małą panią Wright, która już raz nas odwiedziła i była bardziej wystraszona niż ktokolwiek inny. Nie zdenerwuje Constance, ale Helen Clarke powinna była mnie uprzedzić, że z nią przyjedzie.

— Dzień dobry, Mary Katherine — powiedziała Helen Clarke wychodząc z samochodu i zbliżając się do schodków. — Śliczna wiosenna pogoda, nieprawdaż? Jak się miewa droga Constance? Przywiozłam Lucille. — Zachowywała się zuchwale, jak gdyby ludzie przeprowadzali tu codziennie prawie obce osoby na spotkanie z Constance, i byłam niezadowolona, że muszę się do niej uśmiechać. — Pamiętasz Lucille Wright? — zapytała, a biedna, mała pani Wright odezwa-

ła się cicho, że bardzo pragnęła przyjechać tu raz jeszcze. Przytrzymałam im drzwi i obie weszły do hallu. Nie miały na sobie płaszczy, bo dzień był rzeczywiście piękny, ale Helen Clarke okazała dość rozsądku, by nie wkraczać od razu do pokoju.

— Powiedz drogiej Constance, że jesteśmy — poleciała i wiedziałam, że daje mi czas, abym uprzedziła siostrę, więc wśliznęłam się do bawialni i powiedziałam do siedzącej spokojnie Constance:

— To pani Wright, ta wystraszona.

Constance uśmiechnęła się lekko.

— Dość niepewny ten pierwszy krok — zauważyła. — Wszystko pójdzie świetnie, Merricat.

W hallu Helen Clarke pokazywała pani Wright schody, opowiadając znajomą historię o rzeźbionym drewnie sprowadzonym z Włoch. Gdy wyszłam z bawialni, zerknęła na mnie i powiedziała:

— Te schody to jedna z najpiękniejszych rzeczy w naszej okolicy, Mary Katherine. Szkoda, że ukrywacie je przed światem. Lucille? — Przeszły do bawialni.

Constance doskonale panowała nad sobą. Wstała z uśmiechem i oznajmiła, iż cieszy się, że je widzi. Helen Clarke, z natury niezdarna, uczyniła ze zwykłego wejścia do pokoju i siadania na miejscu skomplikowany balet na trzy osoby; zanim Constance skończyła mówić, Helen Clarke potrafiła panią Wright, która poleciała w bok niczym źle odbita piłka w krokiecie i usiadła gwałtownie i najwyraźniej wbrew chęci na niewygodnym krzeselku w kącie. Helen Clarke skierowała się ku sofie, na której siedziała Constance, omal nie przewracając stolika; i choć w pokoju było dużo krzeseł i druga sofa, usiadła w końcu tuż przy Constance, co było krępujące, bo Constance nie znosiła obok siebie nikogo prócz mnie.

— No — powiedziała moszcząc się Helen Clarke — dobrze cię znowu widzieć.

— To bardzo miło, że nas pani zaprosiła — dodała pochylając się pani Wright. — Prześliczne schody.

— Ładnie wyglądasz, Constance. Pracowałaś w ogrodzie?

— Nie mogłam się powstrzymać w taki dzień jak dzisiejszy. — Constance zaśmiała się; bardzo dobrze sobie radziła. — To takie podniecające — zwróciła się do pani Wright. — Czy pani także uprawia ogród? Pierwsze słoneczne dni są takie podniecające dla ogrodników.

Mówiła trochę za dużo i za szybko, ale tylko ja to zauważyłam.

— Kocham ogród — odparła pani Wright z lekkim ożywieniem. — Bardzo kocham ogród.

— Jak się miewa Julian? — spytała Helen Clarke, zanim jeszcze pani Wright skończyła zdanie. — Jak się miewa stary Julian?

— Bardzo dobrze, dziękuję. Zapewne wypije dziś z nami filiżankę herbaty.

— Czy poznałaś Juliana Blackwooda? — zwróciła się Helen Clarke do pani Wright, która potrząsnęła głową.

— Oczywiście, bardzo chciałabym go poznać. Tyle słyszałam... — zaczęła i urwała.

— Jest nieco... ekscentryczny — powiedziała Helen Clarke uśmiechając się do Constance tak, jakby to była tajemnica, która teraz wyszła na jaw. Pomyślałam, że jeśli „ekscentryczny” znaczy, jak napisano w słowniku, „odbiegający od normy”, to znacznie bardziej ekscentryczna niż stryj Julian jest Helen Clarke ze swoimi niezdarnymi ruchami, niespodziewanymi pytaniami oraz obcymi osobami przywołanymi tu na podwieczorek. Stryj Julian żył sobie spokojnie, w sposób doskonale zaplanowany, płynny i gładki. Nie powinna mówić, że

ludzie czymś są, skoro nie są, pomyślałam przypominając sobie, że mam być miłsza dla stryja Juliana.

— Constance, zawsze należałaś do moich najbliższych przyjaciółek — mówiła teraz, a ja dziwiłam się, że nie zauważa, jak podobne słowa zrażają Constance. — Zamierzam udzielić ci pewnej rady i pamiętaj, że pochodzi ona od przyjaciółki.

Zapewne wiedziałam, co powie, bo przeszył mnie dreszcz; przez cały dzień wszystko zmierzało ku temu, co Helen Clarke miała teraz do powiedzenia. Skuliłam się na krześle i utkwiłam oczy w Constance, pragnąc, by wstała i uciekła, by nie słyszała słów, które padną za chwilę, lecz Helen Clarke podjęła:

— Jest wiosna, ty jesteś młoda, piękna, masz prawo być szczęśliwa. Wróć tio świata.

Kiedyś, jeszcze miesiąc temu, gdy trwała zima, podobne słowa zmusiłyby Constance do ucieczki; teraz zobaczyłam, że słucha z uśmiechem, choć kręci przy tym głową.

— Już wystarczająco długo pokutowałaś — powiedziała Helen Clarke.

— Bardzo bym pragnęła wydać skromny obiad... — zaczęła pani Wright.

— Zapomniałaś o mleku, pójdę po nie — zwróciłam się do Constance i wstałam, a ona spojrzała na mnie niemal ze zdumieniem.

— Dziękuję, kochanie — odparła.

Wyszłam z bawialni do hallu i ruszyłam w stronę kuchni; rano kuchnia była jasna i wesoła, lecz teraz, gdy czułam przeszywający mnie dreszcz, wydała mi się ponura. Constance sprawiała wrażenie, jak gdyby nagle, po długim okresie odmawiania i przeczących odpowiedzi doszła do wniosku, że mimo wszystko wyjście na zewnątrz jest

możliwe. Zdałam sobie sprawę, że poruszono ten temat już po raz trzeci, a przecież do trzech razy sztuka. Nie mogłam złapać tchu; byłam skrępowana drutem, a moja głowa stała się wielka i bliska wybuchu; podbiegłam do kuchennych drzwi i otworzyłam je, by nabrać powietrza. Miałam ochotę uciekać; gdybym mogła pobiec do granicy naszej posiadłości i z powrotem, wszystko byłoby dobrze, ale Constance została z nimi sama w jadalni i musiałam tam prędko wrócić. Zadowoliliłam się rozbiciem dzbanka z mlekiem stojącego na stole; należał do naszej matki. Zostawiłam skorupy na podłodze, żeby Constance je zobaczyła. Zdjęłam z półki gorszy dzbanek, który nie pasował do serwisu; wolno mi było nalewać mleko, więc napełniłam dzbanek i zaniiosłam do bawialni.

— ...zrobić z Mary Katherine? — mówiła Constance. Odwróciła się z uśmiechem, gdy stanęłam w drzwiach.

— Dziękuję, kochanie — powiedziała, zerkając na dzbanek, a potem na mnie. — Dziękuję — powtórzyła, a ja postawiłam dzbanek na tacy.

— Nie za wiele na początek — powiedziała Helen Clarke. — To by wyglądało dziwacznie, nie przeczę. Ale parę wizyt u starych znajomych, może zakupy w mieście... wiesz, że w dużym mieście nikt cię nie rozpozna.

— I skromny obiad? — wtrąciła z nadzieją pani Wright.

— Muszę się zastanowić. — Constance ze śmiechem uniosła rękę w lekkim, pełnym zakłopotania geście, a Helen Clarke skinęła głową.

— Będziesz potrzebowała nowych ubrań — stwierdziła.

Opuściłam swoje miejsce w kącie, żeby wziąć od Constance filiżankę herbaty i zanieść ją pani Wright, która wyciągnęła drżącą dłoń.

— Dziękuję ci, moja droga — powiedziała. Widziałam, że herbata faluje w drżącej filiżance; w końcu pani Wright była tu zaledwie drugi raz.

— Cukru? — spytałam. Nie mogłam się powstrzymać; no i przecież uprzejmość tego wymagała.

— Och, nie — odparła. — Dziękuję. Nie słodzę.

Patrząc na nią pomyślałam, że wystroiła się na

dzisiejszą wizytę; ani Constance, ani ja nigdy nie ubierałyśmy się na czarno, ale pani Wright uznała zapewne, że to odpowiedni kolor, i miała na sobie prostą czarną suknię i naszyjnik z pereł. Przypomniałam sobie, że poprzednim razem także była ubrana na czarno; pomyślałam, że czerń pasuje do wszystkiego z wyjątkiem bawialni naszej matki. Wróciłam do Constance, zabrałam półmisek z rumowymi ciasteczkami i podeszłam z nim do pani Wright; nie było to miłe z mojej strony, bo powinnam najpierw podać kanapki, ale chciałam sprawić przykrość osobie, która siedziała w czarnej sukience w bawialni naszej matki.

— Moja siostra upiekła je dziś rano — powiedziałam.

— Dziękuję — odparła. Jej ręka zawisała nad półmiskiem, po czym wzięła ciasteczko i położyła je ostrożnie na brzegu spodeczka. Pomyślałam, że uprzejmość pani Wright graniczy z histerią.

— Proszę wziąć jeszcze jedno — zachęciłam. — Moja siostra piecze pyszne ciastka.

— Nie — odparła. — Och, nie, dziękuję.

Helen Clarke jadła kanapki, biorąc jedną po drugiej sprzed nosa Constance. Nigdzie indziej by się tak nie zachowywała, pomyślałam, tylko tutaj. Nie dba wcale o to, co Constance czy ja pomyślimy o jej manierach; uważa, że jej wizyta sprawia nam niesłychaną radość. Idź

sobie, rozkazałam jej w myślach. Idź sobie, idź sobie. Zastanawiałam się, czy Helen Clarke miała specjalne kostiumy, odłożone na wizyty u nas. „Tego” — mówiła (jak sobie wyobrażałam), przeglądając zawartość szafy — nie będę wyrzucać, przyda się, kiedy odwiedzę drogą Constance.” Zaczęłam w myślach ubierać Helen Clarke, umieszczając ją na śnieżnej zaspie w kostiumie kąpielowym albo na gałęzi drzewa, w różowej sukni z falbankami, które zahaczały o gałązki drzewa, naciągały się i rozdzierały; uwięzła na drzewie i krzyczała, a ja omal nie parsknęłam śmiechem.

— Może zaprosiłabyś tu parę osób? — mówiła Helen Clarke do Constance. — Starych znajomych... wielu ludzi chciałoby się z tobą spotkać, droga Constance. Kilka znajomych osób, taki wieczorek... Kolacja? Nie — stwierdziła — kolacja może nie. Nie tak od razu.

— A ja... — zaczęła znowu pani Wright, odstawiwszy wcześniej herbatę i ciastko na stolik tuż obok siebie.

— Choć właściwie czemu nie? — ciągnęła Helen Clarke. — W końcu od czegoś musisz zacząć.

Musiałam coś powiedzieć. Constance nie patrzyła na mnie, tylko na Helen Clarke.

— A może zaprosisz jakichś przyzwoitych ludzi z miasteczka? — spytałam głośno.

— Święci pańscy, Mary Katherine! — zawołała Helen Clarke — Ależ mnie przestraszyłaś. — Zaśmiała się. — Nie sądzę, aby Blackwoodowie kiedykolwiek utrzymywali towarzyskie stosunki z ludźmi z miasteczka.

— Nienawidzą nas — powiedziałam.

— Ja nie słucham plotek i mam nadzieję, że wy także ich nie słuchacie. Ponadto, Mary Katherine, obydwie wiemy, że dziewięć dziesiątych z tego to tylko twoja wyobraźnia i gdybyś zechciała wyjść im

naprzeciw, nikt by nie powiedział przeciw tobie ani słowa. Na miłość boską, przyznaję, że dawniej było coś na rzeczy, ale teraz naprawdę przesadzasz, i to bardzo.

— Ludzie zawsze plotkują — odezwała się krzepiącym tonem pani Wright.

— Mówiłam wszystkim, że przyjaźnię się z Blackwoodami i wcale się tego nie wstydzę. Powinnaś spotkać się z ludźmi twojego pokroju, Constance. Oni nie plotkują na nasz temat.

Żałowałam, że są tak mało zabawne; pomyślałam, że Constance wydaje się nieco zmęczona. Gdyby niedługo wyszły, szczotkowałabym jej włosy, aż by usnęła.

— Nadjeżdża stryj Julian — odezwałam się do Constance. Usłyszałam cichy ruch wózka w hallu i wstałam, by otworzyć drzwi.

— Uważasz, że ludzie będą się bali tu przyjść? — spytała Helen Clarke, a stryj Julian zatrzymał się w progu. Zawiązał wytworny krawat i dokładnie umył twarz, wiedząc, że mamy gości na podwieczorku.

— Będą się bali? — zapytał. — Przyjść tutaj? — Ukłonił się ze swego wózka pani Wright i Helen Clarke. — Pani... — powiedział. — Pani...

Wiedziałam, że nie pamięta, jak się nazywają i czy je wcześniej spotkał.

— Dobrze wyglądasz, Julianie — powiedziała Helen Clarke.

— Będą się bali tu przyjść? Proszę wybaczyć, że powtarzam pani słowa, lecz jestem zdumiony. W końcu moją bratanicę uniewinniono od zarzutu morderstwa. Teraz można nas bezpiecznie odwiedzać.

Pani Wright wykonała drobny, konwulsyjny ruch w stronę filiżanki z herbatą, a potem mocno splotła dłonie na podółku.

— Można rzec, iż zewsząd grozi nam niebezpieczeństwo — oznajmił stryj Julian. — Az pewnością niebezpieczeństwo otrucia. Moja bratanica może paniom opowiedzieć o wręcz niezwykłych zagrożeniach, o roślinach ogrodowych bardziej jadowitych niż węże i zwykłych ziołach, które przecinają wnętrzości niczym nóż. Moja bratanica...

— Taki piękny ogród — zwróciła się pani Wright żarliwie do Constance. — Nie mam pojęcia, jak się pani to udaje.

— Już nikt o tym nie pamięta, Julianie — ucięła stanowczo Helen Clarke. — Wszyscy dawno zapomnieli.

— To godne pożałowania — stwierdził stryj Julian.

— Fascynujący przypadek, jedna z nielicznych prawdziwych zagadek naszych czasów. Zwłaszcza mojego czasu. Dzieło mego życia — oznajmił pani Wright.

— Julianie — wtrąciła pospiesznie Helen Clarke; pani Wright siedziała jak zahipnotyzowana. — To kwestia dobrego smaku.

— Smaku, proszę pani? Czy kosztowała pani kiedyś arszeniku? Zapewniam, iż przez jedną krótką chwilę umysł nie jest w stanie uwierzyć, że...

Zaledwie minutę wcześniej biedna pani Wright prędzej odgryzłaby sobie język, niż poruszyłaby ten temat, ale teraz spytała z zapartym tchem:

— To znaczy, że pan pamięta?

— Czy pamiętam? — Stryj Julian westchnął, potrząsając radośnie głową. — Być może — zaczął z ożywieniem — nie zna pani tej historii? Mógłbym...

— Julianie — przerwała Helen Clarke — Lucille nie chce tego słuchać. To wstyd pytać o takie rzeczy.

Miałam wrażenie, że pani Wright bardzo chciała posłuchać, i spojrzałam na Constance, która w tej samej chwili zerknęła na mnie; obydwie miałyśmy poważne miny, bo inaczej nie wypadało, ale wiedziałam, że ona bawi się równie dobrze jak ja; i miło było słuchać stryja Juliana, który zwykle czuł się taki osamotniony.

A biedna, doprawdy biedna pani Wright nie mogła oprzeć się przemożnej pokusie. Rumieniła się mocno i drżała, lecz stryj Julian był kusicielem jakich mało, a ludzka wytrzymałość pani Wright miała swoje granice.

— To się stało w tym domu — wyrzekła modlitewnym tonem.

Milczeliśmy, patrząc na nią uprzejmię, a ona szepnęła:

— Bardzo państwa przepraszam.

— Oczywiście, że w tym domu — powiedziała Constance. — W jadalni. Jedliśmy właśnie kolację.

— Wieczorny posiłek w gronie rodzinnym — rzekł stryj Julian, smakując każde słowo. — Nikt się nie domyślał, że będzie to nasza ostatnia kolacja.

— Arszenik w cukrze — wtrąciła odruchowo pani Wright, zapominając zupełnie o dobrych manierach.

— Sam jadłem ten cukier. — Stryj Julian wysunął palec w jej stronę. — Posypałem sobie nim czarne jagody. Na szczęście — tu uśmiechnął się łagodnie — los był dla mnie łaskawy. Niektórzy z nas bezpowrotnie przekroczyli tamtego dnia bramę śmierci. Niektórzy, niewinni i nieświadomi, uczynili ostatni krok w otchłań zapomnienia. A niektórzy zjedli bardzo mało cukru.

— Nie jadam jagód — powiedziała Constance. Spojrzała na panią Wright i dodała rzeczowo: — Rzadko używam cukru. Nawet teraz.

— Na procesie to był mocny argument przeciw niej

— stwierdził stryj Julian. — Ze nie używa cukru, rzecz jasna. Ale moja bratanica nigdy nie przepadała za jagodami. Nawet jako dziecko nie chciała jeść jagód.

— Proszę — odezwała się głośno Helen Clarke — to naprawdę skandaliczne i nie mogę tego słuchać. Constance... Julianie... co Lucille sobie o was pomyśli?

— Ależ to nic takiego — powiedziała pani Wright unosząc rękę.

— Nie chcę słyszeć ani słowa więcej — ucięła Helen Clarke. — Constance musi pomyśleć o przyszłości. Te ciągłe powroty do przeszłości są niezdrowe; biedactwo dość już wycierpiało.

— No cóż, tęsknię za nimi, oczywiście — powiedziała Constance — bez nich wszystko wygląda zupełnie inaczej. Ale na pewno nie uważam się za cierpienicę.

— W pewien sposób — podjął swoją kwestię stryj Julian — niebawem mi się poszczęściło. Przeżyłem najgłośniejszy przypadek trucicielstwa w naszym stuleciu. Mam wszystkie wycinki prasowe. Znałem ofiary i oskarżoną tak blisko, jak tylko mógł ich znać krewny żyjący pod tym samym dachem. Posiadam dokładne notatki dotyczące całego tego wydarzenia. Od tamtego czasu nie wróciłem do zdrowia.

— Mówiłam, że nie chcę o tym rozmawiać — powiedziała Helen Clarke.

Stryj Julian umilkł. Spojrzał na nią, a potem na Constance.

— Czy to się naprawdę wydarzyło? — spytał po chwili, zasłaniając dłonią usta.

— Oczywiście, że tak — Constance uśmiechnęła się do niego.

— Mam wycinki prasowe — powiedział niepewnie stryj Julian. — Mam notatki — zwrócił się do Helen Clarke. — Wszystko spisałem.

— To musiało być straszne — pani Wright nachyliła się gorliwie i stryj Julian odwrócił się w jej stronę.

— Okropne — potwierdził. — Wręcz potworne, proszę pani. — Obrócił wózek tak, że znalazł się plecami do Helen Clarke. — Czy chciałaby pani obejrzyć jadalnię? — zapytał. — I śmiercionośny stół? Widzi pani, nie zeznawałem na procesie; mój stan zdrowia nie zezwalał wówczas i nadal nie zezwala na to, bym odpowiadał na obcesowe pytania nieznanym. — Lekkim ruchem głowy wskazał Helen Clarke.

— Bardzo pragnąłem stanąć w ławie świadków. Pochlebiam sobie, iż nie przyniosłbym nikomu wstydu. Ale, oczywiście, i tak ją uniewinniono.

— Naturalnie, że ją uniewinniono — wtrąciła porywczo Helen Clarke. Sięgnęła po swoją ogromną torebkę, postawiła ją na kolanach i zaczęła szukać rękawiczek. — Wszyscy już zapomnieli o tej sprawie. — Złowiła spojrzenie pani Wright i zaczęła wstawać.

— Jadalnia?... — bąknęła nieśmiało pani Wright. — Tylko rzucę okiem.

— Pani — stryj Julian złożył ukłon ze swego wózka, a pani Wright pospieszyła ku drzwiom i otworzyła je.

— Dokładnie po drugiej stronie hallu — wyjaśnił stryj, a ona ruszyła za nim. — Cenię umiar w kobiecej ciekawości, proszę pani; od razu zauważyłem, że całym sercem pragnie pani ujrzeć scenę, na której rozegrała się tragedia. Stało się to w tym pokoju i nadal co wieczór zasiadamy tu do kolacji.

Słyszałyśmy go wyraźnie; zapewne okrążał jadalniany stół, podczas gdy pani Wright obserwowała go z progu.

— Zechce pani zauważyć, że nasz stół jest okrągły. Obecnie stał się zbyt duży dla żalosnej garstki, jaka pozostała z naszej rodziny, lecz

nie chcielibyśmy ruszać czegoś, co jest, mimo wszystko, swego rodzaju pomnikiem. Był czas, gdy za zdjęcie tego pokoju każda gazeta zapłaciłaby znaczną sumę. Stanowiliśmy kiedyś liczną rodzinę, przypomina sobie pani, liczną i szczęśliwą. Istniały, oczywiście, drobne różnice zdań, nie wszyscy byliśmy obdarzeni cnotą cierpliwości; mógłbym nawet rzec, iż zdarzały się sprzeczki. Nic poważnego; mąż i żona, brat i siostra nie wszystkie sprawy widzieli w tym samym świetle.

— Więc dlaczego ona...

— Tak — przerwał stryj Julian — to istotnie zdumiewające, nieprawdaż? Mój brat, jako głowa rodziny, siedział naturalnie tam, na honorowym miejscu, mając za plecami okna, a przed sobą karafkę. John Blackwood był dumny ze swego stołu, swej rodziny i stanowiska w świecie.

— Ona go nawet nie знаła — powiedziała Helen Clarke. Spojrzała gniewnie na Constance. — Ja dobrze pamiętam twojego ojca.

Twarze ulatują z pamięci, pomyślałam. Zastanawiałam się, czy rozpoznałabym panią Wright, gdybym ją spotkała w miasteczku. I czy pani Wright przeszłaby obok nie dostrzegając mnie, może była tak nieśmiała, że wcale nie spoglądała na ludzkie twarze. Jej herbata i rumowe ciasteczko nadal stały nietknięte na stoliku.

— I byłam bliską przyjaciółką twojej matki, Constance. Dlatego czuję się na siłach rozmawiać z tobą otwarcie, dla twego własnego dobra. Twoja matka pragnęłaby...

— ...moja szwagierka, która była, łaskawa pani, kobietą delikatną. Zapewne zwróciła pani uwagę na jej portret w bawialni i na subtelny zarys szczęki. Kobieta, której być może pisany był tragiczny los, aczkolwiek skłonna niekiedy do niemądrych postępków. Po jej prawej ręce przy tym stole ja sam, młodszy wówczas i jeszcze nie inwalida; dopiero od tamtego wieczoru stałem się człowiekiem bezradnym. Naprzeciw mnie mały Thomas — czy wiedziała pani, że miałem niegdyś

bratanka, że mój brat miał syna? Z pewnością mogła pani o nim czytać. Liczył sobie dziesięć lat i posiadał wiele mocnych cech charakteru swego ojca.

— To on zjadł najwięcej cukru — powiedziała pani Wright.

— Niestety — przyznał stryj Julian. — Następnie, po obu stronach mego brata, jego córka Constance i moja żona Dorothy, która uczyniła mi ten zaszczyt i związała ze mną swój los, aczkolwiek nie sądzę, by przewidywała rzecz tak poważną jak jagody posypane arsenikiem. Trzeciego z dzieci, mojej bratanicy Mary Katherine, nie było przy stole.

— Była w swoim pokoju — powiedziała pani Wright.

— Przemiała dwunastolatka, posłana do łóżka bez kolacji. Lecz nią nie musimy się zajmować.

Parsknęłam śmiechem, a Constance odezwała się do Helen Clarke:

— Merricat zawsze była w niełasce. Często wchodziłam na górę tylnymi schodami, niosąc jej kolację na tacy, gdy ojciec już wyszedł z jadalni. Była psotnym, nieposłusznym dzieckiem — uśmiechnęła się do mnie.

— Niezdrowe otoczenie — powiedziała Helen Ciarke. — Dziecko powinno zostać ukarane za przewinienie, ale powinno także czuć, że nadal jest kochane. J a nie tolerowałabym w żadnym wypadku dziecięcych wybryków. A teraz naprawdę musimy już... — Zaczęła znowu wciągać rękawiczki.

— ...pieczone jagnię z miętową galaretką, z mięty, którą Constance hoduje w ogrodzie. Młode ziemniaki, groszek, sałata, wszystko z ogródka. Doskonale pamiętam, łaskawa pani. Jest to do dziś jedno z moich ulubionych dań. Zanotowałam, rzecz jasna, bardzo dokładnie przebieg owego posiłku i, co więcej, całego dnia. Zauważy pani na-

tychmiast, że wszystko kręciło się wokół mojej bratanicy. Był początek lata, ogród rozkwitał; pamiętam, że tamtego roku była piękna pogoda. Nie mieliśmy już później drugiego takiego lata, choć może to starość przeze mnie przemawia. Tylko Constance mogła nam dostarczyć pewnych drobnych przysmaków; oczywiście nie mam tu na myśli arszeniku.

— Ale istotną rolę odegrały jagody. — Głos pani Wright zabrzmiał nieco chrapliwie.

— Cóż za pamięć, łaskawa pani! Jakże dokładna, jakże bezbłędna. Czuję, iż zamierza mnie pani zapytać, czemu miałyby użyć właśnie arszeniku. Moja bratanica nie jest zdolna do podobnego wyrafinowania, co na szczęście podkreślił jej adwokat podczas procesu. Constance nie wychodząc z domu ma dostęp do zadziwiającej kolekcji śmiertelnych substancji. Mogłaby podać pani sos przyrządzony z pietrasznika, należącego do tej samej rodziny co pietruszka, lecz powodującego natychmiastowy paraliż i śmierć. Mogła była zrobić marmoladę ze wspaniałych owoców bielunia dziedzierzawy lub czerńca gronkowego, mogła przybrać sałatkę pędami *Holcus lanatus*, czyli aksamitnej trawki, bogatej w kwas cyjanowodorowy. Posiadam obszerne notatki, łaskawa pani. Wilcza jagoda jest krewniaczką pomidora; czy ktokolwiek z nas byłby na tyle przewidujący, by odmówić jej spożycia, gdyby Constance podała ją nam w postaci dobrze przyprawionej marynaty? Albo proszę rozważyć tradycyjne i złudne walory rodziny grzybów." Wszyscy lubiliśmy grzyby, a moja bratanica przyrządza wyśmienite omlety grzybowe, łaskawa pani. Pospolity muchomor zaś...

— Nie powinna była zajmować się gotowaniem — powiedziała z naciskiem pani Wright.

— No cóż, w tym, oczywiście, cały kłopot. Naturalnie nie powinna była gotować, jeżeli zamierzała zgładzić nas wszystkich za pomocą trucizny; bylibyśmy wręcz zaślepieni w swej bezinteresowności, gdy-

byśmy w podobnych okolicznościach zachęcali ją do gotowania. Uznano ją jednak za niewinną. Nie tylko samego czynu, ale również zamiaru.

— Dlaczego pani Blackwood sama nie gotowała?

— Ależ, proszę pani — głos stryja Juliana zadrżał lekko i wiedziałam, jaki gest towarzyszył tym słowom, choć go nie widziałam. Na pewno uniósł rękę, rozchylając palce, i uśmiechał się przesłoniwszy usta dłonią; był to szarmancki gest stryja Juliana, który widziałam już wcześniej podczas jego rozmowy z Constance. — Gdy o mnie mowa, wolałem zaryzykować arszenik.

— Musimy wracać do domu — powiedziała Helen Clarke. — Nie wiem, co wstąpiło w Lucille. Mówiłam jej, zanim przyjechałyśmy, żeby nie poruszała tego tematu.

— Zamierzam w tym roku rozsadzić poziomki — zwróciła się do mnie Constance. — Zauważyłam sporo krzaczków na drugim końcu ogrodu.

— To okropnie nietaktowne z jej strony, no i każe mi na siebie czekać.

— ...cukiernicę na kredensie, tę ciężką srebrną cukiernicę. To pamiątka rodzinna, mój brat wysoko ją cenił. Przypuszczam, że zastanawia się pani nad tą cukiernicą. Czy jest nadal używana?, myśli pani; czy ją wyczyszczono?, może pani słusznie zapytać, czy została dokładnie umyta? Mogę panią od razu uspokoić. Moja bratanica Constance umyła ją przed przybyciem lekarza i policji, i przyzna pani sama, iż nie była to odpowiednia chwila na mycie cukiernicy. Pozostałe naczynia wciąż znajdowały się na stole, lecz tę cukiernicę moja bratanica wyniosła do kuchni, opróżniła, wyszorowała i wyparzyła wrzątkiem. Było to osobliwe zachowanie.

— Siedział w niej pajak — powiedziała Constance do imbryka z herbatą. Podczas podwieczorku używałyśmy małej cukiernicy w różyczki, z cukrem w kostkach.

— ...siedział w niej pajak, tak powiedziała. To właśnie powtórzyła policjantom. Dlatego umyła cukiernicę.

— No cóż — odezwała się pani Wright — wydaje mi się, że mogła wymyślić lepszą przyczynę. Nawet jeśli tam naprawdę był pajak... to znaczy, nie myje się... to znaczy, po prostu wyjmuje się pajaka.

— A jaką pani podałyby przyczynę?

— No, nie wiem, nigdy nikogo nie zabiłam... to znaczy, nie wiem, co bym powiedziała. Chyba pierwszą rzecz, jaka przyszłaby mi do głowy. A ona na pewno była zdenerwowana.

— Zapewniam panią, że umierali w strasznych męczarniach. Powiada pani, że nigdy nie kosztowała arszeniku? To nie jest przyjemne. Niezmiernie mi żal ich wszystkich. Sam wiłem się z bólu przez kilka dni; pewien jestem, że Constance okazałaby mi najgłębsze współczucie, lecz, oczywiście, była już wówczas nieosiągalna. Aresztowano ją natychmiast.

Głos pani Wright zabrzmiał pewniej, z powściąganą żarliwością:

— Odkąd się tu sprowadziliśmy, myślałam zawsze, że wspaniale byłoby was poznać i dowiedzieć się, jak to naprawdę było, bo, oczywiście, pozostaje wciąż to jedno pytanie, na które nikt dotychczas nie potrafił odpowiedzieć. Nie spodziewałam się, rzecz jasna, że będę z panem o tym rozmawiać, ale proszę posłuchać. — Dobiegł mnie odgłos przesuwanego krzesła; najwyraźniej pani Wright postanowiła usiąść.

— Po pierwsze — podjęła — kupiła arszenik.

— ...żeby wytruć szczury — powiedziała Constance do imbryka z herbatą, a potem odwróciła głowę i uśmiechnęła się do mnie.

— Żeby wytruć szczury — powiedział stryj Julian.

— Powszechnie stosuje się arszenik jeszcze w sztuce wypychania zwierząt, lecz moja bratanica nie mogła raczej przypisywać sobie biegłości w tej dziedzinie.

— Ugotowała kolację, nakryła do stołu.

— Wyznam szczerze, że ta kobieta mnie zdumiewa — powiedziała Helen Clarke. — Sprawiała wrażenie takiej cichej osóбки.

— To Constance zobaczyła, że padają jak muchy... bardzo pana przepraszam... i wezwała lekarza, kiedy już było za późno. To ona umyła cukiernicę.

— Siedział w niej pajak — powiedziała Constance.

— Oświadczyła policjantom, że ci ludzie zasłużyli na śmierć.

— Była wzburzona, łaskawa pani. Może opacznie zrozumiano jej wypowiedź. Moja bratanica nie jest osobą nieczułą; ponadto myślała wówczas, że i ja znalazłem się wśród ofiar, i choć zasługuję na śmierć, podobnie jak wszyscy, nieprawdaż?, raczej nie sądzę, aby moja bratanica miała mi to wytykać.

— Powiedziała policji, że to jej wina.

— Otóż właśnie — rzekł stryj Julian — uważam, że popełniła omyłkę. Z całą pewnością myślała w pierwszej chwili, iż to jej potrawy wywołały taki skutek, sądzę jednak, że wzięcie na siebie całej winy było z jej strony przesadą. Gdyby zapytała mnie o zdanie, odradziłbym jej przyjmowanie takiej postawy; jest to bliskie rozczulania się nad sobą.

— Ale wielkie, pozostające wciąż bez odpowiedzi pytanie brzmi: dlaczego? Dlaczego to zrobiła? To znaczy, możemy przyjąć, że Constance jest maniakalną morderczynią...

— Poznała ją pani.

— Co? Ach, wielkie nieba, oczywiście! Zupełnie zapomniałam. Jakoś nie mogę sobie uzmysłwić, że ta urocza dziewczyna jest... no cóż. Ten wasz masowy morderca musiał mieć powód, panie Blackwood, choćby tylko zwyrodniały, wynaturzony... och. Pańska bratanica jest czarująca; nie przypominam sobie, kiedy ostatnio ktoś aż tak przypadł mi do serca. Ale jeśli ona jest maniakalną morderczynią...

— Wychodzę. — Helen Clarke wstała i stanowczym ruchem wetknęła pod ramię torebkę. — Lucille — zawołała — ja wychodzę. Zasiadziałyśmy się ponad wszelką przyzwoitość. Jest już po piątej.

Pani Wright, poruszona, wybiegła z jadalni.

— Tak mi przykro — powiedziała. — Gawędziliśmy sobie i straciłam poczucie czasu. Ojej. — Podbiegła do krzesła, by wziąć torebkę.

— Nawet nie spróbowała pani herbaty — odezwałam się, pragnąc zobaczyć, jak się rumieni.

— Dziękuję — odparła, spojrzała na filiżankę i zarumieniła się. — Była wyśmienita.

Stryj Julian zatrzymał wózek pośrodku pokoju i pogodnie założył ręce na piersi. Spojrzał na Constance, a potem wniósł oczy i wpatrzył się w róg sufitu, spokojnie i z powagą.

— Do widzenia, Julianie — powiedziała krótko Helen Clarke. — Constance, przepraszam za tak długą wizytę; to niewybaczalne. Lucille?

Pani Wright wyglądała jak dziecko, które wie, że zostanie ukarane, ale nie zapomniała o dobrych manierach.

— Dziękuję — zwróciła się do Constance, wyciągając rękę i cofając ją szybko. — Było mi bardzo miło. Do widzenia — powiedziała do stryja Juliana.

Wyszły do hallu, a ja podążyłam za nimi, by zamknąć później drzwi. Helen Clarke uruchomiła samochód, zanim biedna pani Wright zdołała wsiąść do środka, i ostatnią rzeczą, jaką usłyszałam z ust pani Wright, był cichy okrzyk, gdy auto ruszyło z podjazdu. Śmiałam się wracając do bawialni. Podeszłam do Constance i ucałowałam ją.

— Przemięły podwieczorek — powiedziałam.

— Co za niemożliwa baba. — Constance odchyliła głowę na oparcie sofy i parsknęła śmiechem. — Źle wychowana, pretensjonalna, głupia. Nie mam pojęcia, po co tu ciągle przyjeżdża.

— Chce wyrzeć na ciebie dobry wpływ. — Zabrałam filiżankę i ciasteczko pani Wright i postawiłam na tacy. — Biedna, mała pani Wright — powiedziałam.

— Dokuczałaś jej, Merricat.

— Może troszeczkę. Nie mogę się powstrzymać, kiedy ludzie się boją. Zawsze mam ochotę wystraszyć ich jeszcze bardziej.

— Constance? — stryj Julian obrócił wózek, by znaleźć się twarzą do niej. — Jak mi poszło?

— Znakomicie, stryjku. — Constance wstała, podeszła do niego i lekko pogładziła jego siwą głowę.

— Notatki okazały się zbędne.

— To się naprawdę wydarzyło? — spytał.

— Oczywiście, że tak. Zawiozę stryjka do pokoju i będzie stryjek mógł pooglądać wycinki z gazet.

— Może nie w tej chwili. To było wspaniałe popołudnie, ale chyba jestem nieco zmęczony. Odpocznę sobie przed kolacją.

Constance ruszyła przez hall, popychając wózek, a ja szłam za nią z tacą. Wolno mi było wnosić brudne naczynia, lecz nie mogłam zmywać, umieściłam więc tacę na kuchennym stole i przyglądałam się Constance, która ustawiła naczynia obok zlewu, by je później umyć, zmiotła z podłogi skorupy rozbitego dzbanka i wyjęła ziemniaki, rozpoczynając przygotowania do kolacji. W końcu musiałam zadać jej pytanie; ta myśl budziła we mnie dreszcz przez całe popołudnie.

— Czy zrobisz to, o czym ona mówiła? — spytałam

— Helen Clarke?

Constance nie udawała, że mnie nie rozumie. Stała, patrząc z lekkim uśmiechem na swoje poruszające się dłonie.

— Nie wiem — odparła.

III

Nadchodziła zmiana i tylko ja o tym wiedziałam. Constance, być może, podejrzewała; zauważyłam, że czasami stoi w swoim ogródku i patrzy — nie na rośliny, które hodowała, i nie na nasz dom, ale gdzieś w dal, w stronę drzew przesłaniających ogrodzenie. Niekiedy wpatrywała się długo i ciekawie w drogę biegnącą od podjazdu, jak gdyby zastanawiając się, co by to było za uczucie, pójść tamtędy aż do bramy. Obserwowałam ją. W sobotę rano, nazajutrz po podwieczorku z Helen Clarke, Constance patrzyła na drogę trzy razy. Stryj Julian nie czuł się dobrze tego ranka, gdyż zmęczył go podwieczorek; pozostał w łóżku w swoim ciepłym pokoju za kuchnią, wyglądając przez okno, które znajdowało się tuż obok jego poduszki, i nawołując Constance od czasu do czasu, by zwrócić na siebie jej uwagę. Nawet Jonasz był rozdrażniony — wybiegał na spotkanie burzy, jak zwykła mawiać nasza matka — i nie mógł spać; przez te wszystkie dni, gdy zbliżała się zmiana, Jonasz okazywał niepokój. Zrywał się nagle z głębokiego snu, unosząc głowę, jakby nasłuchiwał czegoś, a potem już był na nogach i pędził schodami w górę; przebiegał po łózkach, wpadał i wypadał przez drzwi, zbiegał znowu schodami, przemykał przez hall do jadalni, na krzesło, później wokół stołu, później do kuchni, a stamtąd do ogrodu, gdzie zwalniał i wreszcie przystawał, by polizać łapę, zastrzychem i przyjrzeć się światu. Nocą słyszałyśmy, jak biega, czułyśmy, jak przemyka nam po nogach, kiedy leżałyśmy w łózkach, jak wybiega na spotkanie burzy.

Wszelkie oznaki zapowiadały zmianę. Obudziłam się w sobotę rano i zdawało mi się, że słyszę wołanie; chcąc, żebym wstała, pomyślałam, jeszcze nie do końca rozbudzona, i przypomniałam sobie, że

nie żyją; Constance nigdy nie wołała, żebym wstawiała. Gdy się ubrałam i zeszłam na dół, czekała na mnie, by zrobić mi śniadanie.

— Wydawało mi się dziś rano, że oni mnie wołają — powiedziałam do niej.

— Jedz prędko — odparła. — Znowu mamy piękny dzień.

Po śniadaniu, w te miłe poranki, kiedy nie musiałam iść do miasteczka, zawsze miałam coś do zrobienia. W środy oglądałam całe ogrodzenie. Musiałam je sprawdzać regularnie, by się upewnić, że nigdzie nie ma dziur, a bramy są zamknięte. Potrafiłam naprawić ogrodzenie, łącząc rozerwany drut i naciągając go w miejscach, gdzie się poluzował. Przyjemnie było upewnić się w każdą środę, że przez następny tydzień będziemy bezpieczni.

W niedzielne poranki sprawdzałam moje zabezpieczenia: kasetkę ze srebrnymi dolarami, którą zakopałam koło potoku, lalkę zakopaną na długim pastwisku i książkę przybitą do drzewa w sosnowym lasku. Dopóki znajdowały się na swoich miejscach, nic nam nie groziło. Zawsze zakopywałam w ziemi różne rzeczy, nawet gdy byłam jeszcze mała; pamiętam, że raz podzieliłam pastwisko na kwadraty i w każdym coś zakopałam, żeby trawa rosła razem ze mną i żebym zawsze mogła się w niej schować. Kiedyś zakopałam w potoku sześć niebieskich kulek, aby woda poza naszą ziemią wyschła. „Masz tu skarb do zakopania”, mawiała do mnie Constance, gdy byłam mała, dając mi monetę albo kolorową wstążkę. Zakopałam wszystkie moje mleczone zęby, które wypadły; może pewnego dnia wyrosną z nich smoki. Cała nasza ziemia była pełna zakopanych skarbów, gęsto naszpikowana tuż pod powierzchnią moimi kulkami, zębami i kolorowymi kamykami, które być może zdążyły się już zamienić w klejnoty i tkwiły pod ziemią w mocnej, naprężonej sieci, nie do rozluźnienia, zaciągniętej ciasno, by strzec naszego bezpieczeństwa.

We wtorki i piątki chodziłam do miasteczka, a w czwartki, kiedy czułam się najsilniejsza, szłam na strych i przymierzałam ich ubrania.

W poniedziałki sprzątałyśmy z Constance dom, wchodząc do każdego pokoju ze szmatami i ścierkami do kurzu, skrupulatnie odkładając na miejsce odkurzone bibeloty i nigdy nie naruszając doskonałej linii szylkretowego grzebienia matki. Każdej wiosny przeprowadzałyśmy generalne porządki, ale i tak zawsze sprzątałyśmy w poniedziałki; w ich pokojach gromadziło się niewiele kurzu, lecz musiał zostać usunięty. Od czasu do czasu Constance próbowała uładzić pokój stryja Juliana, ale stryj nie lubił, żeby mu przeszkadzano, i trzymał swoje rzeczy w ustalonych miejscach, więc Constance musiała się zadowolić umyciem buteleczek z lekarstwami i zmianą pościeli. Mnie nie wolno było wchodzić do pokoju stryja Juliana.

W soboty pomagałam Constance. Nie wolno mi było dotykać noży, ale gdy pracowała w ogrodzie, przygotowywałam i czyściłam jej narzędzia, a także nosiłam kosze z kwiatami lub warzywami, które Constance później gotowała. Mieliśmy pełną piwnicę jedzenia. Wszystkie panie Blackwood gotowały i z dumą wzbogacały zasoby naszej piwnicy. Były tam słoiczki dżemu robionego przez nasze prababki, z etykietami wypisanymi ostrym, wyblakłym pismem, teraz prawie nieczytelnym; były marynaty ciotecznych babek i jarzyny naszej babki, a nawet nasza matka pozostawiła po sobie sześć słoików jabłkowej galaretki. Constance przez całe życie powiększała piwniczne zapasy, a rzędy jej słoików były bez wątpienia najładniejsze i błyszczwały na tle innych. „Zakopujesz żywność tak jak ja moje skarby”, mówiłam jej czasami, a ona odpowiedziała mi pewnego razu: „Żywność pochodzi z ziemi i nie można jej tam zostawić, żeby zgniła; coś trzeba z nią zrobić.” Wszystkie panie Blackwood konserwowały żywność pochodzącą z ziemi i barwne szeregi galaretek, marynat, jarzyn i owoców w słojach, brunatne, bursztynowe i ciemnozielone, stały w naszej piwnicy i miały tak stać wiecznie — poemat stworzony przez panie Blackwood. Co roku razem z Constance i stryjem Julia-

nem jedliśmy dżem, konserwy i marynaty zrobione przez Constance, ale nie tykaliśmy innych; Constance mówiła, że moglibyśmy się zatruć.

Tej soboty jadłam grzankę z dżemem morelo wy m i myślałam o Constance smażącej dżem i odkładającej go na półkę specjalnie dla mnie, żebym mogła go skosztować któregoś słonecznego poranka; nawet nie przyszło jej do głowy, że zanim skończę ten słoik, nastąpi zmiana.

— Merricat, ty leniuchu — powiedziała Constance — przestań dumać nad tą grzanką. W taki piękny dzień chcę cię widzieć w ogrodzie.

Przygotowywała tacę dla stryja Juliana, nalewając gorącego mleka do dzbanuszek w żółte stokrotki i okrawając grzankę, żeby była nieduża, ciepła i kwadratowa; jeżeli coś wydawało się zbyt wielkie lub nieporęczne, stryj Julian zostawiał to na talerzu. Constance zawsze zanosila mu śniadanie na tacy, ponieważ źle sypiał i czasami leżał bezsennie w ciemnym pokoju, czekając na świt i krzepiącą obecność Constance wchodzącej z tacą. Kiedy w nocy bolało go serce, brał dodatkową pigułkę i potem leżał przez cały ranek, senny i otępiaty. Nie chciał pić gorącego mleka, ale życzył sobie obecności Constance tuż obok w kuchni lub w ogrodzie, gdzie mógł ją widzieć z łóżka. Jeżeli rano czuł się wyjątkowo dobrze, przywoziła go na śniadanie do kuchni i siedział przy starym biurku w kącie, zasypując notatki okruchami i przeglądając papiery przy jedzeniu. „Jeżeli los mnie oszczędzi — mówił zawsze do Constance — napiszę książkę. Jeśli nie, zadbaj o to, by moje notatki powierzono jakiemuś zacnemu cynikowi, który nie będzie się zbytnio troszczył o prawdę.”

Pragnęłam być milsza dla stryja Juliana, więc tego ranka miałam nadzieję, że śniadanie będzie mu smakowało i że wyjedzie później do ogrodu i posiedzi w słońcu.

— Może zakwitł już jakiś tulipan — powiedziałam, wpatrując się w otwarte drzwi kuchenne i wpadające przez nie promienie słońca.

— Chyba zakwitnie dopiero jutro — odparła Constance, która знаła się na tym. — Włóż buty, jeżeli chcesz iść na wędrowkę. W la-sku będzie jeszcze mokro.

— Nadchodzi zmiana — powiedziałam.

— To wiosna, głuptasie — odparła i podniosła tacę stryja Juliana. — Nie uciekaj, póki nie wrócę, bo mamy to i owo do zrobienia.

Otworzyła drzwi pokoju stryja i usłyszałam, jak mówi mu dzień dobry. Odpowiedział jej drżącym głosem i zrozumiałam, że nie czuje się dobrze. Constance będzie musiała kręcić się w pobliżu przez cały dzień.

— Czy twój ojciec już wrócił, moje dziecko? — spytał stryj.

— Jeszcze nie — odparła Constance. — Przyniosę stryjkowi dru-gą poduszkę. Mamy piękny dzień.

— Dużo pracuje — stwierdził stryj Julian. — Podaj mi ołówek, moja droga, chcę to zanotować. Bardzo dużo pracuje.

— Niech stryjek napije się gorącego mleka. To rozgrzewa.

— Ty nie jesteś Dorothy. Jesteś moją bratanicą, Constance.

— Proszę, niech stryjek wypije.

— Dzień dobry, Constance.

— Dzień dobry, stryjku.

Postanowiłam wybrać trzy potężne słowa, trzy ochronne słowa; dopóki nie zostaną wypowiedziane na głos, zmiana nie nastąpi. Wypi-sałam pierwsze słowo — melodia — na dżemie morelowym, którym posmarowałam grzanekę; nakreśliłam je trzonkiem łyżeczki, a potem

szybko zjadłam grzankę. Byłam w jednej trzeciej bezpieczna. Constance wyszła z tacą z pokoju stryja.

— Niezbyt dobrze się dzisiaj czuje — powiedziała. — Niewiele zjadł i jest bardzo zmęczony.

— Gdybym miała skrzydlatego konia, zawiozłabym go na księżyc. Tam byłoby mu lepiej.

— Wywiozę go później na słońce i może przyrządzę mu trochę ajerkoniaku.

— Na księżycu możesz robić, co chcesz.

Spojrzała na mnie z roztargnieniem.

— Pędy mlecza — powiedziała. — I rzodkiewki. Myślałam, że popracuję dziś w ogrodzie warzywnym, ale nie chcę zostawiać stryjka samego. Mam nadzieję, że marchewka... — W zamyśleniu zaczęła stukać palcem o stół. — Rabarbar — dodała.

Wstawiłam naczynia do zlewu, obmyślając drugie magiczne słowo, które równie dobrze mogło brzmieć Gloucester. To było mocne słowo i uznałam, że będzie dobre, choć stryj Julian mógł powiedzieć prawie wszystko i żadne słowo nie było przy nim bezpieczne.

— A może byś upiekła placek dla stryja Juliana?

Constance uśmiechnęła się do mnie.

— Chciałaś powiedzieć: może byś upiekła placek dla Merricat? I to z rabarbarem?

— My z Jonaszem nie znosimy rabarbaru.

— Ale on ma przepiękny kolor. Na półkach nic nie może się równać z dżemem rabarbarowym.

— No to poustawiaj go na półkach. Zrób mi placek z mleczem.

— Niemądra Merricat — powiedziała Constance.

Miała na sobie niebieską sukienkę, kuchenną podłogę

pokrywały słoneczne plamki, a w ogrodzie pojawiły się kolory. Jonasz siedział na stopniu i mył się, a Constance podśpiewując odwróciła się do zlewu, by umyć naczynia. Byłam w dwóch trzecich bezpieczna, musiałam jeszcze wymyślić tylko jedno magiczne słowo.

Później stryj Julian nadal spał i Constance postanowiła pobiec na pięć minut do ogródka warzywnego, żeby zebrać, co się da; zostałam przy kuchennym stole i nasłuchiwałam, czy stryj Julian się nie obudził, by w razie czego zawołać Constance, ale kiedy wróciła, w jego pokoju było cicho. Jadłam maleńkie, słodkie, surowe marchewki, a Constance płukała i odkładała warzywa.

— Zrobię wiosenną sałatkę — powiedziała.

— Przejadamy cały rok. Zjadamy wiosnę, lato i jesień. Czekamy, aż coś urośnie, a potem to zjadamy.

— Niemądra Merricat — powiedziała Constance.

Gdy kuchenny zegar pokazał dwadzieścia po jedenastej, zdjęła fartuch, zajrzała do stryja Juliana, po czym poszła, jak zwykle, na górę do swojego pokoju, by tam poczekać, aż ją zawołam. Podeszłam do frontowych drzwi, odryglowałam je i otworzyłam dokładnie w chwili, gdy samochód doktora skręcił na podjazd. Doktor, który zawsze się śpieszył, szybko zatrzymał auto i wbiegł po schodkach.

— Dzień dobry, panno Blackwood — rzucił mijając mnie w halu. Zanim dotarł do kuchni, zdążył już zdjąć płaszcz, który powiesił na oparciu krzesła. Wszedł prosto do pokoju stryja Juliana nie patrząc na mnie ani na kuchnię, a potem, już za drzwiami, uspokoił się nagle i

złagodniał. — Dzień dobry, panie Blackwood — przemówił swobodnym tonem — jak pan się dzisiaj miewa?

— Gdzie ten stary głupiec? — spytał jak zawsze stryj Julian. — Czemu Jack Mason nie przyszedł?

Doktor Mason był lekarzem, którego Constance wezwała tamtej nocy, gdy oni wszyscy umarli.

— Doktor Mason nie mógł dzisiaj przyjść — odparł jak zawsze lekarz. — Jestem doktor Levy. Zastępuję go.

— Wolałbym Jacka Masona.

— Zrobię, co w mojej mocy.

— Zawsze mówiłem, że przeżyję tego starego głupca. — Stryj Julian zachichotał cienko. — Po co pan udaje przede mną? Jack Mason umarł trzy lata temu.

— Panie Blackwood — powiedział doktor — to przyjemność mieć takiego pacjenta jak pan.

Bardzo cicho zamknęła drzwi. Pomyślała o użyciu digitalis jako trzeciego magicznego słowa, ale zbyt łatwo ktoś mógł je wypowiedzieć i w końcu zdecydowała się na Pegaza. Wyjęła szklankę z szafki, wymówiła słowo bardzo wyraźnie do szklanki, a potem nalała do niej wody i wypila. Drzwi pokoju stryja Juliana otworzyły się i doktor przystanął w nich na chwilę.

— Proszę pamiętać — powiedział. — I przyjdę do pana za tydzień.

— Konował — odparł stryj Julian.

Lekarz odwrócił się z uśmiechem, a potem uśmiech znikł i doktor znowu zaczął się śpieszyć. Wziął płaszcz i ruszył przez hall. Poszła za nim i kiedy znalazła się przy drzwiach, schodził już po stopniach.

— Do widzenia, panno Blackwood — rzucił nie oglądając się, wsiadł do samochodu i natychmiast odjechał, nabierając prędkości, aż wreszcie dotarł do bramy i skręcił na autostradę. Zamknęłam drzwi i podeszłam do schodów.

— Constance? — zawołałam.

— Idę — odpowiedziała z góry. — Już idę, Merricat.

Po południu stryj Julian poczuł się lepiej i siedział grzejąc się w słońcu, z rękoma złożonymi na kolanach, na pół drzemiąc. Leżałam bardzo blisko niego na marmurowej ławie, którą kiedyś lubiła nasza matka, a Constance klęczała na ziemi zanurzając obie dłonie, jakby sama z niej wyrastała, ugniatając i przesypując ziemię, dotykając korzeni roślin.

— To był piękny poranek — odezwał się stryj Julian, po czym mówił dalej: — Piękny, słoneczny poranek, i nikt z nich nie wiedział, że będzie ostatnim. Moja bratanica Constance zeszła na dół pierwsza. Obudziłem się i usłyszałem jej krzątanie w kuchni. Sypiałem wówczas na górze, mogłem jeszcze chodzić po schodach i spaliśmy z żoną w naszym pokoju. I pomyślałem: jaki śliczny poranek, nie przypuszczając nawet, że dla nich okaże się ostatnim. Później usłyszałem mego bratanka... nie, «to był mój brat, zszedł na dół zaraz po Constance. Usłyszałem jego pogwizdywanie. Constance?

— Tak, stryjku?

— Jaką to melodię gwizdał mój brat i zawsze przy tym fałszował?

Constance zastanowiła się, nie wyjmując rąk z ziemi, a potem zasnęła cicho. Zadrzałam.

— Oczywiście. Nigdy nie miałem słuchu muzycznego; potrafię zapamiętać, jak ludzie wyglądali, co mówili i co robili, ale nie to, co śpiewali. Mój brat zszedł na dół zaraz po Constance, nie dbając wcale, o to, czy przypadkiem nie budzi innych, gdy tak hałasuje i gwizdże.

Nawet nie pomyślał, że mogę jeszcze spać, aczkolwiek wówczas już się obudziłem. — Stryj Julian westchnął, uniósł głowę i obrzucił ogród jednym badawczym spojrzeniem. — Nie miał pojęcia, że to jego ostatni poranek na tym padole. Gdyby wiedział, chyba zachowywałby się ciszej. Usłyszałem ich oboje z Constance w kuchni i powiedziałem żonie, która też się obudziła, hałas ją obudził... a zatem powiedziałem żonie: powinnaś się ubrać, w końcu mieszkamy u moich braterstwa i musimy pamiętać, by okazywać im przyjaźń i chęć pomocy we wszystkich okolicznościach, więc ubierz się i zejdz do kuchni, do Constance. Uczyniła, co kazałem; nasze żony zawsze robiły to, co im kazano, aczkolwiek moja bratowa wstała tamtego ranka bardzo późno. Może miała przecucie i pragnęła wykorzystać te chwile na ostatni ziemski wypoczynek. Słyszałem wszystkich. Usłyszałem chłopca schodzącego na dół. Pomyślałem, że powinienem się ubrać. Constance?

— Tak, stryjku?

— Wówczas jeszcze ubierałem się sam, jak wiesz, aczkolwiek ów dzień był ostatnim. Jeszcze potrafiłem chodzić, ubrać się i jeść sam, i nic mnie nie bolało. Dobrze sypiałem, jak przystało silnemu mężczyźnie. Nie byłem już młody, lecz byłem silny, sypiałem dobrze i potrafiłem sam się ubrać.

— Czy przykryć stryjkowi kolana kocem?

— Nie, moja droga, dziękuję ci. Zawsze byłaś dobrą bratanicą, aczkolwiek istnieją pewne podstawy, by przypuszczać, iż byłaś nieposłuszną córką. Moja bratowa zeszła na dół przede mną. Na śniadanie były naleśniki. Mój brat zjadł dwa smażone jajka, a moja żona, mimo iż nie zachęcałem jej do zbyt obfitych posiłków, ponieważ mieszkaliśmy w domu brata, zjadła sporą porcję kielbasek. Domowych kielbasek, robionych przez Constance. Constance?

— Tak, stryjku?

— Sądzę, iż gdybym wiedział, że to jej ostatnie śniadanie, pozwoliłbym jej zjeść więcej tych kiełbasek. Teraz, gdy o tym myślę, jestem zdumiony, że nikt nie podejrzewał, iż jest to ostatni poranek; gdyby wiedzieli, nie żałowałiby mojej żonie kiełbasek. Brat niekiedy czynił uwagi na temat tego, ile z żoną zjadamy; był człowiekiem sprawiedliwym i nigdy nie skąpił jedzenia, jeśli nie braliśmy zbyt wiele. Tamtego ranka obserwował moją żonę nakładającą sobie kiełbaski, Constance. Widziałem, jak na nią patrzył. Nie braliśmy od niego dużo, Constance. On sam zjadł naleśniki, jajka i kiełbaski, czułem jednak, że ma zamiar pomówić z moją żoną; a chłopiec zjadł solidne śniadanie. Cieszę się, że owego dnia jedzenie było szczególnie smaczne.

— W przyszłym tygodniu mogę przyrządzić stryjkowi kiełbaski. Nie sądzą, aby stryjkowi zaszkodziła niewielka ilość domowych kiełbasek.

— Brat nigdy nie żałował nam jedzenia, jeśli tylko nie braliśmy za dużo. Moja żona pomogła w zmywaniu naczyń.

— Byłam jej bardzo wdzięczna.

— Myślę teraz, że mogła była zrobić więcej. Zabawiała bratową, dbała o ubrania, rano pomagała w zmywaniu, lecz podejrzewam, iż mój brat uważał, że mogła robić więcej. Po śniadaniu wyjechał na spotkanie w interesach.

— Chciał zbudować altankę; zamierzał posadzić wokół niej dzikie wino.

— Przykro mi z tego powodu; moglibyśmy teraz jeść dżem z własnych winogron. Zawsze lepiej mi się rozmawiało, kiedy go nie było; przypominam sobie, że owego ranka zabawiałem damy i że siedzieliśmy tutaj, w ogrodzie. Rozmawialiśmy o muzyce. Moja żona była dość muzykalna, choć nigdy nie nauczyła się grać. Moja bratowa miała delikatną rękę; zawsze mówiono, że ma delikatną rękę, i zazwyczaj grywała nam wieczorami. Oprócz tamtego wieczoru, rzecz jasna.

Wtedy nie była w stanie grać. Rano myśleliśmy, że zagra nam wieczorem, jak zwykle. Czy przypominasz sobie, Constance, iż tamtego ranka w ogrodzie byłem nadzwyczaj ożywiony?

— Pełłam grządki warzywne — odparła Constance. — Słyszałam, że wszyscy się śmieją.

— Bawiłem towarzystwo. Teraz jestem z tego zadowolony. — Umilkł na chwilę, splatając i rozplatając ręce.

Chciałam być dla niego milsza, ale nie mogłam za niego splatać rąk i nie miałam mu co przynieść, leżałam więc spokojnie i słuchałam, co mówi. Constance ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w jakiś liść, a po trawniku przesuwały się miękkie cienie.

— Chłopca nie było — odezwał się wreszcie stryj Julian smutnym, starym głosem. — Poszedł dokądś... czy łowił ryby, Constance?

— Wspinał się na kasztan.

— Pamiętam. Naturalnie. Pamiętam wszystko bardzo wyraźnie, moja droga, i mam to w moich notatkach. To był ich ostatni poranek i nie chciałbym go zapomnieć. Chłopiec wspiął się na drzewo i krzyczał do nas z wysoka, zrzucając gałązki, dopóki moja bratowa go nie skarciła. Zirykowały ją gałązki spadające na głowę. Mojej żonie to się również nie podobało, lecz za nic nie odezwałaby się pierwsza. Uważam, że moja żona była uprzejma dla twojej matki, Constance. Przykro byłoby mi myśleć inaczej; mieszkaliśmy w domu mego brata i jadaliśmy przy jego stole. Wiem, że mój brat wrócił do domu na lunch.

— Jedliśmy grzanki z serem — powiedziała Constance. — Cały ranek pracowałam w ogrodzie i musiałam przygotować na lunch coś szybkiego.

— To były grzanki. Często się zastanawiałem, dlaczego nie dodano do nich arszeniku. Ciekawa kwestia, na którą położę nacisk w mo-

jej książce. Dlaczego nie dodano arszeniku do grzanek? Straciliby wprawdzie przez to kilka godzin życia, ale prędzej byłoby po wszystkim. Constance, jedynym z twoich dań, które budzi we mnie silną niechęć, są grzanki z serem. Nigdy za nimi nie przepadałem.

— Wiem, stryжку. Nigdy ich stryjkowi nie podaję.

— Arszenik pasowałby do nich znakomicie. Przypominam sobie, że zamiast grzanek zjadłem sałatkę. Na deser był pudding jabłkowy z poprzedniego wieczoru.

— Słońce już niedługo zajdzie. — Constance wstała i otrzepała ręce. — Zawiozę stryжка do domu, bo inaczej stryjek zmarznie.

— Pasowałby znacznie bardziej do grzanek, Constance. Dziwne, iż wówczas nie podniesiono tej kwestii. Arszenik jest bez smaku, jak wiesz, w przeciwieństwie do grzanek. Dokąd mnie wieszysz?

— Do domu. Odpocznie stryjek godzinę przed kolacją, a po kolacji mogę coś zagrać, jeśli stryjek zechce.

— Nie mam czasu, moja droga. Muszę zapamiętać i zanotować tysiąc szczegółów, i nie mam chwili do stracenia. Za nic nie chciałbym pominąć żadnego drobiazgu z ich ostatniego dnia; moja książka musi być wyczerpująca. Myślę, iż ogólnie rzecz biorąc był to dla nich przyjemny dzień i lepiej, rzecz jasna, że nie podejrzewali, iż jest ostatnim. Mam wrażenie, że mi chłodno, Constance.

— Już za chwilę będzie stryjek w przytulnym pokoju.

Szłam powoli za nimi, niechętnie opuszczając ciemniejący ogród. Za mną ruszył Jonasz, kierując się ku oświetlonemu domowi. Gdy weszliśmy z Jonaszem do środka, Constance zamykała właśnie drzwi pokoju stryja Juliana. Uśmiechnęła się do mnie.

— Już prawie śpi — powiedziała łagodnie.

— Zaopiekujesz się mną, kiedy się zestarzeję jak stryj Julian? — zapytałam.

— Jeśli tylko jeszcze tu będę — odparła, a mnie przeszył dreszcz.

Siedziałam w kącie tuląc Jonasza i patrzyłam na Constance poruszającą się szybko i cicho po jasnej kuchni. Za kilka minut poprosi, żebym nakryła dla nas trojga w jadalni, a po kolacji nadejdzie wieczór i usiadzimy sobie w ciepłej kuchni. Dom będzie nas osłaniał i nikt z zewnątrz nie dostrzeże nawet światła.

Wielki

IV

W niedzielę rano zmiana przybliżyła się o dzień. Postanowiłam nie myśleć o trzech magicznych słowach i nie dopuszczać ich do głowy, lecz aura zmiany była tak silna, że nie dało się tego uniknąć; zmiana zawisła jak mgła nad schodami, kuchnią i ogrodem. Nie zapomniałam magicznych słów, które brzmiały MELODIA — GLOUCESTER — PEGAZ, ale nie dopuszczałam ich do świadomości. W niedzielę pogoda była niepewna i pomyślałam, że może Jonaszowi uda się w końcu dogonić burzę. Słońce oświetlało kuchnię, kiedy siedziałam przy śniadaniu, ale po niebie mknęły szybko chmury, a do środka wdzierały się ostre podmuchy wiatru.

— Włóż buty, jeśli chcesz dzisiaj wyjść — poleciła mi Constance.

— Nie sądzę, aby stryj Julian siedział dziś w ogrodzie. Byłoby mu za zimno.

— Rześkie wiosenne powietrze — powiedziała Constance, patrząc z uśmiechem na swój ogród.

— Kocham cię, Coñstance.

— A ja ciebie, niemądra Merricat.

— Czy stryj czuje się lepiej?

— Chyba nie. Podałam mu śniadanie, kiedy jeszcze spałaś, i wydał mi się bardzo zmęczony. Mówił, że zażył w nocy drugą pigułkę. Myślę, że mu się pogorszyło.

— Martwisz się o niego?

— Tak. Bardzo.

— Umrze?

— Wiesz, co mi dzisiaj powiedział? — Constance odwróciła się, oparła o zlew i spojrzała na mnie ze smutkiem. — Myślał, że jestem ciocią Dorothy. Wziął mnie za rękę powiedział: „To straszne być starym i tak leżeć zastanawiając się, kiedy to nastąpi.” Prawie mnie wystraszył.

— Powinnaś mi była pozwolić zabrać go na księżyc.

— Dałam mu gorącego mleka i wtedy przypomniał sobie, kim jestem.

Pomyślałam sobie, że stryj Julian jest zapewne bardzo szczęśliwy, kiedy opiekują się nim Constance razem z ciocią Dorothy. Powiedziałam sobie, że długie, cienkie rzeczy mają mi przypominać, abym była miłsza dla stryja Juliana; zanosilo się na to, iż będzie to dzień długich, cienkich rzeczy, ponieważ znalazłam włos na szczoteczce do zębów, do mojego krzesła przyczepił się kawałek sznurka i widziałam drzazgę odłupaną od jednego z tylnych schodków.

— Zrób mu pudding — podsunęłam.

— Może zrobię. — Wyjęła długi, cienki nóż i położyła go obok zlewu. — Albo filiżankę kakao. A wieczorem kładzione kluski i kurczaka.

— Będę ci potrzebna?

— Nie, moja Merricat. Zmykaj, ale włóż buty.

Na zewnątrz światło dnia na przemian to jaśniało, to przygasało, a Jonasz szedł za mną przez cienie tanecznym krokiem. Kiedy biegłam, biegł także, a gdy przystawałam i zastygałam w bezruchu, on również się zatrzymywał, zerkał na mnie, a później ruszał żwawo w inną stronę, jakbyśmy się nie znali, po czym siadał i czekał, aż znowu podbie-

gnę. Zmierzaliśmy ku długiemu pastwisku, które wyglądało dzisiaj jak ocean, choć nigdy nie widziałam oceanu; trawa falowała na wietrze, cienie chmur przesuwały się tam i z powrotem, a drzewa w oddali kołysały gałęziami. Jonasz znikł wśród traw, tak wysokich, że idąc muskałam je dłońmi, i podążał własnymi, krętymi drózkami; trawa ugięła się w podmuchach wiatru i w takich chwilach widać było ścieżkę pozostawioną przez biegnącego Jonasza. Wyruszyłam z rogu pastwiska na ukos ku przeciwległemu rogowi i pośrodku natrafiłam bez trudu na kamień zakrywający miejsce, w którym leżała zagrzebana lalka; zawsze potrafiłam je odnaleźć, choć większość moich zakopanych skarbów była stracona bezpowrotnie. Kamień tkwił nieporuszony, a zatem lalka była bezpieczna. Krocę po zakopanych skarbach, pomyślałam, trawa muska moje ręce, wokół nie ma nic, tylko połąć pastwiska, falujące trawy i sosnowy lasek w oddali. Za sobą miałam dom, a daleko, po lewej stronie, przesłonięte drzewami i prawie niewidoczne ogrodzenie z drutu, które postawił ojciec, aby nikt nie mógł tu wejść.

Za długim pastwiskiem weszłam między cztery jabłonie, które nazywaliśmy sadem, i ruszyłam dalej ścieżką w stronę potoku. Kasetka ze srebrnymi dolarami, zakopana koło potoku, była bezpieczna. W pobliżu znajdowała się jedna z moich kryjówek, starannie zamaskowana i często wykorzystywana. Wyrwałam dwa czy trzy niskie krzaczki i wyrównałam ziemię; wokół rosły inne krzaki i gałęzie drzew, a wejście zasłaniała gałąź, która niemal dotykała ziemi. Prawdę mówiąc, nie musiałam aż tak się ukrywać, bo nikt mnie nigdy tu nie szukał, ale lubiałam leżeć w kryjówce razem z Jonaszem, wiedząc, że nikt mnie nie znajdzie. Przygotowałam sobie łóżko z liści i gałęzi, a Constance dała mi koc. Dzięki gęstym koronom drzew rosnących wokół było tu zawsze sucho i w niedzielne poranki kładłam się na łóżku, wysłuchując opowieści Jonasza. Wszelkie kocie opowieści zaczynają się od zdania: „Moja matka, pierwsza kocica, opowiedziała mi...” — i słuchałam leżąc z głową przytuloną do Jonasza. Nie będzie żadnej

zmiany, myślałam sobie, to tylko wiosna nadchodzi, nie mam się czego obawiać. Dni staną się cieplejsze, stryj Julian będzie przesiadywał w słońcu, Constance będzie się śmiała pracując w ogrodzie i wszystko zostanie takie jak dawniej. Jonasz opowiadał („A potem śpiewaliśmy! A potem śpiewaliśmy!”), liście szumiały mi nad głową i wszystko miało być takie jak dawniej.

Koło potoku znalazłam gniazdo młodych węży i zabiłam wszystkie; nie cierpię węży, a Constance nigdy mi tego nie zabroniła. W drodze powrotnej natrafiłam na zły znak, jeden z najgorszych. Moja książka, przybita do pnia sosny, odpadła. Uznałam, że rdza przeżarła gwóźdź i książka — czyli notes ojca, w którym były zapisane nazwiska ludzi winnych mu pieniądze oraz tych, od których jego zdaniem należała mu się przysługa — stała się jako narzędzie ochrony bezużyteczna. Przed przybiciem do drzewa owinęłam ją bardzo dokładnie w gruby papier, lecz gwóźdź przerdzewiał i spadła. Pomyślałam, że powinnam ją zniszczyć na wypadek, gdyby miała obudzić zło, a do drzewa przybić coś innego, może szal matki albo rękawiczkę. W rzeczywistości było za późno, choć wówczas jeszcze o tym nie wiedziałam; on zbliżał się już do domu. Zanim znalazłam książkę, zdążył prawdopodobnie zostawić walizkę na poczcie i rozpytać się o drogę. Obydwoje z Jonaszem wiedzieliśmy tylko, że jesteśmy głodni, więc pobiegliśmy do domu i razem z wiatrem wtargnęliśmy do kuchni.

— Naprawdę zapomniałaś o butach? — spytała Constance. Usiłowała zmarszczyć brwi, a potem parsknęła śmiechem. — Niemądra Merricat.

— Jonasz też nie miał butów. Cudowny dzień.

— Może jutro pójdziemy na grzyby.

— My z Jonaszem jesteśmy głodni już dzisiaj.

W tym czasie on szedł przez miasteczko w stronę

czarnej skały, a wszyscy spoglądali za nim, dziwili się i szeptali, gdy ich mijał.

Był to nasz ostatni piękny, letni dzień, aczkolwiek, jak by podkreślił stryj Julian, nawet się tego nie domyślaliśmy. Zjadłyśmy z Constance lunch, chichocząc i nie mając pojęcia, że gdy napawałyśmy się szczęściem, on już dobierał się do zamkniętej bramy, zerkał w głąb ścieżki i krążył po lasku, powstrzymywany chwilowo przez ogrodzenie naszego ojca. Deszcz zaczął padać, kiedy jeszcze siedziałyśmy w kuchni i zostawiłyśmy drzwi otwarte, żeby patrzeć na krople zraszające ogród i przecinające ukośnie ramę drzwi. Constance była zadowolona, jak każdy zapalony ogrodnik.

— Niedługo pojawią się kolory — powiedziała.

— Zostaniemy tu na zawsze, prawda, Constance?

— Nie chcesz stąd wyjechać, Merricat?

— A dokąd? — spytałam. — Gdzie byłoby nam lepiej? Kto chciałby nas przyjąć, tam, na zewnątrz? Świat jest pełen okropnych ludzi.

— Czasami się zastanawiam... — Przez chwilę była bardzo poważna, a potem odwróciła się do mnie z uśmiechem. — Nie martw się, Merricat. Nic się złego nie stanie.

W tej właśnie chwili musiał odnaleźć wejście i ruszyć w stronę podjazdu, umykając przed deszczem, bo upłynęła zaledwie minuta albo dwie, zanim go zobaczyłam. Mogłam w tym czasie zrobić mnóstwo rzeczy: jakoś ostrzec Constance albo wymyślić nowe, bezpieczne słowo magiczne, albo zastawić stołem kuchenne drzwi; lecz zamiast tego bawiłam się łyżką i patrzyłam na Jonasza, a gdy Constance zadrżała, powiedziałam: „Przyniosę ci sweter.” Dlatego właśnie znalazłam się w hallu, kiedy on wchodził po schodkach. Dostrzegłam go przez okno jadalni i przeszył mnie dreszcz; nie mogłam złapać tchu.

Wiedziałam, że frontowe drzwi są zaryglowane; pomyślałam o nich w pierwszej kolejności.

— Constance — odezwałam się cicho, zastygłszy w bezruchu — ktoś jest na zewnątrz. Kuchenne drzwi, szybko!

Myślałam, że usłyszała, bo była w kuchni, ale wezwał ją w tej samej chwili stryj Julian i poszła do niego, zostawiając bez opieki serce naszego domu. Pobiełam do frontowych drzwi, przyłgnęłam do nich i usłyszałam na zewnątrz kroki. Zastukał cicho, potem mocniej, a ja, opierając się o drzwi, czułam, że to stukanie godzi we mnie i wiedziałam, że on jest blisko. Poznałam od razu, że należy do tych złych; udało mi się dojrzeć jego twarz: była zła, taka jak u tych, którzy obchodzą dom próbując dostać się do środka, zaglądając w okna, szperając i kradnąc pamiątki.

Zastukał ponownie i zawołał:

— Constance? Constance?

No cóż, znali jej imię. Jej i stryja Juliana. Znali jej fryzury i kolor trzech sukienek, które musiała nosić w sądzie, jej wiek, ruchy i sposób mówienia; i gdy tylko mogli, zaglądali jej w twarz, by sprawdzić, czy płacze.

— Chcę rozmawiać z Constance — powiedział głos z zewnątrz, taki sam jak inne.

Dawno już nikt z nich nie pojawił się tutaj, ale ja nie zapomniałam tego uczucia. Z początku siedzieli tu bez przerwy, czekając na Constance, żeby tylko ją zobaczyć. „Popatrz — mówili — to ona, to ta, to Constance.” „Nie wygląda na morderczynię, prawda?”, mówili jeden do drugiego. „Słuchaj, spróbuj jej zrobić zdjęcie, kiedy się znów pokaże.” „Zerwijmy parę kwiatków — mówili bez skrępowania — weźmy kamyk albo coś z ogrodu, pokażemy to w domu dzieciakom.”

— Constance? — usłyszałam zza drzwi. — Constance? — Zastukał ponownie. — Chcę rozmawiać z Constance — powtórzył. — Mam jej coś ważnego do powiedzenia.

Zawsze mieli coś ważnego do powiedzenia Constance, kiedy napierali na drzwi, wrzeszczeli za oknem, telefonowali albo pisali ohydne listy. Czasami wołali Juliana Blackwooda, ale nigdy nie pytali o mnie. Odesłano mnie do łóżka bez kolacji, nie wezwano mnie do sądu, nikt nie zrobił mi zdjęcia. Kiedy przyglądali się Constance na sali sądowej, leżałam na pryczy w sierocińcu, wpatrzona w sufit, życząc im wszystkim śmierci i czekając na Constance, żeby przyszła i zabrała mnie do domu.

— Constance, słyszysz mnie? — dobiegło z zewnątrz. — Proszę, posłuchaj mnie choć przez chwilę.

Zastanawiałam się, czy on słyszy mój oddech za drzwiami. Wiedziałam, co teraz robi. Najpierw się cofnie, osłaniając oczy przed deszczem, i obejrzy okna na piętrze z nadzieją, że dostrzeże tam czyjąś twarz. Później ruszy w bok ścieżką przeznaczoną wyłącznie dla Constance i dla mnie. Kiedy natrafi na boczne drzwi, których nigdy nie otwieraliśmy, zapuka w nie, wzywając Constance. Czasami odchodzili, gdy nikt im nie otwierał, z lekka zakłopotani, że w ogóle się tu znaleźli, i żalowali, że zadali sobie tyle trudu, skoro nic nie mogli zobaczyć, a powinni byli pojechać gdzie indziej zamiast tracić czas. Zazwyczaj odjeżdżali pośpiesznie, gdy przekonywali się, że nie wejdą do środka i nie zobaczą Constance; ale inni, natręci, którym życzyłam śmierci, pragnęłam, żeby padli martwi na podjeździe, krążyli wokół domu, dobijając się do drzwi i okien. „Mamy p r a w o ją zobaczyć — wykrzykiwali. — Przecież zamordowała ich wszystkich, może nie?” Parkowali samochody tuż przed schodami. Przeważnie zamykali je pieczołowicie i sprawdzali wszystkie okienka, zanim zaczęli dobijać się do drzwi i wołać Constance. Wyprawiali pikniki na trawie i robili

sobie zdjęcia na tle domu, a ich psy biegały po ogrodzie. Wypisywali swoje imiona na ścianach i frontowych drzwiach.

— Słuchaj — mówił głos z zewnątrz. — Musisz mnie wpuścić.

Usłyszałam, jak schodzi po stopniach, i wiedziałam, że patrzy w stronę piętra. Wszystkie okna były zamknięte. Boczne drzwi także. Nawet nie próbowałam wyglądać przez wąskie szybki obok drzwi; oni zawsze zauważali najlżejszy ruch, a gdybym dotknęła zasłon w jadalni, od razu rzuciłby się w stronę domu, wykrzykując: „Tam jest! Tam jest!” Oparłam się o frontowe drzwi i pomyślałam, że kiedy je otworzę, będzie leżał martwy na podjeździe.

Wpatrywał się z uniesioną głową w obojętne oblicze domu, gdyż okna na piętrze były zawsze przesłonięte okiennicami. Nie mógł doczekać się stamtąd żadnej odpowiedzi, a ja musiałam zanieść Constance jakiś sweter, żeby nie trzęsła się z zimna. Pójście na górę niczym nie groziło, ale chciałam wrócić do Constance, póki on czekał za drzwiami, więc wbiegłam na schody, porwałam sweter z krzesła w pokoju Constance, a potem zbiegłam do hallu i popędziłam do kuchni, i on tam siedział, przy stole, na moim krześle.

— Znalazłam trzy magiczne słowa — powiedziałam, ściskając sweter. — Brzmiały: MELODIA, GLOUCESTER, PEGAZ, i byliśmy bezpieczni, dopóki ktoś nie wymówił ich na głos.

— Merricat — Constance odwróciła się do mnie z uśmiechem — to nasz kuzyn, Charles Blackwood. Od razu go poznałam. Jest bardzo podobny do ojca.

— No, Mary — przemówił wstając; był teraz wyższy niż w rzeczywistości, rósł zbliżając się do mnie. — Dasz buziaka kuzynowi?

Drzwi kuchenne za jego plecami były otwarte na oścież; nikt prócz niego nie wszedł dotychczas do domu, a wpuściła go Constance. Wstała; miała dość rozsądku, żeby mnie nie dotykać, powiedziała tyl-

ko łagodnie: „Merricat, Merricat”, i wyciągnęła ręce. Oplatał mnie zacisnięty drut, nie mogłam oddychać i musiałam uciec. Rzuciłam sweter na podłogę i wypadłam przez drzwi, biegnąc jak zawsze nad potok. Po chwili odnalazł mnie Jonasz i położyliśmy się razem pod gęstymi drzewami, które osłaniały nas przed deszczem, zamglone i pełne zrozumienia, lgnące do nas na swój zaborczy sposób. Patrzyłam na nie i słuchałam cichego szumu wody. Nie było tu żadnego kuzyna, żadnego Charlesa Blackwooda, żadnego intruza. To dlatego, że książka spadła z drzewa; zaniedbałam przybicia jej na powrót i w murze naszego bezpieczeństwa pojawiła się szczelina. Jutro znajdę coś potężnego i przybiję do drzewa. Usnęłam słuchając Jonasz, w chwili, gdy zaczął nas okrywać cień. W nocy Jonasz wyruszył na polowanie, a potem wrócił, wyrywając mnie ze snu i przytulił się, by się ogrzać. „Jonasz”, powiedziałam, a on zamruczał kojąco. Kiedy obudziłam się wczesnym rankiem, nad potokiem płynęła delikatna mgielka, która kłębiła się wokół mojej twarzy, muskając ją lekko. Leżałam i śmiałam się głośno, czując prawie nierzeczywisty dotyk mgły na powiekach i spoglądając w górę, ku drzewom.

V

Kiedy weszłam do kuchni, owiana jeszcze mgiełką znad potoku, Constance szykowała tacę ze śniadaniem dla stryja Juliana. Stryj najwyraźniej czuł się dobrze tego ranka, ponieważ Constance nalała mu herbaty, a nie gorącego mleka; musiał obudzić się wcześniej i poprosić o herbatę. Podeszłam i objęłam Constance, a ona uścisnęła mnie.

— Dzień dobry, moja Merricat — powiedziała.

— Dzień dobry, moja Constance. Czy stryj Julian lepiej się dziś czuje?

— O wiele lepiej. I po wczorajszym deszczu zaświeci nam słońce. A ja zrobię ci na kolację mus czekoladowy, moja Merricat.

— Kocham cię, Constance.

— A ja ciebie. Co zjesz na śniadanie?

— Naleśniki. Malutkie i gorące. I dwa smażone jajka. Dzisiaj przybędzie mój skrzydlaty koń i zabiorę cię na księżyc, a na księżycu będziemy jadły płatki róż.

— Niektóre są trujące.

— Ale nie na księżycu. Czy to prawda, że można zasadzić liść?

— Nie każdy. Tylko taki pokryty puszką. Możesz go wstawić do wody, a gdy wypuści korzenie, wsadzasz go do ziemi i wyrasta z niego roślina. Oczywiście ta, do której przedtem należał, a nie jaka zechcesz.

— Szkoda. Dzień dobry, Jonaszu. Myślę, że jesteś liściem okrytym puchem.

— Niemądra Merricat.

— Lubię liście, z których wyrastają inne rośliny. Całe puchate.

Constance wybuchnęła śmiechem.

— Jeżeli będę cię dalej słuchała, stryj Julian nigdy nie doczeka się śniadania — powiedziała. Wzięła tacę i weszła do pokoju stryja.
— Gorąca herbata — oznajmiła.

— Constance, moja droga. Wspaniały ranek, czyż nie? Wyśmienity dzień do pracy.

— I do przesiadywania w słońcu.

Jonasz siedział na rozslonecznionym progu i mył sobie pyszczek. Byłam głodna; może stryjowi Julianowi zrobiłoby się miło, gdybym położyła piórko na trawniku, w miejscu, gdzie stanie jego wózek; nie wolno mi było zakopywać niczego pod trawnikiem. Na księżycu nosiłyśmy pióra we włosach i rubiny na palcach. Na księżycu jadałyśmy złotymi łyżkami.

— Być może dzisiaj jest dobry dzień, żeby zacząć nowy rozdział. Constance?

— Tak, stryjku?

— Czy sądzisz, że powinienem dzisiaj zacząć rozdział czterdziesty czwarty?

— Oczywiście.

— Niektóre z wcześniejszych stron potrzebują nieco szlif. Ta praca nigdy się nie kończy.

— Może stryjka uczesać?

— Dziękuję, ale dzisiaj chyba uczeszę się sam. Mimo wszystko człowiek winien odpowiadać za własną głowę. Nie dostałem dżemu.

— Mam stryjkowi przynieść?

— Nie, gdyż widzę, że jakimś sposobem zdążyłem już zjeść całą grzankę. Marzy mi się pieczona wątróbka na lunch, Constance.

— Przyrządę ją. Czy zabrać tacę?

— Tak, dziękuję. Uczeszę się.

Constance wróciła do kuchni i postawiła tacę.

— A teraz ty, moja Merricat — powiedziała.

— I Jonasz.

— Jonasz już dawno zjadł śniadanie.

— Zasadzisz dla mnie liść?

— Może kiedyś. — Odwróciła głowę, nasłuchując.

— Jeszcze śpi — stwierdziła.

— Kto jeszcze śpi? Czy zobaczę, jak rośnie?

— Kuzyn Charles — odparła.

Mój dzień rozsypał się na kawałki. Widziałam Jonasza na progu i Constance przy kuchennym piecu, ale stracili kolor. Nie mogłam oddychać, byłam ciasno związana, wszystko było zimne.

— To był duch — powiedziałam.

Z bardzo daleka dobiegł mnie śmiech Constance.

— A więc duch śpi w łóżku ojca. I zjadł wczoraj obfitą kolację. Kiedy ciebie nie było — dodała.

— Śniło mi się, że przyszedł. Usnęłam leżąc na ziemi i przyśniło mi się, że przyszedł, ale wyśniłam go stąd i odszedł. — Byłam związana; mogłam zacząć oddychać na nowo, kiedy Constance mi uwierzy.

— Wczoraj wieczorem długo rozmawialiśmy.

— Idź i zobacz — powiedziałam nie oddychając.

— Idź i zobacz, że go tam nie ma.

— Niemądra Merricat — odparła.

Nie mogłam uciec; musiałam pomóc Constance. Podniosłam szklankę i rozbiłam ją na podłodze.

— Teraz sobie pójdzie — powiedziałam. Constance podeszła do stołu i z bardzo poważną miną usiadła naprzeciw mnie. Pragnęłam obejść stół i przytulić ją, ale nadal nie miała koloru.

— Moja Merricat — zaczęła powoli — kuzyn Charles jest tutaj. I j e s t naszym kuzynem. Dopóki żył jego ojciec, Arthur Blackwood, brat naszego taty, kuzyn Charles nie mógł nas odwiedzać ani nam pomagać, bo ojciec mu nie pozwalał. Jego ojciec — tu uśmiechnęła się lekko — bardzo źle o nas myślał. Czy wiesz, że nie chciał zaopiekować się tobą podczas procesu? Nie życzył sobie także, by wymawiano nasze imiona w jego domu.

— Więc dlaczego ty wymawiasz jego imię w naszym domu?

— Bo próbuję ci to wszystko wytłumaczyć. Zaraz po śmierci ojca kuzyn Charles przyjechał tu, żeby nam pomóc.

— W czym miałyby nam pomagać? Przecież jesteśmy bardzo szczęśliwe, prawda, Constance?

— Bardzo, Merricat. Ale proszę cię, bądź miła dla kuzyna Charlesa.

Mogłam lekko odetchnąć; wszystko będzie dobrze. Kuzyn Charles był duchem, ale takim, którego można przepędzić.

— On odejdzie — powiedziałam.

— Nie sędzę, by miał zamiar zostać tu na zawsze — odparła Constance. — W końcu przyjechał tylko w odwiedziny.

Musiałam coś znaleźć, jakieś narzędzie, którego mogłabym użyć przeciwko niemu.

— Czy stryj Julian go widział?

— Stryj Julian wie, że on tu jest, ale wczoraj czuł się tak źle, że nie opuszczał swojego pokoju. Zaniiosłam mu kolację na tacy i zjadł tylko trochę zupy. Cieszę się, że dziś rano poprosił o herbatę.

— Dzisiaj sprzątam dom.

— Później, kiedy kuzyn Charles wstanie. Lepiej zmiotę to szkło, zanim on zejdzie na dół.

Patrzyłam na nią, gdy zamiatała kuchnię; dzisiejszy dzień miał być połyskliwy, pełen drobnych, migotliwych rzeczy. Nie było sensu spieszyć się ze śniadaniem, ponieważ i tak nie mogłam wyjść, dopóki nie posprzątam, siedziałam więc, sącząc mleko i obserwując Jonasza. Zanim skończyłam, stryj Julian zawołał Constance, żeby pomogła mu przenieść się na wózek. Przywiozła go do kuchni i ustawiła przy biurku, na którym leżały jego papiery.

— Doprawdy, sędzę, że rozpocznę rozdział czterdziesty czwarty — oznajmił, zacierając ręce. — I rozpocznę chyba od lekkiej przesady, by przejść następnie do wierutnego kłamstwa. Constance, moja droga?

— Tak, stryjku?

— Zamierzam napisać, że moja żona była piękną kobietą.

W tej chwili umilkliśmy wszyscy, słysząc ze zdumieniem kroki na górze, gdzie dotychczas zawsze panowała cisza. Tupanie nad głowami było przykre. Constance stąpała lekko, stryj Julian wcale, a te kroki były ciężkie, równe i złe.

— To kuzyn Charles — powiedziała Constance spoglądając ku górze.

— Zaiste — rzekł stryj Julian. Starannie ułożył przed sobą papier i sięgnął po ołówek. — Spodziewam się znaleźć niemałą przyjemność w towarzystwie syna mego brata — stwierdził. — Być może zechce uzupełnić kilka szczegółów dotyczących postępowania rodziny w trakcie procesu. Wyznam wszakże, iż posiadam gdzieś notatki na temat rozmowy, jaką mogli byli przeprowadzić... — zajrzał do jednego z notesów. — Podejrzewam, że to opóźni pracę nad rozdziałem czterdziestym czwartym.

Zabrałam Jonasza i wyniosłam się do swojego kąta, a Constance wyszła do hallu na spotkanie Charlesa, który schodził na dół.

— Dzień dobry, kuzynie — powiedziała.

— Dzień dobry, Connie. — Był to ten sam głos, którego używał poprzedniego wieczoru. Wycofałam się głębiej w kąt, kiedy wprowadziła go do kuchni, a stryj Julian musnął dłonią swoje papiery i odwrócił się ku drzwiom.

— Stryj Julian. Cieszę się, że wreszcie mogę stryja poznać.

— Charles. Jesteś synem Arthura, ale przypominasz mego brata Johna, który już nie żyje.

— Arthur także umarł. Dlatego tu przyjechałem.

— Ufam, iż zmarł w dostatku? Tylko ja jeden nie potrafiłem zarobić pieniędzy.

— Prawdę mówiąc, stryjkę, ojciec nic mi nie zostawił.

— Szkoda. Jego ojciec pozostawił był znaczną sumę. Nawet po podziale między nas trzech każdy otrzymał znaczną sumę. Od początku wiedziałem, że moja część się rozplynie, lecz nie podejrzewałem, że to samo przydarzy się memu bratu Arthurowi. Może twoja matka była kobietą rozrzutną? Niezbyt dokładnie ją pamiętam. Przypominam sobie, że gdy moja bratanica Constance napisała podczas procesu do swego stryja, otrzymała odpowiedź od jego żony, domagającej się zerwania kontaktów rodzinnych.

— Chciałem przyjechać wcześniej, stryjku.

— Nie wątpię. Przez młodych zawsze przemawia ciekawość. A kobieta taka sławna jak twoja kuzynka Constance mogła stanowić romantyczną postać dla młodego człowieka. Co Constance?

— Tak, stryjku?

— Czy zjadłem śniadanie?

— Owszem.

— A zatem napiłbym się jeszcze herbaty. Mamy z tym młodzieńcem wiele spraw do omówienia.

Nadal nie widziałam go wyraźnie, może dlatego, że był duchem, a może dlatego, że był taki ogromny. Jego duża, okrągła twarz, bardzo podobna do twarzy naszego ojca, zwracała się to w stronę Constance, to do stryja Juliana, uśmiechając się i poruszając ustami. Wcisnęłam się w kąt, jak mogłam najdalej, ale w końcu ta duża twarz zwróciła się także ku mnie.

— A oto i Mary — powiedziała twarz. — Dzień dobry, Mary.

Pochyliłam głowę nad Jonaszem.

— Nieśmiała? — spytał Charles Constance. — To nic. Dzieciaki zawsze lgną do mnie.

— Nieczęsto widzujemy obcych ludzi — odparła Constance ze śmiechem.

Wcale nie czuła się niezręcznie ani nieswojo; zupełnie jakby przez całe życie oczekiwała przyjazdu kuzyna Charlesa i dokładnie zaplanowała, co robić i co mówić; niemal jakby w domu jej życia zawsze czekał wolny pokój dla kuzyna Charlesa.

Wstał i podszedł bliżej.

— Ładny kot — powiedział. — Czy ma jakieś imię?

Spojrzeliliśmy z Jonaszem na niego, a ja pomyślałam, że imię mojego kota może być najbezpieczniejszym z pierwszych słów, jakie wypowiem.

— Jonasz — odparłam.

— Jonasz? Czy to twój ulubieniec?

— Tak — odparłam. Patrzyliśmy na niego, Jonasz i ja, nie śmiejąc mrugnąć ani odwrócić oczu. Duża biała twarz tkwiła blisko, wciąż podobna do twarzy ojca, a duże usta rozciągały się w uśmiechu.

— Zostaniemy bliskimi przyjaciółmi, ty, Jonasz i ja — powiedział.

— Co zjesz na śniadanie? — zapytała go Constance i uśmiechnęła się do mnie, ponieważ powiedziałam, jak Jonasz ma na imię.

— Cokolwiek podasz — odparł, odwracając się wreszcie ode mnie.

— Merricat dostała naleśniki.

— Naleśniki będą w sam raz. Dobre śniadanie w czarującym towarzystwie i w piękny dzień; czegoż więcej mógłbym pragnąć?

— Naleśniki — zauważył stryj Julian — są posiłkiem cenionym w tej rodzinie, aczkolwiek ja sam rzadko je jadam. Stan zdrowia pozwala mi jedynie na najlżejsze i najdelikatniejsze dania. Właśnie naleśniki podano na śniadanie w ów ostatni...

— Stryjku — przerwała Constance — papiery upadły stryjkowi na podłogę.

— Proszę pozwolić, że je podniosę. — Kuzyn Charles ukląkł, by pozbierać papiery, a Constance powiedziała:

— Po śniadaniu pokażę ci ogród.

— Rycerski młodzian — rzekł stryj Julian biorąc kartki z rąk Charlesa. — Dziękuję ci. Nie jestem w stanie skakać po pokoju i kłękać na podłodze, dlatego miło mi poznać kogoś, kto to potrafi. Przypuszczam, że jesteś o rok lub dwa starszy od mojej bratanicy?

— Mam trzydzieści dwa lata — odparł Charles.

— A Constance jakieś dwadzieścia osiem. Dawno już zaniechaliśmy obchodzenia urodzin, lecz sądzę, że dwadzieścia osiem to właściwa liczba. Constance, nie powinienem tyle mówić z pustym żołądkiem. Gdzie moje śniadanie?

— Zjadł je stryjek godzinę temu. Zaraz podam stryjkowi herbatę, a kuzynowi Charlesowi naleśniki.

— Charles jest odważny. Twoja kuchnia, aczkolwiek niewątpliwie wyśmienita, ma swoje ujemne strony.

— Nie obawiam się żadnej potrawy przyrządzonej przez Constance — oznajmił kuzyn Charles.

— Doprawdy? — rzekł stryj Julian. — Moje gratulacje. Miałem na myśli skutek, jaki ciężkostrawne danie w rodzaju naleśników może wyrzucić w przypadku delikatnego żołądka. T y zaś, jak przypuszczam, miałeś na myśli arszenik.

— Chodź zjeść śniadanie — powiedziała Constance.

Śmiałam się, kryjąc twarz w futerku Jonasza. Wzięcie do ręki widełca zajęło Charlesowi dobre pół minuty i ciągle uśmiechał się do Constance. Wreszcie, świadom tego, że Constance, stryj Julian, Jonasz i ja przyglądamy mu się, odkroił i podniósł kawałeczek naleśnika, ale nie mógł się zdobyć na włożenie go do ust. W końcu odłożył widelec z nabitym kawałkiem na talerz i zwrócił się do stryja Juliana.

— Pomyślałem sobie — zaczął — że póki tu jestem, mógłbym coś dla was zrobić: przekopać ogród albo skoczyć po zakupy. Nieźle sobie radzę z ciężką pracą.

— Wczoraj wieczorem zjadłeś u nas kolację i jakoś dożyłeś ranka — powiedziała Constance. Śmiałam się, ale ona nagle niemal się rozgniewała.

— Co? — spytał Charles. — Och — spojrzał na swój widelec, jakby o nim zapomniał, a potem chwycił go i pospiesznie wetknął do ust kawałek naleśnika. Przeżuł go, połknął i spojrzał na Constance. — Pyszne — powiedział.

Constance uśmiechnęła się do niego.

— Constance?

— Tak, stryjku?

— Sądzę, że dzisiaj nie zacznę jednak rozdziału czterdziestego czwartego. Wrócę chyba do rozdziału

siedemnastego, w którym, o ile sobie przypominam, napomknąłem pokrótce o twoim kuzynie i jego rodzicach, oraz o ich postawie podczas procesu. Charles, jesteś młodzieńcem inteligentnym. Chętnie wysłucham twojej opowieści.

— To było tak dawno temu — powiedział Charles.

— Powinieneś był prowadzić notatki — stwierdził stryj Julian.

— To znaczy — podjął Charles — czy nie można by o tym zapomnieć? Odgrzewanie tych wspomnień nie ma sensu.

— Zapomnieć? — powtórzył stryj Julian. — Zapomnieć?

— To były smutne i straszne dni, i rozmowa o nich nie wyjdzie Connie na dobre.

— Młody człowieku, podejrzewam, że lekceważysz sobie moją pracę. Mężczyzna nie może lekceważyć pracy. Mężczyzna robi to, co ma do zrobienia. Pamiętaj o tym, Charles.

— Mówiłem po prostu, że nie chcę rozmawiać o Connie i tamtym złym okresie.

— Zatem będę zmuszony do wymyślania, tworzenia fikcji, korzystania z wyobraźni.

— Odmawiam dalszej dyskusji na ten temat.

— Constance?

— Tak, stryjku? — Constance miała bardzo poważną minę.

— To się naprawdę wydarzyło? Pamiętam, że się wydarzyło — powiedział stryj Julian zasłaniając usta.

Constance wahała się przez chwilę.

— Oczywiście, stryjku — odparła wreszcie.

— Moje notatki... — głos stryja Juliana przycichł i stryj wskazał ręką na papiery.

— Tak, stryjku. To się zdarzyło naprawdę.

Czułam złość, bo Charles powinien być miły dla stryja Juliana. Przypomniałam sobie, że dzisiejszy dzień miał być dniem migotliwe-

go blasku, i pomyślałam, że wyszukam coś ładnego i lśniącego i położę obok wózka stryja.

— Constance?

— Tak?

— Czy mogę wyjechać do ogrodu? Czy jest mi dość ciepło?

— Chyba tak, stryjku.

Constance również było przykro. Stryj Julian smutno potrząsnął głową, odłożywszy ołówek. Constance weszła do jego pokoju i przyniosła szal, którym łagodnie okryła ramiona stryja. Charles dziarsko zajadał naleśniki i nie podnosił głowy; zastanawiałam się, czy obchodziło go to, że był nieuprzejmy dla stryja Juliana.

— Teraz zawiozę stryjka do ogrodu — powiedziała cicho Constance. — Słońce będzie przygrzewało, ogród jest jasny, a na lunch upiekę wątróbkę.

— Może nie — powiedział stryj Julian. — Może lepiej zjem jajko.

Constance delikatnie przesunęła wózek ku drzwiom i ostrożnie przepchnęła go przez stopień. Charles podniósł oczy znad naleśników, lecz gdy zaczął wstawać, aby pomóc Constance, pokręciła przecząco głową.

— Ustawię wózek w specjalnym miejscu — zwróciła się do stryja Juliana — tam, gdzie będę mogła stryjka widzieć przez cały czas i machać do stryjka pięć razy na godzinę.

Słyszeliśmy ją przemawiającą bez przerwy do stryja Juliana, kiedy wiozła go do wybranego miejsca. Jonasz opuścił mnie i usiadł w progu, by móc ich obserwować.

— Jonaszu? — odezwał się Charles, a Jonasz odwrócił głowę w jego stronę. Nie podobał mi się sposób, w jaki on mówił do Jonasza, ani sposób, w jaki Jonasz zdawał się go słuchać. — Co mam zrobić, żeby kuzynka Mary mnie polubiła? — spytał Charles, a Jonasz zerknął przelotnie na mnie i wrócił spojrzeniem do Charlesa. — Przyjechałem w odwiedziny do moich drogich kuzynek — ciągnął Charles — drogich kuzynek i starego stryja, których nie widziałem od lat, a tymczasem kuzynka Mary nie chce nawet być dla mnie uprzejma. Co o tym sądzisz, Jonaszu?

Nad zlewem błyszczała wzbierająca kropla wody. Może gdybym wstrzymała oddech, dopóki ta kropla nie spadnie, Charles by odszedł, ale wiedziałam, że tak się nie stanie; wstrzymywanie oddechu było zbyt łatwe.

— No cóż — powiedział Charles do Jonasza — Constance mnie lubi, a chyba tylko to się liczy.

Constance podeszła do drzwi i czekała, aż Jonasz się przesunie, a gdy tego nie zrobił, przestąpiła nad nim.

— Dołożyć ci naleśników? — zwróciła się do Charlesa.

— Nie, dziękuję. Próbuję zawrzeć znajomość z moją małą kuzyneczką.

— Wkrótce cię polubi. — Constance patrzyła na mnie. Jonasz zaczął się myciem, a ja w końcu wymyśliłam, co powiedzieć.

— Dzisiaj sprzątam dom.

Stryj Julian przespał w ogrodzie całe przedpołudnie. Constance często podchodziła do okien sypialni, żeby na niego popatrzeć, kiedy pracował, i od czasu do czasu przystawała ze ściereczką w dłoni, jakby zapominając, że ma odkufzyć szkatułkę matki z perłami, pierścieniem z szafirem i diamentową broszką. Wyjrzałam przez okno tylko raz i zobaczyłam, że stryj Julian zamknął oczy, a Charles stoi w

poblizu. Przykro było myśleć o Charlesie idącym między grządkami warzyw, pod jabłoniami, a potem przez trawnik w stronę śpiącego stryja Juliana.

— Dzisiaj pominiemy pokój ojca — powiedziała Constance — ponieważ mieszka tam Charles. — Po chwili dodała, jakby myślała o tym wcześniej: — Zastanawiam się, czy to byłoby właściwe, gdybym włożyła perły mamy. Nigdy nie nosiłam pereł.

— Zawsze leżały w kasetce — odparłam. — Musiałabyś je wyjąć.

— Na pewno nikogo to nie obchodzi.

— Mnie obchodzi, jeśli będziesz wyglądała w nich jeszcze piękniej.

Constance parsknęła śmiechem.

— Teraz ja jestem niemądra — stwierdziła. — Po co miałabym wkładać perły?

— Lepiej niech zostaną w kasetce, gdzie ich miejsce.

Charles zamknął drzwi pokoju, więc nie mogłam

zajrzeć do środka, ale zastanawiałam się, czy ruszał rzeczy ojca albo położył kapelusz, chustkę lub rękawiczki na toalecie obok srebrnych szczotek. Zastanawiałam się, czy zaglądał do szafy i szuflad. Pokój ojca znajdował się od frontu i ciekawa byłam, czy Charles spoglądał przedtem przez okna na trawnik, długi podjazd i drogę, pragnąc wrócić do domu.

— Ile czasu zajęło Charlesowi dostanie się tutaj?

— zapytałam Constance.

— Chyba cztery do pięciu godzin — odparła.

— Przyjechał do miasteczka autobusem, a stamtąd musiał przyjść na piechotę.

— A więc powrót do domu też zajmie mu cztery do pięciu godzin?

— Tak sędzę. Jeśli już się tam wybierze.

— Ale najpierw musi dojść do miasteczka?

— Tak, chyba że go zawieziesz na swoim skrzydlatym koniu.

— Nie mam skrzydlatego konia — powiedziałam.

— Och, Merricat — westchnęła Constance. — Charles nie jest zły.

W lustrach migotały iskierki, a diamenty i perły w kasetce matki lśniły w mroku. Cień Constance przesuwał się tam i z powrotem po korytarzu, kiedy podchodziła do okna popatrzeć na stryja Juliana, a na dworze młode listki drżały w blasku słońca. Charles dostał się do środka tylko dlatego, że coś przerwało magiczny krąg; gdyby mi się udało odbudować ochronny czar wokół Constance i odgrodzić Charlesa, musiałby stąd odejść. Trzeba usunąć z domu wszelkie ślady jego dotknięć.

— Charles jest duchem — powiedziałam, a Constance westchnęła.

Wytałam ściereczką gałkę u drzwi pokoju ojca i przynajmniej jeden ze śladów Charlesa zniknął.

Po sprzątnięciu pokoiów na górze zeszliśmy razem na dół, niosąc ścierki, miotłę, śmietniczkę i szmatę niczym para czarownic wracających do domu. W bawialni odkurzyliśmy złote nogi krzeseł i harfę, i wszystko zaczęło błyszczeć, nawet niebieska suknia na portrecie naszej matki. Końcem miotły owiniętym szmatką odkurzyłam ozdobne girlandy pod sufitem, chwiejąc się przy tym i udając, że sufit jest pod-

łogą, a ja ą zamiatam. Unosiłam się w powietrzu, wpatrzona w ruchliwą miotłę, nieważka i fruująca, dopóki pokój nie zawirował wokół mnie, i wtedy znowu znalazłam się na podłodze, spoglądając w górę.

— Charles jeszcze nie widział tego pokoju — powiedziała Constance. — Mama była z niego taka dumna. Powinnam była od razu mu go pokazać.

— Czy mogłabym dostać kanapki na lunch? Chcę pójść nad potok.

— Prędzej czy później będziesz musiała usiąść z nim przy stole, Merricat.

— Dziś wieczorem. Obiecuję.

Odkurzyłyśmy jadalnię, srebrny serwis do herbaty

i wysokie, drewniane oparcia krzeseł. Co kilka minut Constance wychodziła do kuchni, by zerknąć przez drzwi na stryja Juliana, a raz usłyszałam jej śmiech i okrzyk: „Uważaj, tam jest błoto!”, i wiedziałam, że woła do Charlesa.

— Gdzie posadziłaś Charlesa wczoraj przy kolacji? — spytałam w pewnej chwili.

— Na miejscu ojca — odparła i dodała: — Ma pełne prawo tam siedzieć. Jest gościem, a prócz tego wygląda jak ojciec.

— Czy dzisiaj też tam usiądzie?

— Tak, Merricat.

Odkurzyłam starannie krzesło ojca, choć to niewiele dawało, skoro Charles miał na nim znowu usiąść. Będę musiała wyczyścić wszystkie srebra.

Zakończywszy sprzątanie domu, wróciłyśmy do kuchni. Charles siedział przy stole paląc fajkę i patrzył na Jonasza, który odwzajemniał mu spojrzenie. Dym z fajki stanowił przykry widok w naszej kuchni i nie podobało mi się, że Jonasz patrzy na Charlesa. Constance poszła do ogrodu po stryja Juliana i dobiegł nas jego głos:

— Dorothy? Nie spałem, Dorothy.

— Kuzynka Mary mnie nie lubi — powiedział Charles do Jonasza. — Ciekawe, czy kuzynka Mary wie, jak odpłacam tym, którzy mnie nie lubią. Czy pomóc ci z tym wózkiem, Constance? Jak się stryjkowi spało?

Constance zrobiła kanapki dla mnie i Jonasza i zjedliśmy je na drzewie; ja siedziałam w niskim rozwidleniu, a Jonasz obok na gałęzi, wypatrując ptaków.

— Jonaszu — przemówiłam do niego — nie wolno ci więcej słuchać kuzyna Charlesa — a Jonasz przyjrzał mi się szeroko otwartymi oczyma, zdumiony, że ośmielam się podejmować decyzję w jego imieniu. — Jonaszu — powiedziałam — on jest duchem — a Jonasz zamknął oczy i odwrócił głowę.

Było ważne, aby wybrać właściwy sposób pozbycia się Charlesa. Niedoskonały lub źle użyty czar mógł sprowadzić na nasz dom jeszcze gorszą katastrofę. Pomyślałam o klejnotach matki, ponieważ był to dzień błyszczących rzeczy, lecz klejnoty mogły okazać się zbyt słabe na matowy dzień, a Constance gniewałaby się na mnie, gdybym je wyjęła z kasetki, gdzie było ich miejsce, zwłaszcza że sama postanowiła tego nie robić. Pomyślałam o książkach, które mają silną moc ochronną; ale książka ojca odpadła od drzewa i wpuściła Charlesa, a zatem książki najwyraźniej nie stanowiły skutecznej osłony przed Charlesem. Oparłam się o pień drzewa i myślałam o magii; jeżeli Charles nie wyjedzie w ciągu trzech dni, stłukę lustro w hallu.

Przy kolacji siedział naprzeciw mnie na krześle ojca, a jego szeroka, biała twarz przesłaniała srebra stojące na kredensie. Obserwował Constance, gdy kroić kurczaka dla stryja Juliana i układała starannie na talerzu, i obserwował stryja odgryzającego pierwszy kęs i obracającego go w ustach.

— Oto biskwit dla stryjka — powiedziała Constance. — Niech stryjek zje miękki środek.

Przez zapomnienie Constance dodała zaprawy do mojej sałatki, ale i tak nie mogłabym nic przełknąć, obserwowana przez tę wielką, białą twarz. Jonasz, któremu nie wolno było jeść kurczaka, siedział na podłodze koło mojego krzesła.

— Czy on zawsze jada z wami? — spytał w pewnej chwili Charles, wskazując stryja ruchem głowy.

— Jeżeli tylko dobrze się czuje — odparła Constance.

— Dziwię się, że to znosisz — stwierdził Charles.

— Powiadam ci, John — zwrócił się nagle stryj Julian do Charlesa — inwestycje nie są już takie, jakie były w czasach, gdy ojciec zdobył swój majątek. Był sprytny, ale nie rozumiał, że czasy się zmieniają.

— Do kogo on mówi? — spytał Charles Constance.

— Myśli, że jesteś jego bratem, Johnem.

Charles przyglądał się stryjowi przez dłuższą chwilę, a potem pokręcił głową i wrócił do swojego kurczaka.

— To krzesło po twojej lewej ręce, młody człowieku, było miejscem mojej żony — powiedział stryj Julian. — Dokładnie pamiętam dzień, kiedy siedziała na nim po raz ostatni. Wtedy...

— Dość tego — przerwał Charles i pogroził stryjowi palcem; trzymał w rękach kurczaka i jego palec lśnił teraz od tłuszczu. — Nie będziemy o tym rozmawiać, stryju.

Constance była ze mnie zadowolona, bo usiadłam do stołu, i gdy na nią spojrzałam, uśmiechnęła się do mnie. Wiedziała, że nie lubię jeść, kiedy ktoś mi się przygląda, i zamierzała później zanieść mój talerz do kuchni. Zauważyłam, że nie pamięta, iż dodała zaprawy do mojej sałatki.

— Widziałem rano — zaczął Charles, podnosząc półmisek z kurczakiem i przypatrując mu się badawczo — złamany schodek przy kuchennych drzwiach. Może bym go naprawił, co ty na to? Zapracuję na swój wikt.

— To bardzo miło z twojej strony — odparła Constance. — Już od dawna mamy kłopot z tym schodkiem.

— Chcę też skoczyć do miasteczka po tytoń, więc mógłbym przy okazji załatwić jakieś sprawunki.

— Ale ja chodzę do miasteczka we wtorki — powiedziałam, zaskoczona.

— Naprawdę? — spojrzał na mnie znad stołu; wielka, biała twarz, zwrócona w moją stronę. Umilkłam; przypomniałam sobie, że Charles musi najpierw pójść do miasteczka, aby wrócić, skąd przybył.

— Merricat, kochanie, uważam, że jeśli Charles nie ma nic przeciwko temu, pomysł jest dobry. Zawsze czuję się nieswojo, kiedy tam idziesz. — Constance zaśmiała się. — Dam ci listę zakupów, Charles, i pieniądze, i zostaniesz chłopcem na posyłki.

— Trzymasz pieniądze w domu?

— Oczywiście.

— To niezbyt rozsądne.

— Są w sejfie ojca.

— Niechby nawet.

— Zapewniam pana — odezwał się stryj Julian — iż zawsze skrupulatnie sprawdzałem księgi przed przyjęciem na siebie zobowiązania. Nikt nie mógł mnie oszukać.

— A zatem pozbawiam zajęcia kuzyneczkę Mary — powiedział Charles, spoglądając znowu na mnie. — Będziesz musiała znaleźć jej inną robotę, Connie.

Ustaliłam, co mu powiedzieć, zanim jeszcze usiadłam do stołu.

— *Amanita phalloides* — zaczęłam — zawiera trzy rodzaje truczyn. Amanitynę, która działa powoli i jest najsilniejsza. Falloidybę, która działa szybko, oraz fallinę, która rozkłada czerwone ciała, choć jest najsłabsza. Pierwsze objawy występują od siedmiu do dwunastu godzin po spożyciu, a w niektórych przypadkach w ciągu dwudziestu czterech czy nawet czterdziestu godzin. Pierwsze symptomy to ostre bóle żołądka, zimne poty, torsje...

— Słuchaj — przerwał Charles i odłożył kurczaka. — Przestań.

Constance wybuchnęła śmiechem.

— Och, Merricat — wykrztusiła — ależ ty jesteś niemądra. To ja ją nauczyłam — zwróciła się do Charlesa. — Nad potokiem i na polach rosną grzyby i nauczyłam ją odróżniać te trujące. Och, Merricat.

— Śmierć następuje w ciągu pięciu do dziesięciu dni po spożyciu — powiedziałam.

— Dla mnie to nie jest zbyt zabawne — oświadczył Charles.

— Niemądra Merricat — powiedziała Constance.

VI

Dom wcale nie stał się bezpieczny dzięki temu, że Charles poszedł do miasteczka; przede wszystkim, Constance dała mu klucze od bramy. Na początku każde z nas miało klucz, klucze mieli ojciec i matka, a wszystkie wisiały na wieszaku obok kuchennych drzwi. Kiedy Charles wybrał się do miasteczka, Constance dała mu klucz, zapewne ten, który należał do ojca, a także listę zakupów i pieniądze.

— Nie powinnyście trzymać pieniędzy w domu — powiedział, zaciskając dłoń na banknotach i dopiero po chwili wyciągnął portfel z tylnej kieszeni. — Samotne kobiety takie jak wy nie powinny trzymać pieniędzy w domu.

Obserwowałam go z mojego kąta w kuchni i nie pozwoliłam Jonaszowi zbliżyć się do mnie, póki Charles był w pobliżu.

— Jesteś pewna, że wszystko zapisałaś? — zapytał Constance. — Nie chcę chodzić dwa razy.

Zaczekałam, aż Charles znajdzie się daleko, może nawet przy czarnym kamieniu, i powiedziałam:

— Zapomniał o książkach z biblioteki.

Constance patrzyła na mnie przez chwilę.

— Łobuz z ciebie — stwierdziła. — Chciałaś, żeby zapomniał.

— Skąd miał wiedzieć o książkach? To nie jest jego dom; nie ma nic wspólnego z naszymi książkami.

— Wiesz co — zaczęła Constance, zaglądając do garnka na kuchennym piecu — wydaje mi się, że już niedługo będziemy zrywać sałatę. Jest tak ciepło.

— Na księżycu... — urwałam.

— Na księżycu — podjęła Constance, uśmiechając się do mnie — sałata rośnie przez cały rok, prawda?

— Na księżycu jest wszystko. Sałata, placek z dyni i *Amanita phalloides*. Mamy tam rośliny o kocim futerku i tańczące skrzydlate konie. Wszystkie kłódki są solidne i mocne, i nie ma żadnych duchów. Na księżycu stryj Julian byłby zdrowy i codziennie świeciłoby słońce. Ty byś nosiła perły mamy i śpiewała, a słońce świeciłoby bez przerwy.

— Chciałabym dostać się na twój księżyc. Nie wiem, czy zacząć już robić piernik; całkiem wystygnie, jeśli Charles wróci późno.

— Ja go zjem — powiedziałam.

— Ale Charles mówił, że przepada za piernikiem.

Budowałam na stole domek z książek z biblioteki, stawiając dwie na sztorc i kładąc na nich trzecią.

— Stara czarownica — powiedziałam. — Mieszkasz w domku z piernika.

— Wcale nie — odparła Constance. — Mieszkam w pięknym domu z moją siostrą Merricat.

Patrząc na nią parsknęłam śmiechem; stała zasępio-
na nad garnkiem i miała twarz ubieloną mąką.

— Może on już nie wróci— stwierdziłam.

— Musi. Piekę dla niego piernik.

Ponieważ Charles odebrał mi moje wtorkowe zaję-
cie, nie miałam nic do roboty. Zastanawiałam się, czy-
by nie pójść nad potok; ale nie byłam pewna, czy potok
w ogóle tam będzie, ponieważ nigdy nie odwiedzałam
tego miejsca we wtorki. Czy ludzie w miasteczku czekali
na mnie, zerkając kątem oka, trącając się łokciami, a po-
tem odwracając się ze zdumieniem na widok Charlesa?
Może całe miasteczko potknie się i zwolni kroku, oszo-
łomione brakiem panny Mary Katherine Blackwood?
Zachichotałam na myśl o Jimie Donellu i młodych Harri-
sach zerkających niecierpliwie w głąb ulicy, by spraw-
dzić, czy nadchodzę.

— Z czego się śmiejesz? — spytała Constance od-
wracając się do mnie.

— Pomyślałam, że mogłabyś ulepić figurkę z piernika, a ja nazwałabym ją Charles i zjadła.

— Och, proszę cię, Merricat.

Wyczuwałam, że Constance jest rozdrażniona, częściowo przeze mnie, a częściowo z powodu piernika, uznałam więc, że rozsądniej będzie uciec. Ponieważ nie miałam się czym zająć, a myśl o wyjściu na zewnątrz budziła we mnie niepokój, mogła to być odpowiednia chwila na wyszukanie narzędzia przeciw Charlesowi. Ruszyłam na górę; zapach piernika ścigał mnie niemal do połowy schodów. Charles zostawił drzwi uchylone, niezbyt szeroko, lecz na tyle, żebym mogła wsunąć rękę.

Pchnęłam lekko i drzwi otworzyły się na oścież, a ja zajrzałam do pokoju ojca, pokoju, który należał teraz do Charlesa. Zauważyłam, że Charles posłał łóżko; musiała go tego nauczyć matka. Walizka leżała na krześle, ale była zamknięta; rzeczy Charlesa stały na toaletce, tam gdzie zawsze znajdowały się rzeczy ojca; zobaczyłam fajkę Charlesa i jego chustkę, przedmioty, których dotykał i których używał, zaśmiecając nimi pokój naszego ojca. Jedna z szuflad nie była domknięta i pomyślałam znowu o Charlesie grzebiącym w ubraniach ojca. Przeszłam na palcach przez pokój, nie chcąc, żeby Constance na dole mnie usłyszała, i zajrzałam do szuflady. Pomyślałam, że Charles nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, że przyłapałam go na przeglądaniu rzeczy ojca, a w tej szufladzie mogło być coś niezwykle potężnego, na-

znaczonego winą Charlesa. Nie zdziwiło mnie, że oglądał biżuterię ojca; w szufladzie znajdowała się skórzana kasetka zawierająca — o czym wiedziałam — złoty zegarek z dewizką, spinki do mankietów i sygnet. Nie tknęłabym biżuterii matki, ale Constance nic nie mówiła o biżuterii ojca i nawet nie sprzątała tego pokoju, pomyślałam więc, że mogę otworzyć kasetkę i coś z niej wyjąć. Zegarek spoczywał w małej, oddzielnej przegródce, na atlasowej wyściółce, i nie chodził, a łańcuszek leżał zwiniony tuż obok. Nie tknęłabym sygnetu; myśl o pierścionku na palcu zawsze sprawiała, że czułam się ciasno skrupowana, ponieważ w pierścionkach nie było szczelin, przez które można by się wydostać, ale podobał mi się łańcuszek, który owinał się wokół mojej dłoni, gdy go wyjęłam. Ostrożnie odłożyłam kasetkę do szuflady, zasunęłam szufladę, wyszłam z pokoju i zamknęłam za sobą drzwi, a łańcuszek zaniiosłam do swojego pokoju, gdzie zwinął się na poduszce w złocisty, uśpiony kłębek.

Zamierzałam go zakopać, ale zrobiło mi się go żal, gdy pomyślałam, jak długo leżał w ciemnościach w szufladzie ojca; uznałam więc, że zasłużył sobie na wysokie miejsce, gdzie mógłby błyszczeć w słońcu, i postanowiłam przybić go do tego samego drzewa, od którego odpadła książka. Constance piekła w kuchni piernik, stryj Julian spał u siebie, Charles odwiedzał sklepy w miasteczku, a ja leżałam na łóżku i bawiłam się moim złotym łańcuszkiem.

— To złota dewizka mojego brata — stwierdził stryj Julian, pochylając się z zaciekawieniem. — Myślałem, że została pochowana razem z nim.

Wyciągnięta ręka Charlesa drżała; widziałam ją na tle żółtej ściany.

— Na drzewie — powiedział, a jego głos również drżał. — Na miłość boską, znalazłem ją na drzewie. Cóż to za dom?

— To nie ma znaczenia — odparła Constance.

— Naprawdę, Charles, to nie ma znaczenia.

— Nie ma znaczenia? Connie, ta rzecz jest ze złota.

— Ale nikt jej nie potrzebuje.

— Jedno z ogniwek jest uszkodzone — uzalał się Charles. — Mógłbym to nosić; jak można w ten sposób traktować kosztowności? Moglibyśmy to sprzedać

— zwrócił się do Constance.

— Ale po co?

— Byłem przekonany, że została pochowana razem z nim — oznajmił stryj Julian. — Nie należał do ludzi, którzy rozdają swoje rzeczy. Przypuszczam, iż nie wiedział, że mu ją zabrano.

— To jest warte pieniądze — powiedział Charles dobitnie, zwracając się do Constance. — Ta dewizka jest

ze złota i zapewne warta dużą sumę. Rozsądni ludzie nie wieszają kosztownych rzeczy na drzewach.

— Lunch wystygnie, jeśli będziesz dalej tak stał i się martwił.

— Zabiorę to na górę i odłożę na miejsce do kasetki — oświadczył Charles. Nikt prócz mnie nie zauważył, że Charles wie, gdzie przedtem znajdował się łańcuszek. — A później — dodał spoglądając na mnie — dowiemy się, skąd się wziął na drzewie.

— Merricat go tam powiesiła — powiedziała Constance. — Proszę cię, chodź już na lunch.

— Skąd wiesz, że to Mary?

— Ciągłe to robi — Constance uśmiechnęła się do mnie. — Niemądra Merricat.

— Czyżby? — rzucił Charles. Powoli podszedł do stołu, wpatrując się we mnie.

— Był człowiekiem rozmiłowanym w samym sobie — powiedział stryj Julian. — Lubił ozdoby, lecz nie grzeszył nadmierną czystością.

W kuchni panowała cisza; Constance była u stryja Juliana i układała go do popołudniowej drzemki.

— Dokąd pójdzie biedna kuzynka Mary, jeżeli siostra wyrzuci ją z domu? — zapytał Charles Jonasza, który

słuchał w milczeniu. — Co pocznie biedna Mary, jeśli Constance i Charles nie będą jej kochali?

Nie mam pojęcia, dlaczego wydawało mi się, że po prostu mogę poprosić Charlesa, żeby wyjechał. Może myślałam, że wystarczy go raz uprzejmie poprosić; że nie przyszło mu do głowy, iż mógłby wyjechać, i trzeba było mu podsunąć ten pomysł. Postanowiłam jak najszybciej poprosić Charlesa, żeby wyjechał, zanim zostawi w całym domu ślady, których nie da się wymazać. Dom był już przesiąknięty jego zapachem, wonią dymu z fajki i płynu po goleniu, a echo odgłosów, które wydawał, rozbrzmiewało wszędzie przez cały dzień. Jego fajka zostawała czasami na kuchennym stole, a jego rękawiczki, kapciuch z tytoniem albo pudełka zapalek walały się nieustannie po naszych pokojach. Każdego popołudnia szedł do miasteczka i przynosił gazety, które zostawiał nawet w kuchni, gdzie mogła je znaleźć Constance. Iskra z jego fajki wypaliła dziurkę w różowym brokacie na jednym z krzeseł w bawialni; Constance jeszcze tego nie zauważyła, a ja jej nie powiedziałam, bo miałam nadzieję, że urażony dom sam go odrzuci.

— Constance — odezwałam się w kolejny słoneczny poranek, myśląc o tym, że Charles przebywa w naszym domu już od trzech dni — Constance, czy on jeszcze nie wspomniał o wyjeździe?

Gniewała się na mnie coraz bardziej, kiedy chciałam, żeby Charles wyjechał. Przedtem zawsze słuchała z

uśmiechem i złościła się tylko wtedy, gdy obydwójce z Jonaszem coś zbroiliśmy, ale teraz często patrzyła na mnie marszcząc brwi, jakbym wydawała się jej jakaś inna.

— Mówiłam ci — odparła — mówiłam parę razy, że nie chcę słuchać żadnych głupstw na temat Charlesa. Jest naszym kuzynem, został zaproszony w odwiedziny i wyjedzie, kiedy będzie miał na to ochotę.

— Przez niego stryj Julian gorzej się czuje.

— On tylko próbuje nakłonić stryja, żeby nie myślał ciągle o smutnych sprawach. I ja się z nim zgadzam. Stryj Julian powinien być pogodny.

— Czemu miałby być pogodny, skoro niedługo umrze?

— Zaniedbałam swoje obowiązki — powiedziała Constance.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Ukrywałam się tutaj — ciągnęła powoli, jak gdyby nie była pewna, czy doбира właściwe słowa. Stała przy piecu w blasku słońca, jej włosy i oczy błyszczały i mówiła wolno, bez uśmiechu. — Pozwoliłam, by stryj Julian stale żył przeszłością i wciąż na nowo przeżywał tamten straszny dzień. Pozwoliłam ci zdziczeć; kiedy ty się ostatnio czesałaś?

Nie mogłam sobie pozwolić na gniew, zwłaszcza w stosunku do Constance, ale życzyłam Charlesowi śmierci. Constance bardziej niż kiedykolwiek przedtem potrzebowała ochrony i gdybym się rozgniewała i odwróciła oczy, byłaby zgubiona. Zaczęłam bardzo ostrożnie:

— Na księżycu...

— Na księżycu — powtórzyła Constance z nieprzyjemnym uśmiechem. — To wszystko moja wina — stwierdziła. — Nie zdawałam sobie sprawy, jak źle postępuję godząc się z taką sytuacją tylko dlatego, że chciałam się ukryć. To było nieuczciwe wobec ciebie i stryja Juliana.

— Charles naprawia też złamany schodek?

— Stryj Julian powinien znaleźć się w szpitalu pod opieką pielęgniarek. A ty... — Jej oczy rozszerzyły się nagle, jakby znowu zobaczyła dawną Merricat, a potem wyciągnęła do mnie ręce. — Och, Merricat — zawołała, śmiejąc się cicho — czemu ja krzyczę na ciebie? Ależ jestem głupia.

Podeszłam i objęłam ją.

— Kocham cię, Constance.

— Dobre z ciebie dziecko, Merricat.

Wtedy właśnie wyszłam porozmawiać z Charlesem. Wiedziałam, że to nie będzie przyjemne, ale było już niemal za późno, żeby go grzecznie poprosić, i pomyś-

lałam, że poproszę go tylko raz. Nawet ogród stał się obcym pejzażem z sylwetką Charlesa w tle; widziałam, że stoi pod jabłoniami, które wydawały się przy nim krzywe i niskie. Wyszłam kuchennymi drzwiami i wolno ruszyłam w jego stronę. Usiłowałam myśleć o nim życzliwie, gdyż inaczej nie mogłabym przemówić do niego w uprzejmy sposób, ale ilekroć pomyślałam o jego szerokiej, białej twarzy szczerzącej do mnie zęby znad stołu albo śledzącej każdy mój ruch, miałam chęć tłuc go pięściami, póki nie ucieknie, deptać po jego ciele, ujrzyć go martwego i leżącego na trawie. Usposobiłam się zatem życzliwie do Charlesa i powoli podeszłam do niego.

— Kuzynie — przemówiłam, a on odwrócił się i spojrzał na mnie. Wyobraziłam go sobie martwego. — Kuzynie?

— Co?

— Postanowiłam cię poprosić, żebyś stąd wyjechał.

— W porządku — odparł. — Poprosiłaś mnie.

— Proszę, czy mógłbyś wyjechać?

— Nie — odpowiedział.

Nic więcej nie przychodziło mi na myśl. Dostrzegłam, że Charles nosi złotą dewizkę ojca, pomimo uszkodzonego ogniwa, i wiedziałam, że ma w kieszeni zegarek ojca, choć go nie widziałam. Pomyślałam, że jutro będzie

miał na palcu sygnet, i zastanawiałam się, czy każe Constance włożyć perły matki.

— Trzymaj się z daleka od Jonasza — powiedziałam.

— A tak szczerze mówiąc — zaczął — ciekawe, kto tu nadal będzie mniej więcej za miesiąc? Ty — spytał — czy ja?

Pobiegłam do domu, prosto do pokoju ojca, i zaczęłam uderzać butem w lustro nad toaletką, póki nie pękło w poprzek. Później weszłam do mojego pokoju, oparłam głowę o parapet i usnęłam.

Pamiętałam w tych dniach, że mam być miłsza dla stryja Juliana. Było mi go żal, ponieważ spędzał coraz więcej czasu w swoim pokoju, jedząc śniadanie i lunch przyniesione na tacy, i tylko na kolację zjawiał się w jadalni, gdzie Charles mierzył go pogardliwym spojrzeniem.

— Nie mogłabyś go karmić albo coś? — spytał Charles Constance. — Cały upaprał się jedzeniem.

— Nie chciałem — powiedział stryj Julian patrząc na Constance.

— Powinno się mu zakładać śliniak — zaśmiał się Charles.

Podczas gdy Charles przesiadywał rano w kuchni, opychając się szynką, ziemniakami, smażonymi jajkami,

gorącymi biskwitami, pączkami i grzankami, stryj Julian drzemał w swoim pokoju nad gorącym mlekiem, a kiedy od czasu do czasu wzywał Constance, Charles mówił:

— Powiedz mu, że jesteś zajęta. Nie musisz do niego biec za każdym razem, gdy tylko zmoczy łóżko. On po prostu lubi, jak się koło niego skacze.

W te słoneczne poranki zawsze zjadałam śniadanie wcześniej niż Charles, a jeżeli schodził na dół, zanim skończyłam, brałam talerz, wychodziłam i siadałam na trawie pod kasztanem. Raz zaniosiłam stryjowi Julianowi świeży liść zerwany z kasztana i położyłam na parapecie. Stojąc w promieniach słońca patrzyłam na stryja, który leżał nieruchomo w ciemnym pokoju, i rozmyślałam, co by tu zrobić, żeby być dla niego jeszcze miłszą. Myślałam o tym, jak leży tam samotnie, śniąc dawne stryjowe sny, a potem weszłam do kuchni i zapytałam Constance:

— Czy upieczesz stryjowi Julianowi placuszek na lunch?

— Ona jest teraz zajęta — powiedział Charles z pełnymi ustami. — Twoja siostra pracuje jak niewolnica.

— Upieczesz? — powtórzyłam.

— Przepraszam — odpowiedziała Constance. — Mam tyle roboty.

— Ale stryj Julian umrze.

— Constance jest zajęta — powiedział Charles. —
Idź się pobawić.

Pewnego popołudnia poszłam za Charlesem w stronę miasteczka. Zatrzymałam się przy czarnym kamieniu, ponieważ dla mnie nie był to dzień wyprawy do miasteczka, i obserwowałam Charlesa idącego główną ulicą. Przystanął na chwilę, żeby porozmawiać ze Stellą stojącą w blasku słońca przed sklepem, kupił gazetę, a kiedy dostrzegłam, że siada na ławce obok innych mężczyzn, wróciłam do domu. Gdybym znowu poszła do miasteczka po zakupy, Charles byłby jednym z tych, którzy odprowadzają mnie spojrzeniem. Constance pracowała w ogrodzie, a stryj Julian spał na słońcu w swoim wózku. Kiedy przysiadłam cicho na ławce, Constance nie patrząc na mnie spytała:

— Gdzie byłaś, Merricat?

— Wędrowałam. Gdzie mój kot?

— Myślę — zaczęła Constance — że będziemy musieli zabronić ci tych wędrowek. Już czas, żebyś się trochę ustatkowała.

— Czy „my” oznacza ciebie i Charlesa?

— Merricat — Constance odwróciła się do mnie, przysiadając na piętach i zakładając ręce — dopiero teraz zrozumiałam, jaki popełniłam błąd pozwalając, żebyście

ze stryjem Julianem ukrywali się tutaj razem ze mną. Powinniśmy byli stawić czoło światu i spróbować żyć normalnie. Stryj powinien był spędzić te lata w szpitalu pod dobrą opieką. Powinniśmy żyć jak inni ludzie. A ty... — urwała i bezradnie rozłożyła ręce.

— Powinnaś spotykać się z chłopcami — dokończyła wreszcie i wybuchnęła śmiechem, bo to, co powiedziała, nawet dla niej zabrzmiało zabawnie.

— Mam Jonasza — odparłam i śmiałyśmy się już obydwie, aż stryj Julian obudził się nagle i zaniósł cieniem, starczym chichotem.

— W życiu nie spotkałam tak niemądrej osoby jak ty

— oznajmiłam Constance i poszłam szukać Jonasza. W tym czasie wrócił Charles; przyniósł gazetę,

butelkę wina dla siebie do kolacji i szalik ojca, który zawiązałam na bramie, kiedy Charles dostał klucz.

— Mogłem nosić ten szalik — powiedział z rozdrażnieniem. Jego głos dobiegł mnie w ogródku warzywnym, gdzie znalazłam Jonasza śpiącego w młodej sałacie. — To kosztowna rzecz i podobają mi się kolory.

— Należał do ojca — powiedziała Constance.

— Gdy już o tym mowa — podjął Charles — chciałbym kiedyś przejrzeć resztę jego rzeczy. — Umilkł na chwilę, pomyślałam, że siada prawdopodobnie na mojej

ławce. Potem dodał od niechcienia: — Skoro już tu jestem, powinienem rzucić okiem na papiery twojego ojca. Może tam być coś ważnego.

— Nie moje papiery — odezwał się stryj Julian.

— Ten młodzieniec nie ma prawa tknąć moich papierów.

— Nawet nie widziałem gabinetu twojego ojca — powiedział Charles.

— Nie używamy go. Niczego w nim nie ruszamy.

— Oprócz sejfu, rzecz jasna — uzupełnił Charles.

— Constance?

— Tak, stryjkę?

— Chcę, abys ty dostała moje papiery. Nikomu innemu nie pozwolę ich dotknąć, słyszysz?

— Tak, stryjkę.

Nie wolno mi było otwierać sejfu, w którym Constance trzymała pieniądze ojca. Mogłam wchodzić do gabinetu, ale nie lubiłam tego i nigdy nawet nie dotknęłam gałki u drzwi. Miałam nadzieję, że Constance nie wpuści tam Charlesa; w końcu dostał już sypialnię ojca, jego zegarek, złotą dewizkę i sygnet. Myślałam sobie, że bycie duchem i demonem jest z pewnością bardzo trudne, nawet dla Charlesa; gdyby się zapomniał albo zrzucił maskę choćby na chwilę, zostałby natychmiast rozpo-

znany i przepędzony. Musi niezmiernie uważać, żeby zawsze mówić takim samym głosem, pokazywać tę samą twarz i tak samo się zachowywać, nie popełniając błędu; musi się nieustannie pilnować, żeby nie zdradzić, jaki jest naprawdę. Zastanawiałam się, czy po śmierci przybrałby swoją prawdziwą postać. Kiedy zrobiło się chłodniej i Constance zawiozła stryja Juliana do domu, zostawiłam Jonasza śpiącego w sałacie i wróciłam. W kuchni stryj zawzięcie przewracał papiery, usiłując je ułożyć w zgrabny stosik, a Constance obierała ziemniaki. Słyszałam kroki Charlesa na górze, a kuchnia na krótką chwilę stała się ciepła i jasna.

— Jonasz śpi w sałacie — powiedziałam.

— Przepadam za kocimi włosami w sałatce — odparła przyjaźnie Constance.

— Najwyższy czas, żebym dostał jakieś pudełko — oświadczył stryj Julian. Odchylił się w tył i obrzucił papiery gniewnym spojrzeniem. — Wszystkie muszą natychmiast znaleźć się w pudełku. Constance?

— Dobrze, stryjku, znajdę pudełko.

— Jeżeli schowam wszystkie papiery do pudełka i postawię je u siebie w pokoju, ten okropny młody człowiek nie będzie mógł ich tknąć. On naprawdę jest okropny, Constance.

— Ależ stryjku, Charles jest bardzo miły.

— Jest nieuczciwy. Jego ojciec też był nieuczciwy. Obaj moi bracia byli nieuczciwi. Gdyby chciał dobrać się do moich papierów, musisz go powstrzymać. Nie zgadzam się, aby grzebano w moich papierach, i nie będę tolerował natrętów. Musisz mu to powiedzieć, Constance. To bękart.

— Stryjku...

— W sensie czysto metaforycznym, zapewniam cię. Obaj moi bracia poślubili kobiety o bardzo silnej woli. Jest to jedynie słowo, którego używają czasami mężczyźni, moja droga, dla scharakteryzowania elementów niepożądanych. Wybacz, że wymówiłem to słowo w twojej obecności.

Constance odwróciła się w milczeniu i otworzyła drzwi do piwnicy, gdzie rzędy słoików z przetworami wypełniały dno naszego domu. Zeszła cicho po schodach i teraz słyhać było Charlesa na górze, a Constance na dole.

— Wilhelm Orański był bękartem — mruknął do siebie stryj Julian i zanotował coś na skrawku papieru.

Constance wróciła z piwnicy niosąc pudełko, które podała stryjowi.

— Proszę. Jest czyste — powiedziała.

— Po co mi to? — spytał stryj Julian.

— Żeby schować papiery.

— Niech ten młody człowiek nie waży się ruszać moich papierów, Constance. Nie życzę sobie, żeby grzebał w moich papierach.

— To wszystko moja wina — powiedziała Constance odwracając się do mnie. — Powinien być w szpitalu.

— Umieszczę papiery w tym pudełku, moja droga, jeżeli będziesz tak uprzejma i zechcesz mi je podać.

— Jest zadowolony z życia — odpowiedziałam jej.

— Powinnam była postąpić zupełnie inaczej.

— Stryj Julian na pewno byłby nieszczęśliwy w szpitalu.

— Ale będę musiała go tam oddać, jeżeli... — Constance urwała nagle i odwróciła się do zlewu, w którym leżały ziemniaki. — Czy dodać orzechów do tartych jabłek? — spytała.

Siedziałam cicho, słysząc słowa, które niemal wypowiedziała. Czas kurczył się coraz bardziej, oplatał dom ciasną siecią, dusił mnie. Pomyślałam, że może już pora rozbić lustro w hallu, ale usłyszałam ciężkie kroki Charlesa na schodach, a potem w hallu i kuchni.

— No, no, wszyscy już są — powiedział. — Co mamy na kolację?

Wieczorem Constance grała nam w bawialni. Wyso-ki łuk harfy rzucił cienie na portret matki, a miękkie nu-ty opadały niczym płatki kwiatów. Zagrała *Over the Sea to Skye*, *Flow Gently, Sweet Afton*, *I Saw a Lady* i inne pieśni, które niegdyś grywała matka, ale, o ile pamięta-łam, palce naszej matki nie potrafiły muskać strun tak lekko i z takim natchnieniem. Stryj Julian nie drzemał, tylko słuchał i marzył, i nawet Charles nie ośmielił się kłaść nóg na krzesłach, choć dym z jego fajki snuł się pod sufitem, a on sam wiercił się niespokojnie, gdy Con-stance grała.

— Subtelne palce — odezwał się raz stryj Julian. — Wszystkie panie Blackwood miały zręczne palce.

Charles przystanął obok kominka i wystukał fajkę o kratę.

— Ładne — powiedział, zdejmując jedną z drezdeń-skich figurek. Constance przestała grać, a on odwrócił się w jej stronę. — Czy to coś warte?

— Chyba nie — odparła. — Mama je lubiła.

— Zawsze przepadałem za pieśnią *Bluebells of Scot-land* — powiedział stryj Julian. — Constance, moja dro- ga, czy mogłabyś...

— Na razie wystarczy — przerwał Charles. — Teraz chcemy porozmawiać, stryju. Mamy z Constance pewne plany do omówienia.

VII

Czwartek był moim najpotężniejszym dniem, odpowiednim dniem, żeby policzyć się z Charlesem. Rano Constance postanowiła upiec korzenne ciastka do kolacji; źle się złożyło, bo gdyby ktokolwiek z nas wiedział, powiedzielibyśmy jej, żeby nie robiła sobie kłopotu, że ten czwartek będzie ostatnim dniem. Ale nawet stryj Julian niczego nie podejrzewał i rano czuł się nieco lepiej. Constance przywiozła go do kuchni, przesiąkniętej zapachem korzennego ciasta i zajął się układaniem papierów w pudełku. Charles znalazł młotek, gwoździe i deskę i zaczął tłuc niemiłosiernie w nasz złamany schodek. Widziałam przez kuchenne okno, że idzie mu to fatalnie, co mi sprawiło przyjemność; życzyłam mu, żeby uderzył się młotkiem w palec. Siedziałam w kuchni, dopóki nie upewniłam się, że wszyscy pozostaną przez pewien czas tam, gdzie są, a potem poszłam na górę i wkroczyłam do pokoju ojca, na palcach, żeby Constance nie słyszała, że tam wchodzę. Najpierw musiałam zatrzymać zegarek nakręcony przez Charlesa. Wiedziałam, że nie miał go przy sobie naprawiając schodek, bo nie widziałam łańcuszka. Znalazłam zegarek, dewizkę i sygnet na toalecie ojca, obok kapciucha z tytoniem i czterech pudełek z zapalkami. Nie było mi wolno ruszać zapalek, ale i tak nie dotknęłabym zapalek Charlesa. Wzięłam zegarek i przez

chwile słuchałam jego tykania; to Charles go nastawił. Nie mogłam cofnąć wskazówek tak, by pokazywały poprzedni czas, ponieważ zegarek chodził już od dwóch czy trzech dni, ale przekręciłam śrubkę w tył i wtedy usłyszałam cichy, pełen wyrzutu zgrzyt, a tykanie ustało. Upewniłam się, że zegarka nie da się już nakręcić, i delikatnie odłożyłam go na miejsce. Przynajmniej jedna rzecz została oswobodzona spod uroku Charlesa i pomyślałam, że wreszcie przebiłam jego twarde pancerz. Nie musiałam zajmować się uszkodzonym łańcuszkiem, a sygnet budził we mnie niechęć. Starcie śladów Charlesa z wszystkiego, czego dotykał, było prawie niemożliwe, lecz wydawało mi się, że jeśli wprowadzę zmiany w pokoju ojca, a potem może w kuchni, bawialni, gabinecie i wreszcie w ogrodzie, Charles poczuje się zagubiony, odcięty od znajomych rzeczy; będzie musiał przyznać, że to nie ten dom, do którego przyjechał w odwiedziny, i odejść. Zmieniłam pokój ojca bardzo szybko i prawie bezszelestnie.

W nocy wyszłam do ogrodu, skąd przyniosłam duży kosz wypełniony drewnem, patykami i liśćmi, a także odłamkami szkła i metalu z pola i lasu. Towarzyszył mi Jonasz, którego bawiły te ciche wędrówki, kiedy inni spali. Zmieniając pokój ojca, zdjęłam książki z biurka i koce z łóżka, a na ich miejscu porozkładałam szkło, metal, drewno, patyki i liście. Nie mogłam zabrać przedmiotów należących do ojca do mojego pokoju, więc wyniosłam je po cichu na strych, gdzie znajdowała się resz-

ta ich rzeczy. Wylałam dzbanek wody na łóżko ojca, żeby Charles nie mógł tam więcej spać. Lustro nad toaletką było już rozbite; Charles nie będzie się w nim przeglądał. Nie znajdzie książek ani ubrań i zgubi się wśród liści i połamanych patyków. Zerwałam zasłony i rzuciłam na podłogę; teraz Charles będzie musiał patrzeć przez okno na podjazd i drogę biegnącą w dal.

Z przyjemnością przyjrzałam się pokojowi. Duch- - demon niełatwo odnajdzie w nim drogę. Wróciłam do siebie, położyłam się na łóżku i w trakcie zabawy z Jonaszem usłyszałam głos Charlesa wykrzykujący w ogrodzie do Constance:

— Tego już za wiele! Po prostu za wiele!

— O co chodzi? — spytała Constance; podeszła do kuchennych drzwi, a z tyłu dobiegł głos stryja Juliana:

— Powiedz temu młodemu głupcowi, żeby przestał wrzeszczeć.

Szybko wyrzłam przez okno; najwyraźniej złamany schodek pokonał Charlesa, ponieważ młotek i deska leżały na ziemi, a schodek pozostał nie naprawiony. Charles nadchodził ścieżką od strony potoku i coś niósł; ciekawa byłam, co znalazł tym razem.

— Słyszałaś kiedy o czymś podobnym? — pytał, i choć był już blisko, nadal podnosił głos. — Spójrz na to, Connie, tylko spójrz.

— Przypuszczam, że to własność Merricat — odparła Constance.

— To nie jest własność Merricat, o nie. To są pieniądze.

— Pamiętam—odparła Constance. — Srebrne dolary. Pamiętam, kiedy je zakopała.

— Tu jest z pewnością dwadzieścia albo trzydzieści dolarówek. To skandal!

— Ona lubi zakopywać różne rzeczy.

Charles nie przestawał wykrzykiwać, potrząsając przy tym gwałtownie moją kasetką. Byłam ciekawa, czy ją upuści; chętnie zobaczyłabym Charlesa czołgającego się po ziemi za moimi srebrnymi dolarami.

— To nie są jej pieniądze! — krzyczał. — Nie ma prawa ich chować!

Zastanawiałam się, jakim sposobem odnalazł tę zakopaną kasetkę; może Charles wyczuwał pieniądze nawet z bardzo daleka, a może zajmował się metodycznym przekopywaniem naszej ziemi, cal po calu.

— To straszne! — wykrzykiwał. — Straszne! Ona nie ma żadnego prawa!

— Nic takiego się nie stało — powiedziała Constance. Zauważyłam, że jest zaskoczona, a z głębi kuchni dały się słyszeć stukania i nawoływania stryja Juliana.

— Skąd możesz wiedzieć, czy tam nie ma więcej?

— Charles oskarżycielskim gestem uniósł kasetkę.

— Skąd możesz wiedzieć, czy ten stuknięty dzieciak nie pochował wszędzie tysięcy dolarów, których nigdy nie znajdziemy?

— Ona lubi zakopywać różne rzeczy — powtórzyła Constance. — Już idę, stryжку.

Charles wszedł za nią do domu, czule przyciskając kasetkę. Zapewne mogłam ją znowu zakopać po jego wyjeździe, ale nie byłam zadowolona. Weszłam na górę i obserwowałam Charlesa, który zmierzał w stronę gabinetu; najwyraźniej miał zamiar umieścić moje srebrne dolary w sejfie ojca. Cicho i szybko zbiegłam po schodach i wyszłam przez kuchnię do ogrodu.

— Niemądra Merricat — powiedziała Constance, gdy ją mijalam; wyjmowała ciastka i układała je w długich rzędach, żeby ostygły.

Myślałam o Charlesie. Mogłam go zamienić w muchę, wrzucić w pajęczynę i patrzeć, jak się miota, bezradny i uwięziony w ciele bzyczącej, zdychającej muchy; mogłam życzyć mu śmierci tak długo, aż wreszcie umrze. Mogłam przywiązać go do drzewa i czekać, aż wrośnie w pień, a jego usta pokryje kora.

Mogłam zakopać go w ziemi, tam gdzie moja kasetka ze srebrnymi dolarami leżała sobie bezpiecznie, dopó-

ki on się nie zjawił; gdyby znalazł się pod ziemią, deptałabym po nim tupiąc nogami.

Nie chciało mu się nawet zasypać dołka. Wyobraziłam sobie, jak tędy przechodzi i dostrzega miejsce, w którym ktoś poruszył ziemię; jak zatrzymuje się i zaczyna grzebać, a potem gorączkowo rozkopuje to miejsce rękoma, marszczy brwi i wreszcie, zdyszany i wstrząśnięty, sięga chciwie po moją kasetkę.

— To nie ja — powiedziałam do dołka w ziemi. Musiałam znaleźć coś innego i zakopać w tym miejscu, i żałowałam, że to nie może być Charles. Jego głowa zmieściłaby się tam w sam raz.

Wybuchnęłam śmiechem, gdy znalazłam okrągły kamień odpowiednich rozmiarów. Nakreśliłam na nim twarz i zakopałam w dołku.

— Zegnaj, Charles — powiedziałam. — Na przyszły raz nie zabieraj cudzej własności.

Spędziłam nad potokiem około godziny; siedziałam tam jeszcze, kiedy Charles poszedł wreszcie na górę, do pokoju, który nie należał już ani do niego, ani do naszego ojca. Przez chwilę myślałam, że Charles był w mojej kryjówce, ale wszystko wyglądało tak jak przedtem, co nie byłoby możliwe, gdyby tu grzebał. Podchodził jednak wystarczająco blisko, abym poczuła się nieswojo, dlatego wyrzuciłam trawę i liście, na których zwykle spałam, wytrzepałam koc i przygotowałam sobie świeże

posłanie. Obmyłam płaski kamień, przy którym czasami jadałam, i zasłoniłam wejście grubszą gałęzią. Zastanawiałam się, czy Charles wróci i będzie dalej szukał srebrnych dolarów, i czy spodobałoby mu się sześć moich niebieskich kulek. W końcu zgłodniałam i poszłam do domu, a tam, w kuchni, stał Charles i wciąż krzyczał.

— To nie do wiary! — powtarzał piskliwym głosem.
— Po prostu nie do wiary!

Byłam ciekawa, jak długo jeszcze Charles będzie krzyczał. Napełniał nasz dom ponurym hałasem, a jego głos stawał się coraz wyższy i cieńszy; może gdyby krzyczał wystarczająco długo, zacząłby kwiczeć. Przesiadłam na kuchennym schodku obok Jonasza i pomyślałam, że Constance mogłaby wybuchnąć głośnym śmiechem, gdyby Charles do niej zakwiczał. To jednak nie nastąpiło, bo gdy tylko zauważył, że siedzę na schodku, umilkł na chwilę, a potem, kiedy się odezwał, mówił już ciszej i wolniej.

— A więc jesteś — powiedział. Nie podszedł do mnie, ale jego głos brzmiał tak, jakby znalazł się bliżej. Nie patrzyłam na niego; patrzyłam na Jonasza, który patrzył na niego. Jeszcze nie zdecydowałam, co z tobą zrobię — powiedział. — Ale cokolwiek zrobię, popamiętasz mnie.

— Nie strasz jej, Charles — wtrąciła Constance. Jej głos również mi się nie podobał, bo brzmiał obco i wy-

czuwałam w nim niepewność. — To wszystko moja wina. — Był to jej nowy sposób myślenia.

Postanowiłam pomóc Constance, spróbować ją rozśmieszyć.

— *Amanita pantherina* — zaczęłam — mocno trujące. *Amanita rubescens*, jadalne i smaczne. *Cicuta maculata*, czyli szczywól plamisty, jest jedną z najbardziej trujących roślin, jakie można przyjąć doustnie. *Apocynum cannabinum* nie należy do roślin trujących pierwszej kategorii, natomiast wężowróżica...

— Dość — przerwał Charles nie podnosząc głosu.

— Constance — powiedziałam — przyszliśmy z Jonaszem na lunch.

— Najpierw musisz się wytłumaczyć przed kuzynem Charlesem — odparła, a mnie przeszył dreszcz.

Charles siedział przy kuchennym stole, odepchnąwszy krzesło w tył, zwrócony lekko ku drzwiom. Constance stanęła za nim, oparta o zlew. Stryj Julian przewracał papiery przy swoim biurku. Korzenne ciasteczka stygły ułożone w rzędach, a kuchnia pachniała cynamonem i gałką muszkatołową. Byłam ciekawa, czy Constance da Jonaszowi ciasteczko na kolację, ale oczywiście nie zrobiła tego, był to bowiem ostatni dzień.

— A teraz posłuchaj — odezwał się Charles. Przyniósł na dół garść patyków i ziemi, może po to, by udo-

wodnić Constance, że naprawdę znalazły się w jego pokoju, a może dlatego, że zamierzał wszystko wynieść, garść po garści. Patyki i ziemia brzydko wyglądały na kuchennym stole i pomyślałam, że Constance ma taką smutną minę między innymi z tego powodu, że ktoś pobrudził jej czysty stół. — Posłuchaj — powtórzył Charles.

— Jeśli ten młody człowiek zamierza mówić przez cały czas, nie będę w stanie pracować — oznajmił stryj Julian. — Constance, każ mu zamilknąć choćby na chwilę.

— I ty także — powiedział Charles tym samym cichym głosem. — Mam już dość was obydwójga. Jedno robi mi bałagan w pokoju i zakopuje pieniądze w ziemi, a drugie nie pamięta nawet, jak mam na imię.

— Charles — zwróciłam się do Jonasza. To ja zakopałam pieniądze, oczywiście, a zatem pamiętałam jego imię; biedny stary stryj Julian nie mógł niczego zakopać i nie pamiętał imienia Charlesa. Pomyślałam, że muszę być miłsza dla stryja Juliana. — Czy dasz stryjowi ciastko do kolacji? — spytałam Constance. — I Jonaszowi też?

— Mary Katherine — zaczął Charles — dam ci tę jedną szansę, żebyś się wytłumaczyła. Dlaczego zrobiłaś taki bałagan w moim pokoju?

Nie miałam powodu odpowiadać. On nie był Constance i gdybym mu coś powiedziała, mogłoby mu to pomóc w odzyskaniu zachwianej władzy nad naszym domem. Siedziałam na stopniu i bawiłam się uszami Jonasza, które drgały i trzepotały, gdy je łaskotałam.

— Odpowiedz mi — powiedział Charles.

— Jak często mam ci powtarzać, John, że absolutnie nic o tym nie wiem? — Stryj Julian uderzył dłonią w papiery i rozrzucił je po biurku. — To kobieca sprzeczka i nie mam z nią nic wspólnego. Nie angażuję się w małostkowe spory mojej żony i szczerze doradzam ci to samo. Ludziom honoru nie przystoją groźby i wymówki wobec kobiet, którym zdarzyło się poróżnić. Tracisz powagę, John, tracisz powagę.

— Zamknij się — rzucił Charles; znowu podniósł głos, co mnie ucieszyło. — Constance — zaczął nieco ciszej — to jest straszne. Im szybciej się od tego uwolnisz, tym lepiej dla ciebie.

— ...nie życzę sobie, aby mój własny brat kazał mi się zamykać. Jeżeli istotnie tego pragniesz, John, opuścimy twój dom. Proszę cię jednakże, byś się zastanowił. Obydwoje z żoną...

— To wszystko moja wina — powiedziała Constance.

Czułam, że jest bliska płaczu. To było nie do pomyślenia, żeby płakała teraz, po tylu latach, ale byłam ciasno

skrępowana, przeszywał mnie dreszcz i nie mogłam do niej podejść.

— Jesteś zły — przemówiłam do Charlesa. — Jesteś duchem i demonem.

— O co ci chodzi, do diabła? — spytał Charles.

— Nie zwracaj na to uwagi — wtrąciła Constance.
— Nie słuchaj głupstw Merricat.

— Jesteś człowiekiem bardzo samolubnym, John, może nawet łajdakiem, i przywiązujesz nadmierną wagę do dóbr tego świata. Zastanawiam się niekiedy, John, czy ty w ogóle jesteś dżentelmenem.

— To dom wariatów — oznajmił z przekonaniem Charles. — Constance, to jest dom wariatów.

— Zaraz posprzątam twój pokój. Proszę cię, Charles, nie gniewaj się. — Constance spojrzała na mnie rozpaczliwie, ale ja byłam ciasno skrępowana i nie widziałam jej wyraźnie.

— Stryju... — Charles wstał i podszedł do biurka stryja Juliana.

— Nie waż się ruszać moich papierów — powiedział stryj, usiłując zakryć je rękoma. — Precz od moich papierów, ty bękarcie.

— Co? — zdumiał się Charles.

— Proszę o wybaczenie — zwrócił się stryj Julian do Constance. — To nie było przeznaczone dla twoich uszu, moja droga. Powiedz tylko temu bękartowi, żeby nie zbliżał się do moich papierów.

— Słuchaj — przemówił do niego Charles — powtarzam, że mam już tego dość. Nie zamierzam ruszać twoich głupich papierów i nie jestem twoim bratem Johnem.

— Oczywiście, że nim nie jesteś; on był o pół cala wyższy. Jesteś bękartem i pragnąłbym, abyś wrócił do swego ojca, którym jest, ku memu wstydu, mój brat Arthur, i możesz mu to powtórzyć. Nawet w obecności twojej matki, jeśli zechcesz; to kobieta o silnej woli, lecz pozbawiona uczuć rodzinnych. Życzyła sobie zerwania kontaktów. Dlatego też nie mam żadnych obiekcji, abyś powtórzył moje niewybredne słowa w jej obecności.

— To dawno zapomniane dzieje, stryju. Constance i ja...

— Sądzę, że to ty się zapominasz, młody człowieku, skoro przemawiasz do mnie takim tonem. Miło mi, że okazujesz skruchę, ale zabrałeś mi już zbyt wiele czasu. Proszę cię teraz o zachowanie milczenia.

— Najpierw skończę z twoją bratanicą Mary Katherine.

— Moja bratanica Mary Katherine od dawna nie żyje, młody człowieku. Nie przeżyła utraty rodziny; sądziłem, że o tym wiesz.

— Co takiego? — Charles zwrócił się z wściekłością do Constance.

— Moja bratanica Mary Katherine zmarła opuszczona w sierocińcu, podczas procesu swej siostry oskarżonej o morderstwo. Dla mojej książki ma niewielkie znaczenie, a zatem skończmy już z nią.

— Przecież tu siedzi — Charles zamachał rękoma, a jego twarz okryła się czerwienią.

— Młody człowieku — stryj Julian odłożył ołówek i odwrócił głowę w stronę Charlesa. — Przypuszczam, iż należycie podkreśliłem wagę mojej pracy. Ty zaś z uporem mi przeszkadzasz. Mam tego dość. Zamilcz teraz albo opuść ten pokój.

Zaśmiewałam się z miny Charlesa i nawet Constance zaczęła się uśmiechać. Charles stał gapiąc się na stryja Juliana, a stryj, przerzucając papiery, mruknął do siebie: „Przeklęty, bezczelny szczeniak.”

— Constance? — odezwał się po chwili.

— Tak, stryjku?

— Dlaczego moje papiery leżą w tym pudełku? Będę musiał je wyjąć i włożyć na nowo. Czy ten młodzieniec zbliżał się do moich papierów? Tak czy nie?

— Nie, stryjku.

— Moim zdaniem za dużo sobie pozwala. Kiedy wyjedzie?

— Nie wyjadę — odparł Charles. — Zamierzam tu zostać.

— To niemożliwe — stwierdził stryj Julian. — Nie mamy miejsca. Constance?

— Tak, stryjku?

— Zjadłbym pieczeń na lunch. Mały, dobrze wypieczony kawałek. Może z grzybkami.

— Ależ tak — odparła Constance z ulgą. — Powin-
nam zająć się lunchem.

Podeszła do stołu, jak gdyby uszczęśliwiona, że wreszcie może to zrobić, i zmiotła do papierowej torby ziemię i liście ciśnięte tam przez Charlesa. Wyrzuciła torbę do kosza na śmieci, a potem wyszorowała stół. Charles popatrzył na nią, a następnie na mnie i na stryja Juliana. Był najwyraźniej oszołomiony i nie mógł ogarnąć tego, co widział i słyszał; z radością patrzyłam, jak przyłapany demon miota się i wije, i byłam dumna ze stryja Juliana. Constance uśmiechnęła się do Charlesa, zadowolona, że nikt nie krzyczy; nie była już bliska płaczu i być może ona także zauważyła zmagania demona, bo powiedziała:

— Chyba jesteś zmęczony, Charles . Połóż się i odpocznij przed lunchem.

— Gdzie? — zapytał gniewnym tonem. — Nie ruszę się stąd, dopóki czegoś z nią nie zrobimy.

— Z Merricat? A co mamy z nią zrobić? Mówiłam, że uprzątnę twój pokój.

— Nie zamierzasz jej ukarać?

— Ukarać mnie? — Stałam już w drzwiach i drżałam na całym ciele. — Ukarać? Chcecie odesłać mnie do łóżka bez kolacji?

I uciekłam. Pobiegłam na łąkę i przysiadłam w bezpiecznym miejscu, ukryta w wysokiej trawie. Tam odnalazł mnie Jonasz i siedzieliśmy sobie razem, i nikt nas nie widział.

Wstałam po długiej chwili, wiedząc już, dokąd pójść. Wybierałam się do letniego domku. Nie chodziłam tam od sześciu lat, ale przez Charlesa świat stał się czarny i tylko letni domek nadawał się do moich celów. Jonasz nie poszedł za mną; nie znosił letniego domku i gdy zobaczył, że wkraczam na zarośniętą ścieżkę, ruszył w inną stronę, jak gdyby przypomniał sobie o czymś ważnym i zamierzał spotkać się ze mną później, w innym miejscu. Pamiętałam, że nikt nie przepadał za letnim domkiem. Zaprojektował go nasz ojciec i zamierzał skierować potok w tę stronę i wybudować mały wodospad, ale coś wstąpiło w trakcie budowy w drewno, kamień i

farbę i popsuło je. Matka zauważyła raz szczura na progu domku i później za nic nie chciała tam wejść, a jeśli nasza matka gdzieś nie wchodziła, nikt tam nie wchodził.

Nic tam nigdy nie zakopałam. Ziemia była czarna i wilgotna i to, co bym zakopała, nie czułoby się w niej dobrze. Drzewa przylegały zbyt ciasno do ścian domku, ich ciężki oddech przytłaczał dach, a nieszczęsne kwiaty, które tu niegdyś posadzono, zwiędły lub rozrosły się niczym dzikie, wybujałe chwasty. Stojąc przed domkiem letnim pomyślałam, że to najbrzydsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam; i przypomniałam sobie, że matka zupełnie serio prosiła, by go spalić.

Wewnątrz było ciemno i mokro. Nie podobało mi się, że mam siedzieć na kamiennej posadzce, ale nie miałam na czym usiąść; kiedyś stały tu krzesła, a nawet niski stolik, ale już ich nie było, zostały zabrane albo zgniły. Usiadłam na podłodze i w wyobraźni usadowiłam ich wszystkich na właściwych miejscach wokół jadalnianego stołu. Ojciec u szczytu. Matka po przeciwnej stronie. Stryj Julian obok matki, a po jej drugiej ręce nasz brat Thontas. Przy ojcu ciotka Dorothy i Constance. Ja między Constance i stryjem Julianem, na moim własnym, należnym mi i stosownym miejscu przy stole. Niespiesznie zaczęłam przysłuchiwać się rozmowie:

— ...kupić książkę dla Mary Katherine. Lucy, czy Mary Katherine nie należy się nowa książka?

— Mary Katherine należy się wszystko, czego ze-
chce, mój drogi. Nasza najukochańsza córka musi mieć
wszystko, czego zapagnie.

— Constance, twoja siostra nie ma masła. Proszę,
podaj jej masło, i to natychmiast.

— Kochamy cię, Mary Katherine.

— Nie wolno wymierzać ci kar. Lucy, musisz za-
dbać o to, by nasza ukochana córka Mary Katherine ni-
gdy nie została ukarana.

— Mary Katherine przenigdy nie pozwoliłaby sobie
na żaden karygodny uczynek i nie ma potrzeby jej karać.

— Słyszałem, moja Lucy, o nieposłusznych dzie-
ciach, które odsyła się za karę do łóżka bez kolacji. Nie
wolno nikomu tego robić z Mary Katherine.

— W pełni zgadzam się z tobą, mój drogi. Nie wol-
no karać Mary Katherine. Nie wolno posyłać jej do łóżka
bez kolacji. Mary Katherine nigdy nie pozwoliłaby sobie
na karygodny uczynek.

— Nasza ukochana, najdroższa Mary Katherine za-
sługuje na opiekę i ochronę. Thomas, oddaj swój talerz
siostrze, jest jeszcze głodna.

— Dorothy... Julianie. Wstańcie, kiedy wstaje nasza
ukochana córka.

— Skłóńcie wszyscy głowy przed naszą uwielbianą
Mary Katherine.

Wielka

VIII

Musiałam wrócić na kolację; to było konieczne, żebym usiadła do stołu z Constance, stryjem Julianem i Charlesem. Nie do pomyślenia było, aby siedzieli przy kolacji rozmawiając, przysuwając sobie półmiski i patrząc na moje puste miejsce. Szliśmy z Jonaszem ścieżką i poprzez mroczny ogród spojrzałam z miłością na dom; to był dobry dom i wkrótce na nowo miał się stać czysty i piękny. Przystanęłam na chwilę, a Jonasz otarł się o moją nogę i miauknął cicho, z zaciekawieniem.

— Patrząc na nasz dom — wyjaśniłam mu, a on stanął cicho obok mnie i także patrzył. Dach ostro celował w niebo, ściany spońście przylegały do siebie, a okna połyskiwały mrocznie; był to dobry dom, prawie czysty. Z okna kuchni i okien jadalni padało światło; nadeszła pora kolacji i musiałam tam być. Pragnęłam znaleźć się w środku i zamknąć za sobą drzwi.

Otworzywszy drzwi kuchenne wyczułam natychmiast, że dom nadal przesiąknięty jest złością, i zdziwiłam się, że jedno uczucie może u kogoś trwać tak długo. Stojąc w kuchni wyraźnie słyszałam jego głos.

— ...trzeba z nią zrobić — mówił — tak dalej być nie może.

Biedna Constance, pomyślałam, musi słuchać i słuchać, a tymczasem jedzenie stygnie. Jonasz wbiegł pierwszy do jadalni, a Constance powiedziała: „Oto i ona.”

Stałam w progu i przez chwilę patrzyłam uważnie. Constance była ubrana na różowo i miała ładnie zaczesane w tył włosy; uśmiechnęła się, kiedy na nią spojrzałam, i wiedziałam, że zmęczyło ją już słuchanie. Wózek stryja Juliana był ciasno dosunięty do stołu i z przykrością zauważyłam, że Constance zawiązała stryjowi serwetkę pod szyją; to bardzo nieładnie nie pozwolić stryjowi Julianowi jeść swobodnie. Jadł pieczeń z groszkiem zakonserwowanym przez Constance pewnego pachnącego letniego dnia; Constance pokroiła mięso na małe kawałeczki i stryj rozgniatał je łyżką razem z groszkiem, a później próbował unieść do ust. Nie słuchał, co mówi głoś, który mimo to nie chciał umilknąć.

— A więc jednak postanowiłaś wrócić? Najwyższy czas, moja panno; właśnie usiłowaliśmy z twoją siostrą ustalić, jak mamy nauczyć cię rozumu.

— Umyj buzię, Merricat — powiedziała łagodnie Constance. — I uczesz się; nie chcemy, żebyś tak niepo-

rzładnie wyglądała przy stole. Kuzyn Charles gniewa się na ciebie.

Charles wycelował we mnie widelec.

— Mogę ci od razu powiedzieć, Mary, że koniec z twoimi wybrykami. Uznaliśmy obydwój, że mamy już dość tych ciągłych humorów, uciezek i niszczenia rzeczy.

Nie podobał mi się ten wymierzony we mnie widelec i ten natarczywy głos; pragnęłam, by Charles nabił na widelec mięso, włożył do ust i udławił się nim.

— Leć już, Merricat — powiedziała Constance — bo kolacja wystygnie.

Wiedziała, że nie będę jadła przy tym stole i że przyniesie mi później kolację do kuchni, pomyślałam jednak, że nie chce przypominać o tym Charlesowi i podsuwać mu nowego tematu. Uśmiechnęłam się do niej i wyszłam, słysząc wciąż za sobą ten głos. Od dawna nie nagromadziło się w naszym domu tyle słów i ich uprzątnięcie mogło zająć wiele czasu. Stawiałam ciężkie kroki na schodach, aby słyszeli, że wchodzę na górę, ale potem zaczęłam poruszać się równie cicho jak Jonasz.

Constance posprzątała pokój, który zajmował Charles. Pokój wydawał się zupełnie pusty, bo mogła tylko opróżnić go z moich rzeczy; nie miała tam co wstawić, ponieważ wyniosłam wszystko na strych. Wiedziałam, że szuflady toaletki, szafa i półki na książki są puste. Nie

było lustro, a popsuty zegarek z uszkodzonym łańcuszkiem leżał samotnie na toalecie. Constance zdjęła mokrą pościel i domyśliłam się, że wysuszyła i odwróciła materac, bo łóżko było zasłane na nowo. Długie zasłony zniknęły, zapewne zabrane do prania. Rozrzucona pościel wskazywała, że leżał na łóżku, a obok na stoliku tliła się odłożona fajka. Odgadłam, że leżał tu, gdy Constance zawołała go na kolację, i ciekawa byłam, czy rozglądał się po odmienionym pokoju, próbując znaleźć w nim coś znajomego, z nadzieją, że być może kąś uchylonych drzwi szafy albo światło na suficie przywrócą to, co było przedtem. Z przykrością pomyślałam, że Constance musiała sama przewracać materac; zazwyczaj jej pomagałam, ale może tym razem on zaproponował, że zrobi to za nią. Przyniosła mu nawet czysty spodek pod fajkę; w naszym domu nie było popielniczek i raz, gdy Charles rozglądał się, gdzie mógłby odłożyć fajkę, Constance przyniosła mu kilka wyszczerbionych spodków ze spiżarni. Spodki były różowe, z obwódką ze złotych liści, i należały do serwisu starszego niż wszystkie, które pamiętałam.

— Kto ich używał? — spytałam, kiedy Constance przyniosła je do kuchni. — I gdzie są filiżanki?

— Nie widziałam, żeby ktoś ich używał; pochodzą z dawnych czasów, kiedy jeszcze nie zajmowałam się kuchnią. Jakaś prababka przywiozła je w posagu, a potem się wytlukły i w końcu to, co ocalało, powędrowało

na górną półkę w spizarni. Zostały tylko te spodki i trzy talerze.

— Powinny stać w spizarni — powiedziałam — a nie wszędzie, gdzie popadnie.

Constance dała je Charlesowi i teraz leżały w przypadkowych miejscach zamiast pędzić przyzwoity żywot na półce. Jeden był w bawialni, drugi w jadalni, a trzeci, jak przypuszczałam, w gabinecie. Nie były kruche, bo ten w sypialni wcale nie pękł, choć leżała na nim gorąca fajka. Od początku wiedziałam, że coś tu znajdę. Zepchnęłam fajkę razem ze spodkiem do kosza na śmieci i spadły miękko na gazety, które on przynosił do naszego domu.

Zastanawiały mnie moje własne oczy; lewe widziało wszystko na złoto, żółto i pomarańczowo, prawe zaś dostrzegało błękit, szarość i zieleń; może jedno oko było przeznaczone na dzień, a drugie na noc. Gdyby każdy na świecie widział jednym okiem inne barwy, a drugim inne, można by wynaleźć mnóstwo nowych barw. U szczytu schodów przypomniałam sobie, że mam się umyć i uczesać, więc zawróciłam.

— Co ci zajęło tyle czasu? — zapytał, gdy usiadłam przy stole. — Co robiłaś na górze?

— Upieczesz tort z różowym lukrem? — zwróciłam się do Constance. — Ozdobiony złotymi listkami? Wydajemy z Jonaszem przyjęcie.

— Może jutro — odparła.

— Po kolacji czeka nas długa rozmowa — powiedział Charles.

— *Solanum dulcamara* — poinformowałam go.

— Co? — spytał.

— Wilcza jagoda — wyjaśniła Constance. — Proszę cię, Charles, nie teraz.

— Mam już tego dość — oświadczył.

— Constance?

— Tak, stryjkę?

— Mój talerz jest pusty. — Stryj Julian znalazł na serwetce strzępek mięsa i włożył go do ust. — Co teraz dostanę?

— Może stryjkowi dołożyć? Miło patrzeć, jak stryjek zajada.

— Czuję się znacznie lepiej. Już od dawna nie cieszyłem się tak dobrym apetytem.

Byłam zadowolona, że stryj Julian dobrze się czuje, i wiedziałam, że jest szczęśliwy, ponieważ wcześniej był bardzo nieuprzejmy dla Charlesa. Gdy Constance kroїła pieczeń, stryj zerknął na Charlesa z podstępnyim błyskiem w oku, co oznaczało, że zaraz powie coś złośliwego.

— Młody człowieku — zaczął wreszcie, ale Charles gwałtownie odwrócił głowę w stronę hallu.

— Czuję dym — powiedział.

Constance przerwała krojenie i odwróciła głowę ku drzwiom.

— Piec? — rzuciła. Wstała szybko i wyszła do kuchni.

— Młody człowieku...

— To z pewnością dym. — Charles podszedł do drzwi i wyjrzał do hallu. — Czuję go — stwierdził. Byłam ciekawa, do kogo się zwraca; Constance znajdowała się w kuchni, stryj Julian myślał o tym, co ma powiedzieć, a ja przestałam słuchać. — Czuję dym — powtórzył Charles.

— To nie z pieca. — Constance stała w progu kuchni i patrzyła na Charlesa.

Charles odwrócił się i podszedł do mnie.

— Jeżeli to znowu twoja sprawka.... — zaczął.

Wybuchnęłam śmiechem, bo widziałam wyraźnie, że Charles boi się pójść na górę i sprawdzić, skąd pochodzi dym. Constance odezwała się nagle:

— Charles... twoja fajka... — a on popędził po schodach na górę. — Prosiłam go i prosiłam — dokończyła Constance.

— Czy z tego będzie pożar? — spytałam, a w tej samej chwili Charles wrzasnął z góry, wrzasnął zupełnie tak samo, pomyślałam, jak sójka w lesie. — To Charles — zwróciłam się grzecznie do Constance, która pospieszyła do hallu i spojrzała w górę.

— Co się dzieje? — zawołała — Charles, co się dzieje?

— Pożar! — odkrzyknął Charles zbiegając po schodach. — Uciekaj! Uciekaj! Ten cholerny dom się pali

— wrzasnął prosto w twarz Constance — a wy nawet nie macie telefonu.

— Moje papiery — powiedział stryj Julian. — Muszę poskładać papiery i przenieść je w bezpieczne miejsce.

— Napał rękoma na krawędź stołu, żeby odsunąć wózek. — Constance?

— Uciekaj — rzucił Charles, mocując się z zamkiem frontowych drzwi. — Uciekaj, głupcze!

— W ostatnich latach nie jestem zbyt skory do ucieczki, młody człowieku. Nie widzę powodu do hysterii; mam dość czasu, by pozbierać moje papiery.

Charles zdołał otworzyć frontowe drzwi i odwrócił się, wołając do Constance:

— Nie wynoś całego sejfu! Włóż pieniądze do torby. Zaraz wrócę, tylko wezwę pomoc. Nie wpadaj w panikę. — Ruszył biegiem w stronę miasteczka, krzycząc: „Pożar! Pożar! Pożar!”.

— O nieba — odezwała się Constance, niemal z rozbawieniem. Zawiozła stryja Juliana do pokoju, a ja wyszłam do hallu i zerknęłam ku górze. Charles zostawił drzwi do pokoju ojca otwarte i dostrzegłam płomienie. Ogień idzie w górę, pomyślałam, spali ich rzeczy na strychu. Charles zostawił otwarte również drzwi frontowe; smuga dymu spłynęła schodami i uleciała na zewnątrz. Nie widziałam potrzeby, aby ruszać się prędko lub biegać z krzykiem po domu, bo ogień wcale się nie spieszył. Zastanawiałam się, czy mogłabym pójść na górę i zamknąć drzwi pokoju ojca, żeby zatrzymać tam ogień należący całkowicie do Charlesa, ale gdy weszłam na schody, zobaczyłam jęzor ognia liżący dywan w hallu, a w pokoju ojca runął z trzaskiem jakiś ciężki przedmiot. Teraz nie został tam żaden ślad Charlesa; nawet jego fajka z pewnością spłonęła.

— Stryj Julian składa papiery — odezwała się Constance stając obok mnie w hallu. Przez ramię miała przewieszony szal stryja.

— Będziemy musiały wyjść na zewnątrz — powiedziałam. Czułam, że jest przestraszona, więc dodałam:

— Możemy stanąć na ganku, w ciemności, za dziwkim winem.

— Posprzątałyśmy dom zaledwie przedwczoraj — powiedziała. — Nie ma prawa się palić.

Zaczęła drzeć, jak gdyby była rozgniewana, więc wzięłam ją za rękę i wyprowadziłam przez frontowe drzwi, lecz gdy obejrzałyśmy się na dom, podjazd nagle zalały światła i ohydny dźwięk syren, a my uwięzłyśmy w jasno oświetlonym progu. Constance ukryła twarz na moim ramieniu, a potem pojawił się Jim Donell, który jako pierwszy zeskoczył z wozu strażackiego i wbiegł po schodach. „Z drogi” — rzucił i wdarł się do środka. Zaprowadziłam Constance w kąt ganku, gęsto obrośnięty winoroślą, a ona wtuliła się w gąszcz liści. Trzymałam ją mocno za rękę i śledziłyśmy razem wielkie stopy mężczyzn przekraczających próg, ciągnących za sobą węże, wnoszących w nasz dom brud, zamęt i groźbę. Kolejne reflektory oświetliły podjazd i schody, a front domu, wyraźnie teraz widoczny, stał się blady, nawet biały, i inny niż zwykle; nigdy przedtem go nie oświetlano. Panował zbyt wielki hałas, abym mogła słyszeć wszystko, co się dzieje, ale w tym hałasie rozbrzmiewał uporczywie głos Charlesa:

— Wynieście sejf z gabinetu — powtarzał bez przerwy.

Dym przecisnął się przez frontowe drzwi, pomiędzy wdzierającymi się do środka roslymi mężczyznami.

— Constance — szepnęłam. — Constance, nie patrz na nich.

— Czy oni mnie widzą? — spytała szeptem. — Czy ktoś mnie obserwuje?

— Wszyscy patrzą na pożar. Zachowuj się cicho.

Ostrożnie wyjrzałam zza pędów dzikiego wina.

Zobaczyłam sznur samochodów i wóz strażacki, zaparkowane tak blisko, jak tylko się dało, i byli tam wszyscy mieszkańcy miasteczka, którzy wpatrywali się w nasz dom. Dostrzegłam roześmiane twarze i wystraszone twarze, a potem, tuż obok nas, ktoś zawołał:

— Co z kobietami i staruszką? Czy ktoś ich widział?

— Zostali ostrzeżeni! — odkrzyknął skądś Charles. — Nic im się nie stało.

Stryj Julian radził sobie z wózkiem wystarczająco dobrze, aby móc wyjechać tylnymi drzwiami, ale nie wydawało mi się, aby ogień dotarł do kuchni albo pokoju stryja. Widziałam węże strażackie i słyszałam okrzyki mężczyzn; wszyscy znajdowali się na schodach i we frontowych sypialniach na górze. Przez frontowe drzwi przejść nie mogłam, a gdybym nawet zostawiła Constance samą, nie było sposobu przedostania się do kuchennych drzwi z pominięciem oświetlonych schodów, na które wszyscy patrzyli.

— Czy stryj Julian się przestraszył? — spytałam szeptem.

— Chyba raczej zdenerwował — odparła Constance. Po chwili dodała: — Wyszorowanie tego hallu do czysta będzie ciężką pracą — i westchnęła.

Ucieszyłam się, że myśli o domu, zapominając o ludziach na zewnątrz.

— A Jonasz? — spytałam. — Gdzie on jest?

W cieniu winorośli dostrzegłam jej lekki uśmiech.

— On także się zdenerwował — powiedziała. — Wyszedł kuchennymi drzwiami, kiedy wiozłam stryja Juliana po papiery.

Wszystko było w porządku. Stryj Julian mógł po prostu zapomnieć o pożarze, jeśli zagłębił się w swoich papierach, a Jonasz z pewnością siedział w cieniu drzew i patrzył. Kiedy ugaszą pożar Charlesa, zabiorę Constance do domu i będziemy mogły zacząć sprzątanie. Constance była już spokojniejsza, mimo że nadjeżdżało coraz więcej samochodów, a nasz próg przekraczała nie kończąca się procesja stóp. Z wyjątkiem Jima Donella, który nosił kapelusz z plaketką SZEFE, nie dawało się rozpoznać ani jednej osoby, podobnie jak nie dawało się przypisać nazwisk żadnej spośród twarzy wzniesionych ku naszemu domowi i śmiejących się z pożaru.

Próbowałam myśleć jasno. Dom się palił; w naszym domu wybuchł pożar, ale Jim Donell i inni anonimowi mężczyźni w kapeluszach i ortalionach posiadali osobliwą zdolność unicestwienia ognia trawiącego kości na-

szego domu. To był ogień Charlesa. Nasłuchując uważnie mogłam usłyszeć śpiewny, gorący szum na górze, ale tłumili go dobiegające zewsząd głosy mężczyzn wewnątrz domu i ludzi stojących na zewnątrz, a także odległy szum samochodów na podjeździe. Constance stała w milczeniu obok mnie, zerkając od czasu do czasu na mężczyzn wchodzących do domu, częściej jednak zasłaniając oczy dłońmi; jest wzburzona, myślałam, ale nic jej nie grozi. Chwilami czyjś głos wznosił się ponad inne; Jim Donell wykrzykiwał polecenia albo ktoś z tłumu coś wołał. „Zostawcie, niech się spali!”, dobiegł mnie roześmiany głos kobiety, a potem: „Wynieście sejf z gabinetu na dole!” — to był Charles, ukryty bezpiecznie w tłumie przed domem.

— Niech się spali! — wołała uparcie owa kobieta, a jeden z ciemnych mężczyzn, którzy biegali tam i z powrotem przez nasze frontowe drzwi, odwrócił się, pomachał ręką i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Jesteśmy strażakami! — odkrzyknął. — Musimy ugasić ogień.

— Niech się spali! — powtórzyła kobieta.

Dym kłębił się wszędzie, gęsty i brzydki. Niekiedy twarze ludzi, na których spoglądałam, przesłaniała chmura dymu; wydobywał się frontowymi drzwiami w przerażających falach. W pewnej chwili wewnątrz domu rozległ się trzask i głosy mówiące coś szybko i z naci-

skiem, a spowite dymem twarze na zewnątrz uniosły się radośnie, otwierając usta.

— Wynieście sejf! — krzyknął gwałtownie Charles.
— Niech dwóch czy trzech ludzi idzie po sejf do gabinetu! Cały dom się pali!

— Niech się spali! — zawołała znowu tamta kobieta.

Byłam głodna, chciałam zjeść kolację i zastanawiałam się, jak długo pozwolą ogniewi płonąć, zanim go ugaszą i pójdą sobie, a my z Constance będziemy mogli wrócić do domu. Paru chłopców z miasteczka wśliznęło się na ganek, niebezpiecznie blisko miejsca, gdzie stałyśmy, ale nie rozglądali się po ganku, tylko zerkali w głąb domu i usiłowali wspiąć się na palce, by zajrzeć do środka, bo widok zasłaniali im strażacy i węże gaśnicze. Byłam zmęczona i pragnęłam, żeby to się już skończyło. Wtedy zauważyłam, że blask przygasa, twarze ludzi stojących na trawniku stają się mniej wyraźne, a do hałasu wkradała się nowa nuta; głosy w domu brzmiały pewniej, nie tak ostro jak przedtem, niemal radośnie, a głosy na zewnątrz były cichsze i pojawiło się w nich rozczarowanie.

— Gaśnie — powiedział ktoś.

— Opanowali sytuację — dodał inny głos.

— Ale i tak narobił szkody. — Rozległ się śmiech.
— Na pewno zapaskudził stare domisko.

— Już dawno powinno się spalić.

— Razem z nimi.

Mówią o nas, pomyślałam. O Constance i o mnie.

— Powiedźcie, widział je kto?

— Tak dobrze to nie ma. Strażacy je wygonili.

— Szkoda.

Poblask prawie zupełnie zgasł. Ludzie stali teraz w mroku, twarze mieli wąskie i ciemne, oświetlone jedynie reflektorami aut. Dostrzegłam przeblysk uśmiechu, potem czyjąś uniesioną rękę, a głosy mówiły dalej z żalem.

— Już prawie po wszystkim.

— Niezgorszy pożar.

Przez frontowe drzwi wyszedł Jim Donell. Wszyscy rozpoznali go po wzroście i kapeluszu z plakietką SZEŃ.

— Słuchaj, Jim — odezwał się ktoś głośno — czemu nie dasz mu się spalić?

Uniósł rękę, nakazując im ciszę.

— Pożar ugaszony, ludziska — powiedział.

Ostrożnie zdjął kapelusz z plakietką SZEŃ i na oczach wszystkich zszedł powoli po schodach. Zbliżył się do wozu strażackiego i położył kapelusz na przednim siedzeniu. Następnie schylił się, szukając czegoś z namy-

słem, aż wreszcie, na oczach wszystkich, podniósł z ziemi kamień. Odwrócił się powoli w absolutnej ciszy, uniósł rękę i cisnął kamieniem w jedno z wysokich okien matczynej bawialni. Za jego plecami zaczął wznosić się i rosnać mur śmiechu, a potem chłopcy z ganku, mężczyźni i wreszcie kobiety z małymi dziećmi ruszyli niczym fala w stronę naszego domu.

— Constance — odezwałam się. — Constance — ale ona zasłaniała oczy dłońmi.

Kolejne okno bawialni zostało rozbite, tym razem od wewnątrz, i zauważyłam, że użyto do tego lampy, która przedtem stała przy krześle Constance.

Co najstraszniejsze, nad tym wszystkim górował śmiech. Zobaczyłam dreздеńską figurkę, która wyleciała przez okno i rozbiła się o poręcz ganku; druga, nie uszkodzona, potoczyła się w trawę. Usłyszałam melodyjny jęk spadającej harfy Constance, a potem rozpoznałam odgłos uderzania krzesłem o ścianę.

— Słuchajcie — odezwał się skądś Charles — może paru z was by mi pomogło przy tym sejfie?

A później przez śmiech przebił się czyjś głos: „Mer-ricat, rzecze Constance, chcesz herbaty kroplę, dwie?” Brzmiał rytmicznie i natarczywie. Jestem na księżycu, pomyślałam, proszę, niech się znajdę na księżycu. Wtedy usłyszałam brzęk tłuczonych talerzy i uświadomiłam so-

bie, że stoimy pod oknami jadalni i że oni są już bardzo blisko.

— Constance — powiedziałam — musimy uciekać.

Potrząsnęła głową, kryjąc twarz w dłoniach.

— Lada chwila nas znajdą. Proszę cię, Constance, najdroższa, uciekajmy.

— Nie mogę — odparła, a z okna jadalni dobiegł okrzyk: „Merricat, rzecze Constance, chcesz pograć się we śnie?” Odciągnęłam Constance na bok i sekundę później wyleciało okno; pomyślałam, że rzucono w nie krzesłem, być może tym, na którym siadywał nasz ojciec, a potem Charles.

— Szybko — zawołałam, nie mogąc już ściszać głosu w tym hałasie, i ruszyłam w stronę schodów ciągnąc Constance za rękę. Gdy padło na nas światło, zakryła twarz szalem stryja Juliana.

Z domu wybiegła dziewczynka, trzymająca coś w dłoniach, a tuż za nią matka, która złapała ją za kołnierz sukienki i trzepnęła po rękach.

— Nie bierz tego do buzi! — wrzasnęła kobieta, a dziewczynka upuściła garść korzennych ciasteczek Constance.

— Merricat, rzecze Constance, chcesz herbaty kropelę, dwie?

— Merricat, rzecze Constance, chcesz pograć się we śnie?

— O nie, rzecze Merricat, ty otrujesz mnie.

Musiałśmy zejść ze schodów i ukryć się bezpiecznie

w lesie; był niedaleko, ale trawnik oświetlały reflektory samochodów. Zastanawiałam się, czy Constance może potknąć się i upaść, biegnąc przez oświetlone miejsca, lecz musiałyśmy dotrzeć do lasu i nie było innej drogi. Zatrzymałyśmy się u szczytu schodów, nie bardzo mając odwagę iść dalej, ale okna były powybijane, a oni w środku ciskali naszymi talerzami, szklankami i srebrnym stołowym, nawet garnkami, których Constance używała do gotowania; zastanawiałam się, czy roztrzaskano już mój kuchenny stół. W ostatniej minucie, gdy jeszcze stałyśmy nieruchomo, podjechały jeden za drugim dwa samochody i zatrzymały się przed domem, rzucając na trawnik dodatkowe światło.

— Co się tutaj dzieje, do diabła ciężkiego? — przemówił Jim Clarke wysiadając z pierwszego samochodu, a Helen Clarke na siedzeniu obok kierowcy wytrzeszczyła oczy i otworzyła usta. Jim Clarke wdarł się do naszego domu wykrzykując, przepychając się i wcale nas nie zauważając. — Co się tu dzieje, do stu ciężkich diabłów? — powtarzał, a Helen Clarke gapiła się na dom, również nas nie dostrzegając.

— Banda wariatów! — wrzasnął w środku Jim Clarke. — Banda pijanych wariatów!

Z drugiego samochodu wyskoczył doktor Levy i pośpieszył w stronę domu.

— Czyście wszyscy poszaleli?—krzyczał Jim Clarke. Odpowiedział mu wybuch śmiechu.

— Chcesz herbaty kroplę, dwie? — ryknął jakiś głos i znowu rozległ się śmiech.

— Powinno się to rozebrać cegła po cegle — powiedział ktoś w środku.

Doktor wbiegł po schodach i odepchnął nas na bok, nie patrząc nawet.

— Gdzie jest Julian Blackwood? — spytał stojącą na progu kobietę, a ona odparła:

— Tam na cmentarzu, na grobu dnia. Nadeszła pora; chwyciłam Constance mocno za rękę

i ostrożnie zaczęłyśmy schodzić. Nie chciałam biec, bo bałam się, że Constance upadnie, dlatego sprowadziłam ją powoli ze schodów; nikt nie mógł nas jeszcze zauważyć z wyjątkiem Helen Clarke, która wpatrywała się w dom. Za plecami słyszałam krzyki Jima Clarke'a; usiłował nakłonić ludzi do opuszczenia naszego domu i zanim dotarłyśmy do ostatniego stopnia, tuż za nami rozległy się głosy.

— Są tutaj! —zawołał ktoś i to chyba była Stella.
.— Są tutaj, są tutaj, są tutaj!

Zaczęłam biec, ale Constance potknęła się i wtedy nas otoczyli, przepychając się i śmiejąc, próbując podejść bliżej, żeby lepiej widzieć. Constance zasłoniła twarz szalem stryja Juliana, aby nie mogli jej zobaczyć, i przez chwilę stałyśmy nieruchomo, przytulone, wyczuwając wokół siebie ciasny krąg ludzi.

— Trzeba je zagnać z powrotem do domu i podpalić.

— Zrobiliśmy wam porządek, dziewczęta, tak jakście chciały.

— Merricat, rzecze Constance, chcesz herbaty kropkę, dwie?

Przez jedną straszliwą chwilę myślałam, że mają zamiar wziąć się za ręce i tańczyć ze śpiewem wokół nas. W oddali dostrzegłam Helen Clarke wciśniętą w kąt samochodu; płakała i powtarzała jakieś słowa, i choć nie słyszałam jej w tym zgiełku, wiedziałam, że mówi: „Chcę do domu, proszę, chcę do domu.”

— Merricat, rzecze Constance, chcesz pograć się we śnie?

Uważali, żeby nas nie dotknąć; kiedy się odwracałam, odstępowali o krok. W pewnej chwili dostrzegłam ponad ich ramionami Harlera z zaśmieconego podwórza,

który przemierzał nasz garnek podnosząc różne rzeczy i układając je z boku w stertę. Postąpiłam krok naprzód, ściskając rękę Constance, a gdy odskoczyli, ruszyliśmy biegiem w stronę drzew; ale drogę zastąpiły nam żona Jima Donella z panią Mueller, śmiejąc się i rozkładając ramiona, więc stanęłyśmy. Odwróciłam się i pociągnęłam Constance; zaczęłyśmy znowu biec, lecz przed nami pojawiła się Stella i młodzi Harrisowie, wykrzykujący ze śmiechem: „Tam na cmentarzu, na grobu dnia!” — i stanęłyśmy. Zawróciłam i pobiegłam w stronę domu, ciągnąc za sobą Constance, ale natknęłam się na sklepikarza Elberta i jego chciwą żonę, którzy trzymali się za ręce jak w tańcu, więc stanęłyśmy. Ruszyłam w bok, ale zastąpił nam drogę Jim Donell i znowu stanęłyśmy.

— O nie, rzecze Merricat, ty otrujesz mnie — powiedział uprzejmym tonem Jim Donell i ponownie otoczyli nas kołem, trzymając się przezornie poza naszym zasięgiem.

— Merricat, rzecze Constance, chcesz pograć się we śnie?

Śmiech niemal zagłuszał śpiewy, okrzyki i wycie młodych Harrisów.

— Merricat, rzecze Constance, chcesz herbaty kropelę, dwie?

Constance jedną ręką ściskała moją dłoń, a drugą podtrzymywała szal, zakrywający jej twarz. Dostrzegłam

wyłom w otaczającym nas kręgu i raz jeszcze ruszyliśmy w stronę drzew, ale stali tam Harrisowie

— jeden tarzał się po ziemi ze śmiechu — i stanęliśmy. Zawróciłam w stronę domu, ale zastąpiła nam drogę Stella i znowu stanęliśmy. Constance potykała się nieustannie i nie wiedziałam, czy nie upadniemy na ich oczach, tak aby mogli w tańcu deptać po nas. Zamarłam; nie mogłam dopuścić, żeby Constance przy nich upadła.

— Dość już tego — odezwał się z ganku Jim Clarke. Jego głos nie był donośny, ale wszyscy usłyszeli.

— Wystarczy — powiedział. Na chwilę zapanowało uprzejme milczenie, a potem ktoś rzucił: „Tam na cmentarzu, na grobu dnie”, i podniósł się śmiech.

— Posłuchajcie — podjął głośniejszym głosem Jim Clarke — posłuchajcie mnie. Julian Blackwood nie żyje.

Wtedy wreszcie ucichli. Po chwili z tłumu dobiegł głos Charlesa Blackwooda:

— Zabiła go?

Odsunęli się powoli, odmierzając kroki i cofając się, aż pozostawili wokół nas pustą przestrzeń, pośrodku której stała Constance z twarzą osłoniętą szalem stryja Juliana.

— Zabiła go? — powtórzył Charles Blackwood.

— Nie — odpowiedział mu doktor, stając w progu domu. — Julian zmarł z przyczyn, które od dawna są mi znane, długo chorował.

— A teraz rozejdźcie się w spokoju — powiedział Jim Clarke. Zaczął lekko popychać ludzi, kierując ich w stronę podjazdu i samochodów. — Idźcie stąd. Ten dom nawiedziła śmierć.

Tłum ludzi ruszył przez trawnik w takiej ciszy, że usłyszałam głos Helen Clarke mówiący: „Biedny Julian”.

Zrobiłam ostrożny krok w ciemność, pociągając lekko Constance, żeby szła za mną. „Serce”, powiedział doktor z ganku, a ja zrobiłam następny krok. Nikt się na nas nie obejrzał. Drzwiczki aut zaczęły trzaskać cicho, zamruczały silniki. Spojrzałam za siebie tylko raz. Nie-wielka grupa ludzi otaczała doktora stojącego na schodach. Większość światel skierowała się ku drodze. Kiedy poczułam na sobie cienie drzew, ruszyłam jeszcze szybciej; jeszcze krok i znajdziemy się w lesie. Spieszyłam się, ciągnąc za sobą Constance ku drzewom, w ciemność; gdy wreszcie wyczułam stopami miękką, porośniętą mchem leśną ścieżkę, a drzewa otoczyły nas zewsząd, zatrzymałam się i objęłam Constance.

— Już po wszystkim — powiedziałam i przytuliłam ją mocno. Już dobrze — mówiłam — już wszystko dobrze.

Potrafiłam znaleźć drogę i w dzień, i w nocy. Pomyślałam, jak to dobrze, że posprzątałam i odświeżyłam kryjówkę, bo teraz Constance będzie tam przyjemnie. Przykryję ją liśćmi, jak to robiły dzieci w bajce, żeby jej było ciepło i żeby była bezpieczna. Może będę jej śpiewała albo opowiadała różne historie; będę jej przynosiła owoce i jagody, i wodę w kubku z liścia. A pewnego dnia polecimy na księżyc. Odnalazłam wejście do kryjówki, wprowadziłam Constance do środka i skierowałam w stronę kąta, gdzie leżała świeża warstwa liści i koc. Popchnęłam ją delikatnie aż usiadła, odebrałam jej szal stryja Juliana i okryłam ją nim. Z kąta dobiegło ciche mruczenie i już wiedziałam, że Jonasz czekał tu na mnie.

Zasłoniłam wejście gałęziami; nawet gdyby przyszli z latarkami, nie zobaczą nas. Nie było zupełnie ciemno; widziałam zarys sylwetki Constance, a gdy uniosłam głowę, dostrzegłam dwie lub trzy gwiazdy, które rzucały blask z wysoka, pomiędzy gałęziami i liśćmi, prosto na mnie.

Jedna z drezdeńskich figurek matki jest rozbita, pomyślałam, i powiedziałam głośno do Constance:

— Mam zamiar wsypać im wszystkim śmierć do jedzenia i patrzeć, jak umierają.

Constance poruszyła się lekko, a liście zaszeleściły.

— Tak samo jak poprzednio? — spytała.

Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ani razu w ciągu tych sześciu lat.

— Tak — odparłam po chwili. — Tak samo jak poprzednio.

Wielki

IX

W nocy przyjechał ambulans i zabrał stryja Juliana. Zastanawiałam się, czy zauważyli brak szala, który okrywał śpiącą Constance. Widziałam światła ambulansu skierowane w stronę podjazdu i małe czerwone światełko na dachu; słyszałam odległe dźwięki towarzyszące odjazdowi stryja Juliana, głosy — ściszone w obecności zmarłego, otwieranie i zamykanie drzwi. Wołano nas kilka razy, być może po to, by zapytać, czy mogą zabrać stryja, lecz głosy były stłumione i nikt nie wszedł do lasu. Siedziałam nad potokiem i żałowałam, że nie byłam miłsza dla stryja Juliana. Wierzył, że nie żyję, a teraz sam nie żył; złóżcie ukłon naszej ukochanej Mary Katherine, pomyślałam, bo inaczej czeka was śmierć.

Woda płynęła sennie w ciemności, a ja zastanawiałam się, jaki będzie teraz nasz dom. Może ogień strawił wszystko i jutro, gdy wrócimy, okaże się, że sześć ostatnich lat spłonęło, a oni czekają na nas, siedzą przy stole w jadalni i czekają, aż Constance poda im kolację. Może znajdziemy się w domu Rochesterów albo gdzieś w miasteczku, albo w mieszkalnej łodzi na rzece, albo w wieży na szczycie wzgórza; może dałoby się nakłonić pożar, by

się cofnął, opuścił nasz dom i zamiast niego zniszczył miasteczko; może wszyscy mieszkańcy już nie żyją. Może miasteczko było tak naprawdę jedną wielką planszą do gry z wyraźnie zaznaczonymi polami, a ja ominęłam pole z napisem: „Pożar, wróć na start”, i teraz miałam przed sobą tylko kilka ostatnich pól, które mogłam przebyć z pomocą jednego rzutu i znaleźć się w domu.

Sierść Jonasza pachniała dymem. Dzisiejszy dzień był dniem, w którym Helen Clarke przychodziła na podwieczorek, ale dzisiaj nie będzie żadnego podwieczorku, bo musimy posprzątać dom, chociaż zazwyczaj sprzątamy w inny dzień tygodnia. Żałowałam, że Constance nie przygotowała dla nas kanapek, i zastanawiałam się, czy Helen Clarke wybierze się do nas, mimo iż dom nie jest gotowy. Uznałam, że od tej chwili nie będzie mi wolno podawać filiżanek.

Kiedy zaczęło się robić jasno, usłyszałam, że Constance wierci się w kryjówce na posłaniu z liści, i wróciłam do środka, aby być przy niej, gdy się obudzi. Otworzyła oczy, spojrzała najpierw na drzewa w górze, a potem na mnie i uśmiechnęła się.

— Nareszcie jesteśmy na księżycu — powiedziałam.

— Myślałam, że to był sen.

— To było naprawdę — zapewniłam ją.

— Biedny stryj Julian.

— Zabrali go w nocy, a my zostałyśmy na księżycu.

— Ciszę się, że tu jestem — powiedziała. — Dziękuję, że zabrałaś mnie z sobą.

Miała liście we włosach i ubrudzoną twarz i Jonasz, który wszedł za mną, popatrzył na nią ze zdumieniem; jeszcze nigdy nie widział Constance z brudną twarzą. Umilkła na chwilę, wpatrując się w Jonasa i uświadamiając sobie, że jest brudna. Uśmiech znikł z jej twarzy i w końcu zapytała:

— Merricat, co my teraz zrobimy?

— Najpierw musimy posprzątać dom, choć to nie jest dzień sprzątania.

— Dom — powtórzyła. — Och, Merricat.

— Nie jadłam wczoraj kolacji — przypomniałam jej.

— Och, Merricat — usiadła, wyplątując się pośpiesznie z szala stryja Juliana i strzepując liście.

— Och, Merricat, moje biedactwo. Wracajmy prędko — i dźwignęła się na nogi.

— Najpierw powinnaś umyć twarz.

Poszła nad potok, zmoczyła chusteczkę i zaczęła wycierać twarz, a ja tymczasem strzepnęłam i złożyłam szal stryja Juliana, rozmyślając, jak dziwnie i na odwrót wszystko się układa tego ranka; nigdy przedtem nie do-

tknęłam szala stryja Juliana. Wiedziałam już, że reguły ulegną zmianie, ale czułam się nieswojo składając szal stryja. Później, pomyślałam, wrócę tu, uprzątnę moją kryjówkę i przyniosę świeże liście.

— Merricat, umrzesz z głodu.

— Musimy być czujne — powiedziałam przytrzymując ją za rękę. — Musimy iść bardzo cicho i ostrożnie; ktoś z nich może jeszcze czaić się w pobliżu.

Ruszyłam przodem, krocząc bezgłośnie ścieżką, a za mną Constance z Jonaszem. Constance nie potrafiła stąpać tak cicho jak ja, ale robiła niewiele hałasu, a Jonasz, oczywiście, nie robił go wcale. Wybrałam ścieżkę prowadzącą przez las na tyły naszego domu, w okolice ogródka warzywnego, a na skraju lasu przystanęłam i zatrzymałam Constance, żeby rozejrzeć się bacznie, czy nie ma tam kogoś z nich. W pierwszej chwili widziałyśmy tylko ogród i drzwi kuchenne, które wyglądały tak samo jak zawsze, a potem Constance wciągnęła gwałtownie powietrze i jęknęła: „Och, M e r r i c a t!” Zastygłam w bezruchu, bo zobaczyłam, że nasz dom nie ma piętra i dachu.

Przypomniałam sobie, że poprzedniego dnia stałam i patrzyłam z miłością na nasz dom; myślałam o tym, jaki jest wysoki i jak wznosi się aż po korony drzew. Teraz dom kończył się nad kuchennymi drzwiami koszmarną

plataniną czarnego, poskręcane go drewna; dostrzegłam kawałek ramy okiennej z odłamkami szyby i pomyślałam: to było moje okno, przez to okno wyglądałam z mojego pokoju.

Nikogo nie było widać ani słyszeć. Ruszyliśmy bardzo wolno w stronę domu, usiłując zrozumieć jego brzydotę, ruinę i hańbę. Zauważyłam, że popiół przysypał warzywa; trzeba będzie przepłukać sałatę i pomidory przed jedzeniem. Ogień tutaj nie dotarł, ale trawa, jabłonie i marmurowa ławka w ogrodzie Constance wydawały się okopcone i wszystko było brudne. Zbliżając się do domu zobaczyliśmy wyraźniej, że pożar nie dosięgnął parteru i musiał się zadowolić sypialniami i strychem. Constance zawahała się przy kuchennych drzwiach, ale otwierała je przedtem tysiąc razy i powinny były rozpoznać dotyk jej ręki, więc odsunęła rygiel. Zdawało się, że dom zadrżał, kiedy otwierała drzwi, choć jeszcze jeden przeciąg nie mógł mu teraz zbyt szkodzić. Constance musiała pchnąć drzwi, żeby się otworzyły, ale nie runęła żadna przepalona belka i nic się nagle nie zapadło, wbrew moim obawom, iż dom, z pozoru solidny, lecz w rzeczywistości zlepiony jedynie z popiołów, może rozsypać się pod dotknięciem.

— Moja kuchnia — powiedziała Constance. — Moja kuchnia.

Stała w progu i patrzyła. Pomyślałam, że musiałyśmy w nocy pomylić drogę, że musiałyśmy zabłądzić i

trafić do niewłaściwej szczeliny w czasie albo do niewłaściwych drzwi, albo do niewłaściwej bajki. Constance oparła się ręką o futrynę dla zachowania równowagi i powtórzyła:

— Moja kuchnia, Merricat.

— Widzę mój stół — powiedziałam.

Przeszkodą, która utrudniała otworzenie drzwi, okazał się przewrócony kuchenny stół. Postawiłam go na nogi i weszłyśmy do środka. Dwa krzesła były połamane, a podłoga wyglądała strasznie, pokryta szczątkami talerzy, szklanek i pojemników na żywność oraz strzępami papieru zdartego z półek. Słoiki z dżemem, syropem i przecierem pomidorowym roztrzaskano o ściany. Zlew, w którym Constance zmywała naczynia, pełen był potłuczonego szkła, zupełnie jakby ktoś metodycznie rozbijał tam szklankę po szklance. Szuflady ze srebrami i naczyniami kuchennymi zostały powyciągane i roztrzaskane o stół i ściany, a srebra, które przetrwały kilka pokoleń Blackwoodów, leżały pogięte i porozrzucane na podłodze. Obrusy i serwetki obrębiane przez panie Blackwood, prane, prasowane i pieczołowicie cerowane, zostały wydobyte z kredensu w jadalni i porozciągane po kuchni. Wydawało się, że odnaleziono, podarto i zbrukano wszystkie bogactwa i ukryte skarby naszego domu; zobaczyłam rozbite talerze z górnych półek kredensu, a nasza cukiernica w różyczki leżała niemal u moich stóp,

pozbawiona uszek. Constance nachyliła się i podniosła srebrną łyżeczkę.

— To ze ślubnego kompletu naszej babci — powiedziała i położyła łyżeczkę na stole. Po chwili zawołała: — Przetwory! — i odwróciła się ku drzwiom do piwnicy.

Były zamknięte i miałam nadzieję, że oni ich nie zauważyli albo nie zdążyli zejść po schodach. Constance przeszła ostrożnie po podłodze, otworzyła drzwi i zajrzała do piwnicy. Wyobraziłam sobie te wszystkie schludne słoiki zmienione w lepkie sterty pełne potłuczonego szkła, ale Constance zeszła niżej i powiedziała:

— Nie, wszystko w porządku; nikt tu niczego nie ruszał.

Zamknęła drzwi do piwnicy i podeszła do zlewu. Umyła ręce i wytarła je w ścierkę do naczyń podniesioną z podłogi.

— Najpierw śniadanie — oznajmiła.

Jonasz siedział na progu w blasku wschodzącego słońca i ze zdumieniem oglądał kuchnię. W pewnej chwili spojrzał na mnie; może myślał, że to my z Constance zrobiliśmy taki nieporządek. Zauważyłam jedną całą filiżankę, podniosłam ją i postawiłam na stole, a potem pomyślałam, że poszukam innych rzeczy, które mogły wyjść z tego cało. Przypomniałam sobie, że jedna z dreздеńskich figurek matki upadła bezpiecznie na trawę,

i zastanawiałam się, czy udało jej się ukryć i ocaleć; postanowiłam rozejrzeć się za nią później.

Nie istniał żaden porządek, żaden plan; ten dzień był niepodobny do innych. Constance zeszła do piwnicy i wróciła z rękami pełnymi słoików.

— Zupa jarzynowa — powiedziała niemal śpiewnym tonem — i dżem truskawkowy, bulion i marynowana wołowina. — Postawiła słoiki na kuchennym stole i odwróciła się powoli, wpatrzona w podłogę. — Jest — stwierdziła po chwili i podniosła rondelkę leżący w kącie. Nagle, jakby o czymś sobie przypominając, odstawiła go i ruszyła w stronę spiżarni.

— Merricat! — zawołała ze śmiechem. — Nie znaleźli beczki z mąką! Ani soli. Ani ziemniaków.

Ale znaleźli cukier, pomyślałam. Podłoga zgrzytała i poruszała się niemal jak żywa pod nogami; oczywiście, że szukali cukru i pysznie się przy tym bawili; może nawet rzucali nim w siebie, wrzeszcząc: „Cukier Blackwoodów, cukier Blackwoodów, chcesz spróbować?”

— Dostali się do półek w spiżarni — podjęła Constance. — Do płatków, przypraw i puszek.

Powoli obeszłam kuchnię, wpatrując się w podłogę. Pomyślałam, że musieli rozrzucać całe stosy przedmiotów, ponieważ wszędzie leżały powyginane puszki, zupełnie jakby spadały z wysoka, a pudełka z płatkami, herbatą i krakersami były otwarte i podeptane. Pojemniki

z przyprawami piętrzyły się, nie otwarte, w kącie; wydało mi się, że czuję nikły, korzenny zapach ciastek Constance, a potem dostrzegłam ich okruchy na podłodze.

Constance wyszła ze spiżarni z bochenkiem chleba.

— Popatrz, nie znaleźli go — powiedziała. — A w chłodziarce są jajka, mleko i masło.

Nie znaleźli drzwi do piwnicy, a zatem nie dotarli do chłodziarki; ucieszyłam się, że nie porozbijali jeszcze jajek na podłodze.

Wyszukałam trzy całe krzesła i ustawiłam je na miejscu, przy stole. Jonasz obserwował nas z mojego stołka w kącie. Wypiłam bulion z filiżanki bez uszka, a Constance umyła nóż i posmarowała chleb masłem. Wtedy jeszcze nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale czas i porządek dawnych dni dobiegł końca; nie wiem, kiedy znalazłam trzy krzesła i kiedy zjadłam chleb z masłem, i czy najpierw znalazłam krzesła, a potem zjadłam chleb, czy na odwrót; czy może stało się to równocześnie? W pewnej chwili Constance odwróciła się raptownie, odkładając nóż; wstała i ruszyła ku zamkniętym drzwiom pokoju stryja Juliana, a później zawróciła z lekkim uśmiechem.

— Wydawało mi się, że go słyszę — powiedziała i usiadła.

Nie wychodziłyśmy jeszcze poza granice kuchni. Nie wiedziałyśmy, ile z domu ocalało i co znajdziemy za zamkniętymi drzwiami jadalni i hallu. Siedziałyśmy cicho w kuchni, ciesząc się z krzeseł, bulionu i słońca wpadającego przez drzwi; jeszcze nie byłyśmy gotowe posunąć się dalej.

— Co zrobią ze stryjem Julianem? — spytałam.

— Wyprawią mu pogrzeb — odparła ze smutkiem Constance. — Pamiętasz, jak było wtedy?

— Byłam w sierocińcu.

— Pozwolili mi pójść na ich pogrzeb. Pamiętam to. Wyprawią pogrzeb stryjowi i przyjdą Clarke'owie, Caringtonowie i na pewno ta mała pani Wright. Będą powtarzali, jak bardzo im przykro. Będą się rozglądali za nami.

Wyobraziłam to sobie i zadrżałam.

— Pochowają go obok tamtych.

— Chciałabym zakopać coś na pamiątkę stryja Juliana — powiedziałam.

Constance w milczeniu wpatrywała się w swoje smukłe, nieruchome palce, spoczywające na stole.

— Nie ma już stryja Juliana ani ich — podjęła. — Nie ma też znacznej części naszego domu, Merricat; zostaliśmy tylko my.

— I Jonasz.

— I Jonasz. Musimy się lepiej zabezpieczyć.

— Ale dzisiaj Helen Clarke przychodzi na podwieczorek.

— Nie — odparła. — Już nigdy. Nie tutaj.

Dopóki siedzieliśmy spokojnie w kuchni, mogliśmy pominąć resztę domu. Książki z biblioteki tkwiły na półce nietknięte i uznałam, że nikt nie chciał ruszać książek należących do biblioteki; mimo wszystko, niszczenie własności bibliotecznej podlegało karze grzywny.

Constance, zawsze poruszająca się tanecznym krokiem, wydawała się teraz niezdolna do jakiegokolwiek ruchu; siedziała na kuchennym stole z rozłożonymi rękoma, nie patrząc na zniszczenia, niemal pogrążona we śnie, jakby nie wierząc, że się w ogóle obudziła.

— Musimy posprzątać dom — odezwałam się niepewnie, a ona uśmiechnęła się do mnie.

Gdy poczułam, że nie mogę na nią dłużej czekać, dodałam:

— Pójdę rzucić okiem.

Wstałam i podeszłam do drzwi jadalni. Obserwowała mnie, nie ruszając się z miejsca. Gdy otworzyłam drzwi, uderzył mnie zapach wilgoci, zwęglonego drewna

i zniszczenia. Odłamki szyb leżały na podłodze, a srebrny serwis do herbaty zrzucano z kredensu i podeptano, aż przybrał groteskowe, nierozpoznawalne kształty. Tutaj także połamano krzesła; przypomniałam sobie, że rzucali nimi w okna i ściany. Przeszłam przez jadalnię do hallu. Frontowe drzwi były otwarte na oścież i blask wschodzącego słońca rozświetlał podłogę, muskając odłamki szkła i strzępy materiału; po chwili rozpoznałam zasłony z bawialni, które uszyła nasza matka i które miały czternaście stóp długości. Na zewnątrz nie było niko- go; stałam w otwartych drzwiach i patrzyłam na trawnik oznaczony śladami opon i roztańczonych stóp, a węże strażackie zostawiły po sobie błotniste kałuże. Na fron- towym ganku panował bałagan; przypomniałam sobie schludny stos rzeczy, ułożony poprzedniej nocy przez śmie- ciarza Harlera. Byłam ciekawa, czy zamierzał dzi- siał przyjechać swoją półciązarówką i zabrać, co się da- ło, czy może zgromadził tę stertę tylko dlatego, że uwiel- biał zbierać uszkodzone przedmioty i nie mógł się oprzeć pokusie. Przystanęłam w drzwiach, upewniając się, że nikt nas nie śledzi, a potem zbiegłam po schodach i zna- lazłam w trawie drezdeńską figurkę matki, nieuszkodzo- ną, ukrytą wśród korzeni krzewu; postanowiłam zanieść ją Constance.

Siedziała nadal przy kuchennym stole, i gdy po- stawiałam przed nią drezdeńską figurkę, spojrzała na nią, a potem ujęła ją w dłonie i przytuliła do policzka.

— To moja wina — powiedziała. — Nie wiem dlaczego, ale to moja wina.

— Kocham cię, Constance.

— A ja ciebie, Merricat.

— A upieczesz torcik dla Jonasza i dla mnie? Ten z różowym lukrem i złotymi listkami?

Pokręciła głową i przez chwilę myślałam, że mi nie odpowie. Potem odetchnęła głęboko i wstała.

— Najpierw — oznajmiła — zamierzam posprzątać kuchnię.

— A co chcesz zrobić z tym? — spytałam, dotykając dreźdeńskiej figurki końcem palca.

— Odstawić na miejsce — odparła.

Ruszyłam za nią, gdy podeszła do drzwi hallu i skierowała się w stronę bawialni. Hall wyglądał lepiej niż pokoje, bo nie było tam czego tłuc, ale na podłodze leżały skorupy naczyń z kuchni i deptałyśmy po łyżkach i talerzach. Odczułam wstrząs, gdy weszłyśmy do bawialni i oczy matki spojrzały na nas łaskawie z portretu ponad zniszczonym pokojem. Biały ornament pod sufitem poczerniał od dymu i sadzy, i nie nadawał się już do oczyszczenia; widok bawialni sprawił mi większą przykrość niż widok kuchni czy jadalni, gdyż zawsze utrzymywałyśmy w bawialni największy porządek i matka bardzo lubiła ten pokój. Zastanawiałam się, kto wyrzucił

harfę Constance i przypomniałam sobie jej melodyjny krzyk, gdy uderzyła o ziemię. Różowy brokat na krzesłach był podarty i brudny, poznaczony mokrymi śladami nóg, które kopały krzesła i deptały pokrycie sofy. Tutaj także okna były wybite, a zasłony zerwane, co sprawiało, że można było nas wyraźnie zobaczyć z zewnątrz.

— Chyba potrafię zamknąć okiennice — powiedziałam do Constance, która stanęła niepewnie w drzwiach, wzdragając się przed wejściem do pokoju. Wyszłam przez rozbite okno na ganek, myśląc przy tym, że nikt jeszcze tędy nie wychodził, i stwierdziłam, że mogę z łatwością odhaczyć okiennice. Miały te same rozmiary co okna; początkowo planowano, że gdy skończy się lato i rodzina wyjedzie do miasta, okiennice będzie zamykał mężczyzna stojący na drabinie, ale od czasu ostatniego zamykania upłynęło tyle lat, że haczyki zardzewiały i wypadły ze ściany, zaledwie potrząsnęłam ciężkimi okiennicami. Zatrzasnęłam je, ale mogłam dosięgnąć tylko najniższego rygla; dwa inne znajdowały się wysoko nad moją głową. Może przyjdę tu któreś nocy z drabiną, teraz jednak musiał wystarczyć ten jeden rygiel. Zamknęłam obydwie wysokie okiennice, ruszyłam gankiem ku frontowym drzwiom i weszłam do domu przepiślową drogą, po czym udałam się do bawialni, w której Constance stała teraz w półmroku, odcięta od słonecznego światła. Podeszła do kominka, postawiła drezdeńską figurkę na jej dawnym miejscu pod portretem matki i na jedną krótką chwilę wielki, zaciemniony pokój stał się na

powrót takim, jakim powinien być, a potem rozpadł się na zawsze.

Musiałśmy stąpać ostrożnie z uwagi na szczątki różnych przedmiotów leżące na podłodze. Sejf ojca spoczywał tuż obok bawialnianych drzwi. Wybuchnęłam śmiechem i nawet Constance się uśmiechnęła, bo sejf nie był otwarty i najwyraźniej nie udało się go przenieść dalej.

— Głupota — stwierdziła Constance i trąciła sejf czubkiem buta.

Nasza matka zawsze była uradowana, kiedy ludzie podziwiali jej bawialnię, lecz teraz nikt już nie mógł podejść do okna i zajrzeć, i nikt więcej tego pokoju nie zobaczy. Zamknęłyśmy za sobą drzwi bawialni i odtąd nigdy ich nie otwierałyśmy. Constance czekała za frontowymi drzwiami, a ja wyszłam ponownie na ganek i zatrzasnęłam okiennice na oknach jadalni, a potem wróciłam do domu. Zamknęłyśmy frontowe drzwi na klucz i odtąd byłyśmy bezpieczne. Mroczny hall przecinały jedynie dwie smugi światła z wąskich okienek umieszczonych po obu stronach drzwi; mogłyśmy wyglądać przez nie na zewnątrz, ale nikt nie mógł niczego zobaczyć w środku, nawet gdyby przybliżył twarz do szybki, ponieważ w hallu było ciemno. Czarne schody prowadziły w mrok i do spalonych pokoiów, skąd — o dziwo — gdzieś tam przeświecało niebo. Dotychczas dach zawsze oddzielał nas od nieba, ale nie wydawało mi się,

aby coś mogło zaatakować nas z góry, i odepchnęłam od siebie myśl

o cichych, skrzydlatych istotach sfruwających z drzew, aby przy sięść na połamanych, przepalonych krokwiach i zajrzeć do środka. Pomyślałam, że rozsądnie byłoby zabarykadować schody, kładąc coś w poprzek, na przykład połamane krzesło. Pośrodku schodów leżał materac, brudny i przesiąknięty wodą; to tutaj strażacy stali z węzami i walczyli z ogniem. Stałam u stóp schodów spoglądając w górę i zastanawiając się, gdzie zniknął nasz dom, ściany i podłogi, łóżka i pudła z rzeczami na strychu; pożar zniszczył zegarek ojca

i szylkretowe przybory toaletowe matki. Czulałam powiew na policzku; pochodził z góry, z nieba, ale pachniał dymem i ruiną. Nasz dom był zamkiem z wieżyczkami, otwierającym się ku niebu.

— Wracaj do kuchni — powiedziała Constance. — Nie mogę tu stać.

Jak dzieci szukające muszelek albo dwie starsze panie rozglądające się za monetami wśród zeschniętych liści, przemierzałyśmy kuchnię szurając nogami i usiłując znaleźć pod warstwą skorup rzeczy, które byłyby całe i nadawały się do użytku. Gdy już przeszłyśmy kuchnię wzdłuż, wszerz i na ukos, zebrałyśmy na stole kupkę przydatnych przedmiotów i okazało się, że dla nas

dwóch w zupełności wystarczają. Były tam dwie filiżanki z uszkami i kilka bez uszek, pół tuzina talerzy i trzy miski. Udało nam się odzyskać wszystkie nie uszkodzone puszki z żywnością, a puszki z przyprawami wróciły porządnie na swoją półkę. Znalazłyśmy większość sreber i wyprostowałyśmy je najlepiej, jak umiałyśmy, a potem włożyłyśmy do właściwych szuflad. Ponieważ każda panna młoda przywoziła do domu Blackwoodów własne srebra, porcelanę i obrusy, miałyśmy zawsze całe tuziny noży do masła, łyżek wazowych i pater do tortów; najlepsze srebra matki leżały w specjalnym pudełku w jałdanium kredensie, ale znaleźli je i rozrzucili po podłodze.

Jedna z całych filiżanek była zielona z wierzchu i jasnożółta w środku i Constance powiedziała, że mogę ją sobie wziąć.

— Nigdy nie widziałam, żeby ktoś jej używał — dodała. — Przypuszczam, że ten serwis należał do posagu którejś z babek albo ciotecznych babek. Mieliśmy kiedyś takie talerze.

Constance wybrała białą filiżankę w pomarańczowe kwiatki; pasował do niej jeden z talerzyków.

— Pamiętam ten komplet — powiedziała. — Używało się go na co dzień, kiedy byłam bardzo mała. Nasz

najlepszy porcelanowy serwis był wtedy biały, ze złotymi obwódkami. Potem mama kupiła nowy, a tego białozłotego zaczęliśmy używać na co dzień. Ten w kwiatki odstawiliśmy na półkę w spiżarni razem z innymi, które się wytlukły. W ostatnich latach używałam zawsze codziennego serwisu mamy, z wyjątkiem dni, kiedy Helen Clarke przychodziła na podwieczorek. Będziemy jadały, jak przystoi damom — stwierdziła — i piły z filiżanek z uszkami.

Gdy już wybrałyśmy wszystko, co mogło się nam przydać, Constance wzięła solidną miotłę i uprzątnęła wszystkie śmieci, wmiatając je do jadalni.

— Nie będziemy musiały ich dłużej oglądać

— oznajmiła.

Oczyściła hall, żebyśmy mogły przechodzić bezpośrednio z kuchni do frontowych drzwi, a potem pozamykałyśmy wszystkie drzwi do jadalni i nigdy już ich nie otwierałyśmy. Pomyślałam o drezdeńskiej figurce, stojącej niczym mały dzielny żołnierz w mrocznej bawialni pod portretem matki, i uświadomiłam sobie, że już nigdy nie będziemy jej odkurzać. Gdy Constance wymiatała podarte strzępy bawialnianych zasłon, poprosiłam, żeby mi dała kawałek sznura, który kiedyś służył do ich zaciągania. Odcięła część ze złotą frędzlą na końcu; zastanawiałam się, czy tego nie zakopać na cześć stryja Juliana.

Kiedy skończyłyśmy i Constance wyszorowała podłogę w kuchni, nasz dom wyglądał czysto i świeżo; wszystko lśniło, od frontowych aż po kuchenne drzwi. Kuchnia wydawała się ogołocona, ponieważ wiele rzeczy znikło bezpowrotnie, ale Constance ustawiła na półce nasze filiżanki, talerze i miski i znalazła też miseczkę na mleko dla Jonasza, więc byliśmy bezpieczni. Frontowe drzwi były zamknięte i zaryglowane, podobnie jak kuchenne. Zasiadłyśmy przy stole pijąc mleko z filiżanek, Jonasz chleptał ze swojej miseczki, i nagle ktoś zastukał do frontowych drzwi. Constance pobiegła do piwnicy, a ja dołączyłam do niej, sprawdzivszy rygiel na kuchennych drzwiach. Przysiadłyśmy na piwnicznych schodach, nasłuchując. W oddali wciąż rozbrzmiewało stukanie do frontowych drzwi, a potem czyjś głos zawołał:

- Constance? Mary Katherine?
- To Helen Clarke — szepnęła Constance.
- Myślisz, że przyszła na podwieczorek?
- Nie. Nigdy więcej.

Tak jak podejrzewałyśmy, obeszła dom, wciąż nas nawołując. Kiedy zastukała do kuchennych drzwi, wstrzymałyśmy oddech, trwając w bezruchu, ponieważ ich górna część była ze szkła i wiedziałyśmy, że Helen Clarke może zajrzeć do środka; ale na stopniach piwnicy byliśmy bezpieczni, a ona nie mogła otworzyć drzwi.

— Constance? Mary Katherine? Jesteście tam?

— Potrząsnęła klamką, tak jak robią to ludzie, którzy chcą, żeby drzwi się otworzyły, i pragną przyłapać je w chwili nieuwagi, zanim zamek zareaguje. — Jim

— odezwała się — ja wie m, że one tam są. Widzę, że coś się gotuje w kuchni. Musicie otworzyć! — podniosła głos. — Constance, wyjdź, chcę z tobą porozmawiać, chcę cię zobaczyć. Jim — powiedziała — one tam są i słyszą, co mówię, jestem o tym przekonana.

— Na pewno cię słyszą — odparł Jim Clarke. — Całe miasteczko cię słyszy.

— Ale z całą pewnością źle zrozumiały wydarzenia ostatniej nocy! Constance była zdenerwowana i m u - s z ę im powiedzieć, że nikt nie miał złych zamiarów. Constance, wysłuchaj mnie, proszę. Chcemy, żebyście razem z Mary Katherine sprowadziły się do nas, dopóki nie będzie wiadomo, co z wami zrobić. Wszystko jest w porządku, naprawdę, o wszystkim zapomnimy.

— Myślisz, że włamie się do domu? — szepnęłam do Constance, która w milczeniu potrząsnęła głową.

— Jim, czy mógłbyś wyważyć te drzwi?

— Na pewno nie. Zostaw je w spokoju, Helen, wyjdą, kiedy będą gotowe.

— Ale Constance jest taka wrażliwa. Teraz z pewnością się przeraziła.

— Zostaw je. w spokoju.

— Nie można ich tak zostawić, to byłoby dla nich najgorsze. Chcę je zabrać do siebie, do domu, gdzie mogę się nimi zaopiekować.

— Ale one chyba tego nie chcą — powiedział Jim Clarke.

— Constance? Constance? Wiem, że tam jesteś! Otwórz drzwi.

Pomyślałam, że mogłybyśmy zasłonić kuchenne drzwi płótnem albo tekturą; to po prostu niemożliwe, żeby Helen Clarke ustawicznie tu zaglądała i obserwowała garnki na kuchni. Mogłybyśmy spiąć szpilkami zasłony na oknach, a gdyby okna były całkiem zakryte, siedzielibyśmy cicho przy stole, nie na schodach do piwnicy, kiedy Helen Clarke dobijała się do drzwi.

— Chodźmy stąd — powiedział Jim Clarke. — One ci nie otworzą.

— Ale ja chciałabym zabrać je do siebie.

— Zrobiliśmy, co w naszej mocy. Jeszcze tu wrócimy i może będą bardziej skłonne się z tobą zobaczyć.

— Constance? Constance, proszę, odezwij się do mnie.

Constance z westchnieniem zabębniła palcami o poręcz schodów, niecierpliwie i niemal bezgłośnie.

— Niech się lepiej pospieszy — szepnęła mi do ucha. — Zupa mi się wygotuje.

Helen Clarke wołała nas jeszcze kilka razy, idąc do samochodu. Nawoływała: „Constance? Constance?“, jak gdybyśmy znajdowały się w lesie, może na drzewie albo w sałacie, albo gotowe wyskoczyć zza krzaka. Gdy usłyszaliśmy w oddali ich samochód, wyszliśmy z piwnicy i Constance zdjęła zupę z pieca, a ja podeszłam do frontowych drzwi, aby się upewnić, że odjechali i że zamek jest starannie zatrzaśnięty. Zobaczyłam samochód skręcający z podjazdu i wydawało mi się, że słyszę Helen Clarke wołającą: „Constance? Constance?“

— Na pewno chciała przyjść na podwieczorek — odezwałam się w kuchni do Constance.

— Mamy tylko dwie filiżanki z uszkami — odparła Constance. — Ona nigdy więcej nie zje z nami podwieczorku.

— Dobrze, że już nie ma stryja Juliana, bo ktoś by musiał pić z obitej filiżanki. Czy chcesz posprzątać pokój stryja?

— Merricat — Constance odwróciła się od piecyka.

— Co robić?

— Posprzątałyśmy dom. Mamy co jeść. Ukryłyśmy się przed Helen Clarke. Co jeszcze mamy zrobić?

— Gdzie będziemy spały? Skąd będziemy wiedziały, która godzina? W co się ubierzemy?

— Po co wiedzieć, która godzina?

— Nasza żywność, nawet przetwory, nie jest wieczna.

— Możemy spać w mojej kryjówce nad potokiem.

— Nie. To tylko kryjówka, a ty musisz mieć łóżko, prawdziwe łóżko.

— Na schodach leżał materac. Może nawet z mojego łóżka. Możemy go oczyścić i wysuszyć na słońcu. Jeden róg jest spalony. '

— Dobrze — odparła Constance.

Podeszłyśmy razem do schodów i niezdarnie podniosłyśmy materac; był niemiły w dotyku, mokry i brudny. Przeciągnęłyśmy go przez hall razem z odłamkami szkła i drewna, a potem przez czystą kuchnię Constance aż pod drzwi. Rozejrzałam się uważnie, zanim otworzyłyśmy drzwi, i nawet później rozglądałam się wszędzie, nim uznałam, że droga jest bezpieczna. Wciągnęłyśmy materac na trawnik i ułożyłyśmy go w słońcu obok matczynej marmurowej ławki.

— Stryj Julian lubił to miejsce.

— Stryj chętnie posiedziałyby dzisiaj w słońcu.

— Mam nadzieję, że było mu ciepło, kiedy umierał. Może przypomniało mu się słońce.

— Zabrałam jego szal. Mam nadzieję, że mu go nie brakowało. Merricat, zasadzę coś tutaj, w tym miejscu, gdzie siadywał.

— A ja coś zakopię na pamiątkę. Co zasadzisz?

— Kwiat — Constance pochyliła się i łagodnie musnęła trawę. — Jakiś żółty kwiat.

— Będzie wyglądał śmiesznie na samym środku trawnika.

— My będziemy wiedziały, dlaczego tu rośnie, a nikt inny go nie zobaczy.

— Zakopię coś żółtego, żeby stryjowi było ciepło.

— Ale najpierw, Merricat, mój ty leniuchu, przyniesiesz garnek wody i wyszorujesz materac. A ja jeszcze raz wyczyszczę podłogę w kuchni.

Będziemy bardzo szczęśliwe, pomyślałam. Miałyśmy dużo do zrobienia i musiałyśmy zaplanować dni na nowo, ale pomyślałam, że będziemy bardzo szczęśliwe. Constance była blada i wciąż smuciła się tym, co zrobili z jej kuchnią, ale wyszorowała półki i stół, umyła okna i podłogę. Nasze naczynia stanęły dzielnie na półce, a puszki i ocalałe pudełka z żywnością utworzyły w spiżarni okazały szereg.

— Mogłabym wytresować Jonasza, żeby przynosił nam króliki do potrawki — powiedziałam. Constance parsknęła śmiechem, a Jonasz obrzucił ją beznamiętnym spojrzeniem.

— Ten kot tak przywykł do śmietanki, ciastek i smażonych jajek, że nie złowi nawet pasikonika

— stwierdziła.

— Gulasz z pasikoników chyba mi nie smakował.

— Tak czy inaczej, teraz upiekę placek z cebulą. Podczas gdy Constance myła kuchnię, znalazłam

grubą tekturę, którą starannie pocięłam uzyskując kilka sporych kawałków zasłaniających szyby w kuchennych drzwiach. Młotek i gwoździe znajdowały się w szopie z narzędziami, gdzie odniósł je Charles Blackwood po tym, jak próbował naprawić złamany stopień. Przybiłam tekturę do kuchennych drzwi, zasłaniając całkowicie szyby, tak, aby nikt nie mógł zajrzeć do środka. Zakryłam tekturą okna kuchni i zrobiło się w niej ciemno, ale bezpiecznie.

— Byłoby jeszcze bezpieczniej, gdyby nie myć okien

— powiedziałam, ale Constance odparła ze zgorzeleniem:

— Nie chcę mieszkać w domu z brudnymi oknami. Kiedy skończyłyśmy, kuchnia była czysta, ale z braku

światła nie lśniła i widziałam, że Constance nie jest zadowolona. Lubiła światło, blask słońca i czystą, jasną kuchnię.

— Możemy otworzyć drzwi — powiedziałam

— i bacznie je obserwować. Jeżeli jakiś samochód podjedzie przed dom, usłyszymy go. A ja — dodałam

— spróbuję ustawić barykady, żeby nikt nie mógł dostać się na tyły domu.

— Helen Clarke na pewno spróbuje jeszcze raz.

— Teraz już nic nie zobaczy.

Nadciągało popołudnie; nawet przy otwartych drzwiach słońce oświetlało tylko część kuchni, a Jonasz podszedł do Constance prosząc o kolację. Kuchnia była ciepła i przytulna, swojska i czysta. Pomyślałam, że miło byłoby mieć tu kominek, mogłybyśmy siedzieć przy kominku; a potem pomyślałam: nie, pożar już raz był.

— Sprawdzę, czy frontowe drzwi są zamknięte — powiedziałam.

Były zamknięte i nikt nie czaił się za nimi. Kiedy wróciłam do kuchni, Constance oznajmiła:

— Jutro posprzątam pokój stryja Juliana. Ta niewielka część domu, jaka nam pozostała, powinna być utrzymana w czystości.

— Będiesz tam spała? W łóżku stryja Juliana?

— Nie, Merricat. Chcę, żebyś ty tam spała. To nasze jedyne łóżko.

— Ale mnie nie wolno wchodzić do pokoju stryja Juliana.

Milczała przez chwilę, patrząc na mnie dziwnie, po czym spytała:

— Nawet gdy stryja już nie ma, Merricat?

— Ponadto znalazłam materac i wyczyściłam go, a to jest materac z mojego łóżka. Chcę go położyć w moim kącie na podłodze.

— Niemądra Merricat. Obawiam się, że obydwie będziemy dzisiaj spały na podłodze. Materac nie wyschnie do jutra, a łóżko stryja Juliana jest brudne.

— Mogę przynieść gałęzie i liście z kryjówki.

— Dopiero co wysprzątałam podłogę!

— Ale przyniosę koc i szal stryja.

— Wyjdiesz teraz? Tak daleko?

— Nikogo nie ma — odparłam. — Zapada zmierzch, a ja jestem ostrożna. Gdyby ktoś przyszedł, zamknij drzwi na klucz; jeżeli zobaczę zamknięte drzwi, zaczekam przy potoku, dopóki nie będę mogła bezpiecznie wrócić do domu. Wezmę z sobą Jonasza, żeby mnie bronił.

Pobiegłam nad potok, ale Jonasz był szybszy i czekał na mnie w kryjówce. Dobrze było biec i dobrze było wrócić do domu, do otwartych kuchennych drzwi i ciepłego światła. Gdy weszliśmy z Jonaszem do środka, zarygłowałam drzwi i byliśmy gotowe na nadejście nocy.

— To dobra kolacja — powiedziała Constance, zarumieniona i szczęśliwa. — Usiądź, Merricat. — Przy zamkniętych drzwiach musiała zapalić lampę pod sufitem, lecz stół był nakryty jak należy. — Jutro spróbuję wypolerować srebra — dodała — i musimy przynieść warzywa z ogrodu.

— W sałacie jest pełno popiołu.

— I jutro — podjęła Constance, spoglądając na czarne kwadraty tektury — postaram się pomyśleć o jakichś zasłonach na te okna.

— Jutro ustawię barykady po obu stronach domu. Jutro Jonasz złapie nam królika. Jutro zgadnę dla ciebie, która godzina.

W oddali, przed domem, zatrzymał się jakiś samochód i umilkłyśmy, spoglądając na siebie; teraz, pomyślałam, teraz się przekonamy, w jakim stopniu jesteśmy bezpieczne, i wstałam, żeby się upewnić, czy kuchenne drzwi są zarygłowane. Nie mogłam wyjrzeć na zewnątrz przez tekturę, więc oni także nie mogli zajrzeć do środka. Ktoś zapukał do frontowych drzwi, ale już nie miałam czasu sprawdzić, czy są zamknięte na klucz. Pukanie

trwało krótko, jak gdyby byli pewni, że we frontowej części domu nas nie ma, a potem usłyszałyśmy niepewne kroki w ciemnościach, gdy próbowali obejść dom. Dobiegł mnie głos Jima Clarke'a, a po nim inny, który — jak pamiętałam — należał do doktora Levy'ego.

— Nic nie widzę — odezwał się Jim Clarke. — Ciemno tu jak w studni.

— Widać światło przez szparę w oknie.

Którym?, pomyślałam. W którym oknie została jeszcze szpara?

— Są w środku, to jasne — stwierdził Jim Clarke. — Nie mogą być nigdzie indziej.

— Chcę się tylko dowiedzieć, czy nie są ranne albo chore. Martwi mnie, że mogą tam siedzieć zamknięte i potrzebować pomocy.

— Mam je zabrać z sobą do domu — powiedział Jim Clarke.

Podeszli do kuchennych drzwi; ich głosy rozbrzmiewały teraz bardzo blisko i Constance wyciągnęła do mnie rękę nad stołem. Gdyby się okazało, że mogą zajrzeć do środka, uciekniemy razem do piwnicy.

— Cholera, wszystko jest zabite deskami — odezwał się Jim Clarke, a ja pomyślałam: prawda, och tak, rzeczywiście. Zapomniałam, że w szopie są deski; nie

przyszło mi do głowy nic prócz tektury, o wiele za słabej.

— Panno Blackwood? — zawołał doktor i któryś z nich zastukał do drzwi — Panno Blackwood? To doktor Levy!

— I Jim Clarke! Mąż Helen. Helen bardzo się o was martwi.

— Jesteście ranne? Chore? Potrzebujecie pomocy?

— Helen chce, żebyście przeniosły się do nas. Czekam na was w domu.

— Słuchajcie — zaczął znowu doktor i pomyślałam, że jego głowa musi znajdować się bardzo blisko szyby, niemal jej dotykać. Przemawiał bardzo przyjaznym, ścisłym głosem. — Słuchajcie, nikt nie zamierza was skrzywdzić. Jesteśmy waszymi przyjaciółmi. Przyjechaliśmy, żeby wam pomóc i upewnić się, że nic wam się nie stało. Nie chcemy się naprzykrzać. Możemy nawet przyrzec, że już więcej nie zakłócimy waszego spokoju, jeśli choć raz nam powiecie, że jesteście zdrowe i bezpieczne. Wystarczy jedno słowo.

— Przecież ludzie nie mogą bez przerwy się o was martwić — dodał Jim Clarke.

— Jedno słowo — powtórzył doktor. — Powiedzcie tylko, że wszystko jest w porządku.

Czekali; czułam, że przysuwają twarze do szyby, pragnąc zajrzeć do środka. Constance popatrzyła na mnie zza stołu i uśmiechnęła się lekko, a ja odwzajemniłam jej uśmiech; byliśmy dobrze zabezpieczone i nie mogli nas zobaczyć.

— Słuchajcie — przemówił nieco głośniejszym głosem doktor — jutro jest pogrzeb Juliana. Pomyśleliśmy, że będziecie chciały wiedzieć.

— Przysłano mnóstwo kwiatów — powiedział Jim Clarke. — Spodobałyby się wam. Są tam kwiaty od nas, od Wrightów i Carringtonów. Wydaje mi się, że miałybyście nieco inne zdanie o przyjaciółach, gdybyście zobaczyły te wszystkie kwiaty dla Juliana.

Ciekawe, czemu miałybyśmy zmienić zdanie wiedząc, kto przysłał stryjowi Julianowi kwiaty. Na pewno stryj zagrzebany w kwiatach, zasypany kwiatami, nie przypominał tego stryja Juliana, którego znałyśmy na co dzień. Może sterty kwiatów ogrzeją zmarłego stryja; spróbowałam go sobie wyobrazić martwego, ale pamiętałam tylko, jak wyglądał, gdy spał. Pomyślałam o Clarke'ach, Carringtonach i Wrightach obrzucających naręczami kwiatów biednego, nieodwołalnie martwego stryja Juliana.

— Zrażając przyjaciół niczego nie osiągnięcie. Helen kazała wam powiedzieć...

— Słuchajcie. — Czułam, jak napierają na drzwi. — Nikt nie będzie się wam naprzykrzał. Powiedzcie tylko, czy nic wam nie jest.

— Nie będziemy tu przecież ciągle wracali. Wytrzymałość przyjaciół też ma swoje granice.

Jonasz ziewnął. Constance powoli i ostrożnie odwróciła się twarzą do stołu, w milczeniu wzięła biskwita z masłem i cichutko odgryzła mały kęs. Chciało mi się śmiać, więc zasłoniłam usta dłońmi; Constance jedząca po cichu biskwita wyglądała zabawnie, jak lalka, która je na niby.

— Jasna cholera — powiedział Jim Clarke i zastukał do drzwi. — Jasna cholera — powtórzył.

— Po raz ostatni — zaczął doktor. — Wiemy, że tam jesteście, więc po raz ostatni proszę...

— Och, daj spokój — przerwał Jim Clarke. — Nie warto zdzierać gardła.

— Słuchajcie — podjął doktor i pomyślałam, że musiał przysunąć usta do drzwi — nadejdzie taki dzień, kiedy będziecie potrzebowały pomocy. Któraś z was zachoruje albo się zrani. Będziecie potrzebowały pomocy. A wtedy prędko nabierzecie...

— Zostaw je — powiedział Jim Clarke. — Chodźmy stąd.

Usłyszałam oddalające się kroki, lecz nie byłam pewna, czy to nie podstęp, czy nie udają, że odchodzą, aby później wrócić po cichu i stanąć bezgłośnie i wy-czekująco za drzwiami. Wyobraziłam sobie Constance w środku, cicho jedzącą biskwita, i Jima Clarke'a na ze-wnątrz, nasłuchującego w milczeniu, i zimny dreszcz przebiegł mi po plecach; może już nigdy nie rozlegnie się na świecie żaden dźwięk? A potem przed domem za-warczał samochód i usłyszałyśmy, jak odjeżdża; Con-stance odłożyła z cichym brzękiem widelec na talerz, a ja odetchnęłam i spytałam:

— Jak myślisz, dokąd zabrali stryja Juliana?

— W to samo miejsce — odparła z roztargnieniem Constance. — Do miasta. Merricat... — zaczęła nagle, podnosząc na mnie oczy.

— Tak, Constance?

— Chcę cię przeprosić. Wczoraj w nocy zachowa-łam się podle.

Zastygłam w bezruchu, patrząc na nią. Pamiętałam.

— Byłam bardzo podła — powiedziała. — Nie po-winnam ci przypominać, dlaczego oni wszyscy umarli.

— Więc mi nie przypominaj. — Nie byłam w stanie wyciągnąć ręki, by ująć jej dłoń.

— Chciałam, żebyś o tym zapomniała. Wcale nie chciałam o tym mówić, nigdy, i bardzo mi przykro.

— Wsypałam to do cukru.

— Wiem. Wiedziałam już wtedy.

— Ty nie używałaś cukru.

— Nie.

— Dlatego wsypałam to do cukru.

Constance westchnęła.

— Merricat — powiedziała — nigdy więcej nie będziemy o tym rozmawiały. Nigdy.

Przeszył mnie dreszcz, ale Constance uśmiechnęła się łagodnie i znowu wszystko było dobrze.

— Kocham cię, Constance — powiedziałam.

— A ja ciebie, moja Merricat.

Jonasz siadywał na podłodze i sypiał na podłodze, pomyślałam więc, że i dla mnie nie powinno to być takie trudne. Constance przydałyby się liście i miękki mech do podłożenia pod koc, ale nie mogłyśmy znowu brudzić podłogi. Położyłam swój koc w kącie obok stołka, bo to miejsce znałam najlepiej, a Jonasz wskoczył na stołek i usiadł tam, spoglądając na mnie z góry. Constance leżała na podłodze koło pieca kuchennego; widziałam jej bladą twarz, choć było ciemno.

— Wygodnie ci? — spytałam, a ona parsknęła śmiechem.

— Spędziłam w tej kuchni dużo czasu — powiedziała — ale nigdy jeszcze nie kładłam się na podłodze. Bardzo o nią dbałam, więc chyba powinna przyjąć mnie gościnnie.

— Jutro przyniesiemy z ogrodu sałatę.



X

Nasze dni układały się z wolna w pewien wzór, który przybrał kształt szczęśliwego życia. Rano, tuż po obudzeniu, natychmiast przechodziłam przez hall i sprawdzałam, czy frontowe drzwi są zamknięte na klucz. Najwięcej czynności wykonywałyśmy bardzo wczesnym rankiem, ponieważ o tej porze nigdy nie było nikogo w pobliżu. Nie przyszło nam do głowy, że teraz, gdy bramy były otwarte, a droga dostępna dla wszystkich, pojawią się tu dzieci; pewnego ranka stanęłam przy frontowych drzwiach, wyglądając przez boczną szybkę, i zobaczyłam dzieci bawiące się na naszym trawniku. Może wysłali je rodzice, żeby zbadały drogę i sprawdziły jej dostępność, a może dzieci po prostu muszą się wszędzie bawić. Sprawiały wrażenie nieco skrępowanych, a ich głosy były przyciszone. Pomyślałam, że mogą jedynie pozorować zabawę, bo od dzieci oczekuje się zabawy, lecz w rzeczywistości przysłano je tutaj, aby nas podpatrywały, a ich dziecięcy wygląd to tylko kiepskie przebranie. Obserwując je doszłam do wniosku, że nie są naprawdę przekonujące: poruszały się bez wdzięku i nie zauważyłam, by choć raz spojrzały na nasz dom. Byłam ciekawa, kiedy zakradną się na ganek i zaczną przyciskać twarze do okiennic, próbując zajrzeć przez szpary. Constance stanęła za mną i zerknęła zza mojego ramienia.

— To obce dzieci — powiedziałam. — Nie mają twarzy.

— Mają oczy.

— Udawaj, że to ptaki. Nie widzą nas. Jeszcze o tym nie wiedzą, nie chcą w to uwierzyć, ale nigdy nas nie zobaczą.

— Przypuszczam, że skoro raz przyszły, przyjdą tu znowu.

— Wszyscy obcy będą przychodzili, ale nie uda im się zajrzeć do środka. A teraz poproszę o śniadanie.

Rano w kuchni zawsze było ciemno, dopóki nie otworzyłam drzwi, żeby wpuścić promienie słońca. Jonasz siadał na schodku i zaczynał się myć, a Constance robiła śniadanie i śpiewała. Po śniadaniu przysiadalam koło Jonasza, a Constance sprzątała kuchnię.

Zbudowanie barykad okazało się łatwiejsze, niż przypuszczałam; poradziłam sobie z tym w jedną noc, podczas gdy Constance przyświecała mi latarką. Po obu stronach domu znajdowały się miejsca, w których drzewa i krzewy rosły bardzo blisko ściany, osłaniając tyły i wchodząc na jedyną ścieżkę. Przeniosłam połamane sprzęty z ganku, gdzie zgromadził je Harler, i poukładałam w najważniejszym miejscu jedne na drugich. Oczywiście nie była to prawdziwa przeszkoda; dzieci mogły wspiąć się na nią bez trudu, ale gdyby ktoś spróbował tędy przejść, spadające deski narobiłyby tyle hałasu, że zdążyłybyśmy spokojnie zamknąć i zaryglować kuchenne drzwi. Znalazłam w szopie trochę desek i przybiłam je niezgrabnie do kuchennych drzwi, zasłaniając szybę; nie chciałam jednak wzmacniać nimi barykady, bo wtedy każdy mógłby zobaczyć, jaka jestem nieporadna. Być może, powiedziałam do siebie, postaram się naprawić złamany schodek.

— Z czego się śmiejesz? — spytała Constance.

— Myślę, że jesteśmy teraz na księżycu, ale wyobrażałam go sobie nieco inaczej.

— Mimo wszystko to bardzo miłe miejsce. — Constance przygotowywała śniadanie: jajecznicę, przypiekane biskwity i dżem jeżynowy, który zrobiła pewnego pogodnego lata. — Powinnyśmy przynieść do domu jak najwięcej jarzyn — powiedziała. — Przykro mi, gdy pomyślę o ogrodzie, który czeka, żebyśmy zebrały to, co w nim rośnie. I czułabym się znacznie lepiej, gdybyśmy miały w domu więcej zapasów, bezpiecznie schowanych.

— Wsiądę na mojego skrzydlatego konia i przywiozę ci cynamon, tymianek, szmaragdy i goździki, złotogłów i kapustę.

— I rabarbar.

Idąc do warzywnego ogródka mogłyśmy zostawiać kuchenne drzwi otwarte, ponieważ było stamtąd wyraźnie widać, czy ktoś zbliża się do mojej barykady, i mogłyśmy w razie potrzeby uciec do domu. Dźwigałam koszyk, do którego wkładałyśmy sałatę, wciąż szarą od popiołu, rzodkiewkę, pomidory, ogórki, a później jagody i melony. Kiedyś jadałam owoce i warzywa prosto z grządki, jeszcze mokre od rosy, ale teraz nie chciałam jeść czegoś, co było przyprószone popiołem z naszego spalonego domu. Wiatr zdmuchnął większą część pyłu i sadzy, powietrze było świeże i czyste, lecz ziemia przesiąkła dymem i wydawało mi się, że tak już zostanie na zawsze.

Kiedy poczułyśmy się bezpieczne, Constance otworzyła i wysprzątała pokój stryja Juliana. Zabrała z łóżka pościel i koce, uprała je w kuchennym zlewie i wyniosła na zewnątrz, żeby wyschły na słońcu.

— Co zrobisz z papierami stryja Juliana? — spytałam, a ona zawahała się, opierając ręce o krawędź zlewu.

— Chyba zostawię je w pudełku — odparła wreszcie — a pudełko zaniosę do piwnicy.

— Żeby je przechować razem z przetworami?

— Tak. Stryj byłby zadowolony, że traktujemy jego papiery z szacunkiem. I nie chciałabym, aby podejrzewał, że nikt ich nie przechowa.

— Powinnam sprawdzić, czy frontowe drzwi są zamknięte.

Dzieci często pojawiały się na trawniku, bawiąc się niemrawo i nie patrząc na nasz dom, zrywając się niezgrabnie do biegu i poszturchując nawzajem bez powodu. Ilekroć sprawdzałam frontowe drzwi,

wyglądałam przez szybkę, czy dzieci tam są. Teraz bardzo często widywałam ludzi na naszej ścieżce; skracali sobie drogę stawiając stopy tam, gdzie dotychczas były tylko moje ślady. Miałam wrażenie, że korzystają z tej ścieżki wbrew woli, jak gdyby każdy musiał przemierzyć ją choć raz, aby dowieść, że to jest możliwe, ale zaledwie kilka najbardziej zawziętych i wrogich osób przeszło tamtędy więcej niż raz.

Spędziłam w rozmarzeniu to długie popołudnie, gdy Constance sprzątała pokój stryja Juliana; siedziałam na progu obok śpiącego Jonasza i wpatrywałam się w cichy, bezpieczny ogród.

— Spójrz, Merricat — powiedziała Constance podchodząc do mnie z naręczem ubrań. — Stryj Julian miał dwa garnitury, palto i kapelusz.

— Kiedyś chodził o własnych siłach, mówił nam o tym.

— Przypominam sobie, że pewnego dnia, przed laty, poszedł kupić garnitur, i to zapewne jest jeden z tych dwóch. Nie są bardzo znośzone.

— Jaki strój mógł mieć na sobie tamtego ostatniego dnia? Jaki krawat nosił przy kolacji? Na pewno by chciał, żeby ktoś o tym pamiętał.

Patrzyła na mnie przez chwilę bez uśmiechu.

— Nie sądzę, aby włożył któryś z tych garniturów. Później, kiedy pojechałam po niego do szpitala, był w piżamie i szlafroku.

— Może teraz powinien mieć na sobie któryś ze swoich garniturów.

— Zapewne pochowano go w starym ubraniu Jima Clarke'a. — Constance ruszyła w stronę piwnicy i nagle przystanęła. — Merricat?

— Tak, Constance?

— Czy wiesz, że rzeczy stryja Juliana to jedyne ubrania w tym domu? Moje i twoje spłonęły.

— I te na strychu też.

— Została mi tylko ta różowa sukienka, którą mam na sobie.

Spuściłam oczy.

— A ja jestem ubrana na brązowo.

— Twoją sukienkę trzeba uprać i zacerować. Jak możesz tak niszczyć rzeczy, moja Merricat?

— Uszyję sobie garnitur z liści. Natychmiast. Z guzikami z żółdździ.

— Merricat, bądź poważna. Musimy nosić ubrania stryja Juliana.

— Nie wolno mi dotykać rzeczy stryja. Będę miała podszewkę z mchu na zimę i kapelusz z ptasich piór.

— To wszystko świetnie się nadaje na księżyc, panno Głuptasińska. Na księżycu możesz nawet porosnąć sierścią jak Jonasz. Ale tu, w naszym domu, będziesz chodziła w koszuli stryja Juliana i może w jego spodniach.

— Albo w jego szlafroku i piżamie, tak? Nie, nie wolno mi dotykać rzeczy stryja i wolę ubrać się w liście.

— Wolno ci. Ja ci pozwalam.

— Nie.

Westchnęła.

— No cóż — powiedziała — pewnie zobaczysz, jak ja w nich chodzę. — Umilkła, zaśmiała się, spojrzała na mnie i znowu parsknęła śmiechem.

— Constance?

Powiesiła ubrania stryja Juliana na oparciu krzesła i nie przestając się śmiać poszła do spiżarni, gdzie otworzyła jedną z szuflad. Przypomniałam sobie, czego szuka, i zawtórowałam jej śmiechem. Wróciła i położyła obok mnie stertę obrusów.

— W tym będzie ci do twarzy, wytworna Merricat. Popatrz: jak ci się podobają te żółte kwiatki? A ta ładna czerwono-biała kratka? Obawiam się, że adamaszek jest zbyt sztywny, żeby go wygodnie nosić, a poza tym ten obrus jest pocerowany.

Wstałam i przyłożyłam do siebie obrus w biało- -czerwoną kratę.

— Możesz mi wyciąć dziurę na głowę — powiedziałam. Byłam zadowolona.

— Nie mam żadnych przyborów do szycia. Będziesz musiała związać sznurek w talii albo nosić to luźno, jak togę.

— Adamaszek nada się na płaszcz. Kto prócz mnie nosi płaszcz z adamaszku?

— Merricat, o Merricat — Constance upuściła obrus i otoczyła mnie ramionami. — Co ja zrobiłam mojej małej Merricat? Nie ma domu. Nie ma co jeść. Ubiera się w obrusy. Co ja narobiłam?

— Constance — odezwałam się. — Kocham cię.

— Ubiera się w obrusy jak lalka z gałganów.

— Constance, będziemy żyły bardzo szczęśliwie.

— Och, Merricat — powiedziała, trzymając mnie w objęciach.

— Posłuchaj mnie, Constance. Będziemy żyły bardzo szczęśliwie.

Przebrałam się od razu, nie chcąc zostawiać Constance więcej czasu do namysłu. Wybrałam obrus w czerwono-białą kratkę, w którym Constance wycięła mi otwór na głowę, i obwiązałam się złotym sznurem z frędzlą, odciętym od jadalnianej zasłony. Uznałam, że wyglądam przepięknie. Constance miała na początku smutną minę i odwróciła się posepnie na mój widok, czyszcząc zawzięcie w zlewie moją brązową sukienkę, ale mnie podobała się nowa szata i zaczęłam w niej tańczyć, a Constance po chwili znowu się uśmiechnęła i wreszcie parsknęła głośnym śmiechem.

— Robinson Cruzoe chodził w zwierzęcych skórach — powiadomiłam ją. — Nie posiadał barwnej szaty ze złotym pasem.

— Muszę przyznać, że nigdy jeszcze nie wyglądałaś tak pogodnie.

— Ty będziesz nosiła skóry stryja Juliana, a ja wolę obrus.

— Wydaje mi się, że tego, który masz teraz na sobie, używano przed laty do niedzielnych śniadań na trawie. To oczywiste, że czerwono-biała kratka nie nadawałaby się do jadalni.

— Czasami będę letnim śniadaniem na trawie, czasami będę uroczystą kolacją przy świecach, a czasami...

— Bardzo brudną Merricat. Masz wspaniałą szatę, ale brudną twarz. Straciłyśmy prawie wszystko, młoda damo, ale przynajmniej została nam czysta woda i grzebień.

Tak się szczęśliwie złożyło, że nakłoniłam Constance, aby zabrała z pokoju stryja Juliana jego wózek i przetoczyła przez ogród dla wzmocnienia mojej barykady. Dziwnie było patrzeć na Constance popychającą pusty wózek i przez chwilę usiłowałam zobaczyć na nowo stryja siedzącego z rękoma na podolku, ale jedynymi śladami jego obecności były wytarte miejsca na siedzeniu i chusteczka wsunięta pod poduszkę. Wózek miał być jednak mocnym punktem mojej bary-

kady, onieśmielającym intruzów złowieszczą pustką, którą pozostawił zmarły stryj Julian. Dręczyła mnie myśl, że stryj mógłby zniknąć całkowicie, skoro jego papiery znalazły się w pudełku, jego wózek na barikadzie, szczoteczka do zębów została wyrzucona i nawet jego zapach ulotnił się z pokoju, lecz gdy ziemia zrobiła się miękka, Constance zasadziła krzew żółtej róży na dawnym miejscu stryja na trawniku, a ja poszłam pewnej nocy nad potok i zakopałam nad wodą złoty ołówek stryja z inicjałami, żeby potok zawsze szeptał jego imię. Jonasz nabrał zwyczaju wchodzenia do pokoju stryja, dokąd przedtem w ogóle nie zaglądał, ale ja nie przekraczałam jego progu.

Helen Clarke zjawiała się pod naszym domem jeszcze dwukrotnie, stukając, wołając i prosząc nas o odpowiedź, lecz siedzieliśmy cicho i gdy przekonała się, że nie może obejść domu ze względu na moją barikadę, zapowiedziała nam zza frontowych drzwi, że już więcej nie przyjdzie — i nie przyjechała. Pewnego wieczoru, być może tego samego dnia, kiedy Constance zasadziła różę stryja Juliana, siedząc przy kolacji usłyszałyśmy ciche pukanie do frontowych drzwi. Było o wiele za ciche jak na Helen Clarke. Wstałam od stołu i bezszelestnie pobiegłam sprawdzić, czy drzwi są zamknięte, a zaciekawiona Constance poszła za mną. Stanęłyśmy blisko drzwi, nasłuchując w milczeniu.

— Panno Blackwood? — odezwał się czyjś stłumiony głos; byłam ciekawa, czy ten ktoś podejrzewa, że jesteśmy tak blisko. — Panno Constance? Panno Mary Katherine?

Na zewnątrz nie było jeszcze zupełnie ciemno, ale w środku widzieliśmy się nawzajem niewyraźnie: dwie białe twarze na tle drzwi.

— Panno Constance? — powtórzył głos. — Proszę posłuchać.

Miałam wrażenie, że przesuwa głowę to w jedną, to w drugą stronę, aby go nie zauważono.

— Proszę posłuchać. Mam tu kurczaka. — Zapukał delikatnie do drzwi. — Mam nadzieję, że pani mnie słyszy — powiedział. — Mam tu kurczaka. Moja żona go oporządziła i upiekła. Dała też torbę ciastek i placek. Mam nadzieję, że pani mnie słyszy.

Widziałam rozszerzone ze zdumienia oczy Constance. Wpatrywałyśmy się w siebie.

— Naprawdę mam nadzieję, że pani słucha, panno Blackwood. Połamałem jedno z pani krzeseł i bardzo mi przykro. — Jeszcze raz, bardzo cicho, zapukał do drzwi. — No cóż — powiedział — postawię koszyk tu, na progu. Mam nadzieję, że pani mnie słyszała. Dobranoc.

Przez chwilę nasłuchiwałyśmy cichych, oddalających się kroków, a potem Constance zapytała:

— Co zrobimy? Otworzymy drzwi?

— Później — odparłam. — Wyjdę, kiedy będzie zupełnie ciemno.

— Ciekawe, jaki to placek. Myślisz, że jest równie smaczny jak moje?

Skończyłyśmy kolację i czekałyśmy, dopóki nie upewniłam się, że nikt nie zobaczy, jak otwieram frontowe drzwi. Przeszłyśmy przez hall, odryglowałam drzwi i wyjrzałam. Koszyk stał na progu, przykryty serwetką. Wniosłam go do środka i podałam Constance, która zabrała go do kuchni, podczas gdy ja zamykałam drzwi.

— Z jagodami — odezwała się, kiedy nadeszłam.

— Całkiem niezły, jeszcze ciepły.

Wyjęła kurczaka owiniętego w serwetkę oraz paczuszkę z ciastkami, dotykając ich czule i delikatnie.

— Wszystko jest jeszcze ciepłe — powiedziała.

— Musiała je upiec tuż po kolacji, a on od razu je przyniósł. Ciekawe, czy upiekła dwa placki, jeden dla siebie, a jeden dla nas. Zapakowała wszystko, zanim wystygło, i kazała mężowi zanieść do nas. Te ciastka są za mało kruche.

— Odniosę koszyk na ganek, żeby wiedzieli, że go znalazłyśmy.

— Nie, nie! — Constance złapała mnie za ramię.

— Muszę najpierw wyprać serwetki, bo co ona by sobie o mnie pomyślała?

Czasami przynosili domowy bekon, owoce albo własne przetwory, które nigdy nie dorównywały przetworom Constance. Przeważnie przynosili pieczone kurczęta; niekiedy tort albo placek, często ciastka, rzadziej sałatkę ziemniaczaną lub surówkę z kapusty. Raz ktoś przyniósł garnek wołowego gulaszu, który Constance przyrządziła na nowo wedle własnego przepisu; innym razem była to prażona fasola albo makaron.

— Jesteśmy ich największą kolacją dobroczynną — stwierdziła kiedyś Constance, patrząc na bochenek domowego chleba, który właśnie przyniosłam.

Zawsze zostawiano te rzeczy na progu, wieczorami i w milczeniu. Doszłyśmy do wniosku, że kiedy mężczyźni wracali z pracy, kobiety wręczały im przygotowane wcześniej koszyki; może przychodzili po ciemku, bo nie chcieli, żeby ich rozpoznano, i każdy pragnął ukryć ten fakt przed innymi, jak gdyby przynoszenie nam jedzenia było rzeczą wstydliwą, której nie należy robić publicznie. Constance stwierdziła, że potrawy pochodzą od rozmaitych kobiet.

— Ta, na przykład — wyjaśniła mi pewnego razu, kosztując fasoli — używa zbyt wiele keczupu; a ta poprzednia dodała więcej mela-sy.

Kilkakrotnie w koszyku znajdowała się karteczka: „To za naczynia”, „Przepraszamy za zasłony” albo „Przykro nam z powodu harfy”. Zawsze odstawiałyśmy koszyk na miejsce i nigdy nie otwierałyśmy frontowych drzwi, dopóki nie było zupełnie ciemno i póki nie upewniliśmy się, że nikogo nie ma w pobliżu. Później zawsze skrupulatnie sprawdzałam, czy frontowe drzwi są zamknięte.

Uświadomiłam sobie, że nie wolno mi już chodzić nad potok; przebywał tam teraz stryj Julian i zanadto oddalałam się od Constance. Nigdy nie wybierałam się dalej niż na skraj lasu, a Constance wychodziła tylko do ogródka warzywnego. Nie było mi wolno nic więcej zakopywać ani dotykać kamienia. Codziennie oglądałam deski na kuchennych oknach i gdy zauważyłam szczelinę, przybijalam tam nową deskę. Każdego ranka sprawdzałam frontowe drzwi, a Constance sprzątała kuchnię. Spędzałyśmy dużo czasu przy frontowych drzwiach, zwłaszcza po południu, kiedy przychodziło najwięcej ludzi. Siedziałyśmy po obu stronach drzwi, wyglądając przez wąskie szybki, które prawie całkowicie zasłoniłam tekturą, zostawiając dla każdej z nas jedynie małą dziurkę, a z zewnątrz nikt nie mógł zajrzeć. Obserwowałyśmy bawiące się dzieci i przechodzących dorosłych, słyszałyśmy ich głosy i wszystko to byli obcy ludzie o wielkich, wytrzeszczonych oczach i złośliwych, rozdziawionych ustach. Pewnego dnia zjawiała się grupa na rowerach: dwie kobiety, mężczyzna i dwoje dzieci. Zostawili rowery na podjeździe i rozłożyli się na trawniku przed domem, skubiąc źdźbła trawy i rozmawiając. Dzieci biegały po podjeździe i wokół drzew i krzewów. Dowiedziałyśmy się tego dnia, że pędy winorośli zarastają spalony dach, ponieważ jedna z kobiet zerknęła z ukosa na nasz dom i stwierdziła, że dzikie wino już prawie przesłoniło ślady pożaru. Rzadko patrzyli wprost na dom, przeważnie spoglądali kątem oka, przez ramię albo zasłaniając palcami twarz.

— Słyszałam, że to był kiedyś piękny stary dom — powiedziała jedna z kobiet siedzących na naszym trawniku. — Prawdziwa osobliwość tej okolicy.

— Teraz wygląda jak grobowiec — zauważyła druga.

— Szszsz — pierwsza kobieta wskazała dom ruchem głowy. — Słyszałam — podjęła głośno — że mieli wspaniałe schody. Rzeźbione, sprowadzone z Włoch.

— One cię nie słyszą — powiedziała z rozbawieniem ta druga. — A jeśli nawet, to co z tego?

— Szszsz.

— Nikt nie wie na pewno, czy tam w środku ktoś jest. Miejscowi opowiadają różne bajdy.

— Szszsz. Tommy! — zawołała do jednego z dzieci. — Nie podchodź do tych schodków.

— Dlaczego? — spytało dziecko, cofając się.

— Bo tam mieszkają panie, które sobie tego nie życzą.

— Dlaczego? — powtórzyło dziecko, zatrzymując się u stóp schodów i zerkając na frontowe drzwi.

— Te panie nie lubią małych chłopców — powiedziała druga kobieta. Należała do tych złych; widziałam z boku jej usta i przypominała mi węża.

— A co by mi zrobiły?

— Złapałyby cię i nakarmiły zatrutymi cukierkami. Słyszałam o wielu niegrzecznych chłopcach, którzy podeszli za blisko i nikt ich już więcej nie zobaczył. Bo one chwytają małych chłopców, a potem...

— Szszsz. Proszę cię, Ethel.

— A czy lubią dziewczynki? — Drugie dziecko stanęło obok kobiet.

— Nienawidzą i chłopców, i dziewczynek. Różnica polega na tym, że dziewczynki zjadają.

— Przestań, Ethel. Straszysz dzieci. To nieprawda, moje skarby, ona tylko się z wami droczy.

— Zawsze wychodzą w nocy — powiedziała zła kobieta, mierząc chłopca i dziewczynkę paskudnym spojrzeniem — i w ciemnościach polują na małe dzieci.

— Tak czy owak — odezwał się nagle mężczyzna — wolałbym, żeby dzieciaki nie zbliżały się za bardzo do tego domu.

Charles Blackwood wrócił tylko raz. Przyjechał z kimś samochodem w pewne późne popołudnie, które spędzałyśmy na obserwacji. Wszyscy obcy już odeszli i Constance właśnie poruszyła się, mówiąc: „Pora nastawić ziemniaki”, kiedy na podjazd zajechał jakiś samochód — i znowu znieruchomiała. Z samochodu wysiadł Charles z jakimś mężczyzną i podeszli prosto do schodków, spoglądając na drzwi, choć nie mogli nas dostrzec. Przypomniałam sobie pierwsze przybycie Charlesa, kiedy stał i tak samo patrzył na nasz dom, ale teraz wiedziałam, że nigdy już nie wejdzie do środka. Sięgnęłam ręką do zamka, upewniając się, że jest zatrzaśnięty, a Constance odwróciła się do mnie i skinęła głową; ona również wiedziała, że Charles już nigdy tu nie wejdzie.

— Widzi pan? — odezwał się Charles po drugiej stronie, u stóp schodów. — Dom stoi, tak jak mówiłem. Teraz, taki zarośnięty dzikim winem, wygląda trochę lepiej. Ale dach się spalił, a w środku zostały gołe ściany.

— Czy te panie tam są?

— No pewnie — zaśmiał się Charles, a ja przypominałam sobie jego śmiech i szeroką, natarczywą, białą twarz, i zza drzwi życzyłam

mu śmierci. — Jasne, że tam są. Razem z całym cholernym majątkiem.

— I pan to wie na pewno?

— Nikt nawet nie policzył tej forszy. Jest zakopana dosłownie wszędzie, mają jej pełny sejf i Bóg wie, gdzie jeszcze ją pochowały. W ogóle nie wychodzą, siedzą w domu razem z całą forsą.

— Słuchaj pan — powiedział ten drugi — one pana znają, no nie?

— Jasne. Jestem ich kuzynem. Przyjechałem tu kiedyś w odwiedziny.

— Myśli pan, że jest jakaś szansa, żeby pan namówił którąś na rozmowę? Żeby podeszła do okna albo co? Mógłbym zrobić zdjęcie.

Charles zaczął się zastanawiać. W zamyśleniu spojrział na dom, a potem na swego towarzysza.

— Jeśli pan to sprzeda do jakiegoś pisma czy gdziekolwiek bądź, dostanę połowę?

— Pewnie, że tak. Obiecuję.

— No to spróbuję — powiedział Charles. — Niech pan się schowa za samochodem. Na pewno nie wyjdą, jeżeli zobaczą obcego.

Mężczyzna podszedł do auta, wyjął aparat fotograficzny i przycupnął z tyłu tak, by nie było go widać.

— Dobra! — zawołał, a Charles zaczął wchodzić po schodkach, kierując się ku frontowym drzwiom.

— Connie? — odezwał się. — Hej, Connie! To ja, Charles. Wróciłem.

Spojrzałam na Constance i pomyślałam, że po raz pierwszy widzi prawdziwego Charlesa.

— Connie?

Wiedziała teraz, że Charles jest duchem i demonem, jednym z obcych.

— Zapomnijmy o wszystkim, co zaszło — powiedział Charles. Zbliżył się do domu, przemawiając miłym głosem, w którym porzmiewała nuta prośby.

— Bądźmy znowu przyjaciółmi.

Widziałam jego stopy. Jedna z nich bez przerwy stuknęła o podłogę ganku.

— Nie wiem, co masz mi do zarzucenia — podjął.

— Długo czekałem na znak od ciebie, że mogę wrócić. Jeżeli czymś cię obraziłem, to bardzo mi przykro.

Żałowałam, że Charles nie może zajrzeć do środka i zobaczyć nas siedzących po obu stronach drzwi, obserwujących jego stopy i słuchających błagalnego głosu, który przemawiał gdzieś nad naszymi głowami.

— Otwórz drzwi, Connie — poprosił łagodnym tonem. — Przecież to ja, twój kuzyn Charles.

Constance spojrzała w górę, gdzie zapewne znajdowała się jego twarz, i uśmiechnęła się nieprzyjemnie. Pomyślałam, że musiał to być uśmiech przeznaczony specjalnie na powrót Charlesa.

— Odwiedziłem dziś rano grób starego Juliana

— powiedział Charles. — Wróciłem, żeby pójść na jego grób i żeby cię jeszcze raz zobaczyć. — Odczekał chwilę i dodał lekko zalamującym się głosem: — Położyłem kwiaty... wiesz... na grobie staruszka. Był przemiłym starszym panem i zawsze traktował mnie tak życzliwie. '

Za nogami Charlesa dostrzegłam tamtego drugiego mężczyznę, który wyszedł z aparatem zza samochodu.

— Słuchaj pan! — zawołał. — Szkoda zachodu. Nie mogę tracić całego dnia.

— Nie rozumie pan? — Charles odwrócił się w jego stronę, lecz nadal przemawiał nieco drżącym głosem.

— Muszę ją jeszcze raz zobaczyć. To wszystko stało się przeze mnie.

— Co?

— A jak pan sądzi, dlaczego dwie stare panny zamknęły się w domu takim jak ten? Bóg mi świadkiem

— oznajmił Charles — że nie chciałem, by sprawy przybrały taki obrót.

Pomyślałam, że Constance nie wytrzyma i coś powie albo przynajmniej wybuchnie śmiechem, więc ostrzegawczo dotknęłam jej ramienia, ale ona nawet na mnie nie spojrzała.

— Gdybym tylko mógł z nią porozmawiać

— powiedział Charles. — Może pan w każdym razie sfotografować dom i mnie na jego tle. Albo mnie stukającego do drzwi. Mógłbym jak szalony dobijać się do drzwi.

— Jeżeli o mnie chodzi, mógłby pan nawet leżeć na progu i umierać z miłości — odparł tamten. Podeszedł do samochodu i rzucił aparat na siedzenie. — To strata czasu.

— Tyle pieniędzy... Connie! — zawołał Charles.

— Na miłość boską, otwórz wreszcie te drzwi!

— Wie pan co? — odezwał się mężczyzna z samochodu. — Założę się, że już nigdy pan nie zobaczy tych srebrnych dolarówek.

— Connie — powtórzył Charles — sama nie wiesz, jak bardzo mnie krzywdzisz. Nie zasłużyłem na takie traktowanie. Proszę cię, Connie.

— Chce pan wracać do miasta piechotą? — zapytał mężczyzna i zatrzaskał drzwiczki samochodu.

Charles odwrócił się i odszedł od drzwi, ale po chwili przystanął.

— W porządku, Connie — powiedział — skoro tak, to cześć. Jeśli teraz odejdę, już nigdy mnie nie zobaczysz. Mówię poważnie, Connie.

— Ruszam! — zawołał mężczyzna z samochodu.

— Naprawdę mówię poważnie, Connie. — Charles zaczął schodzić, oglądając się przez ramię. — Widzisz mnie ostatni raz. Odchodzę. Ale wystarczy jedno słowo, a zostanę.

Zaczęłam się obawiać, że wcale sobie nie pójdzie. Nie wiedziałam, czy Constance zdoła się powstrzymać do chwili, aż on zejdzie ze schodów i wsiądzie do samochodu.

— Żegnaj, Connie — rzucił z dołu i ruszył powoli w stronę auta. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar wyjąć chusteczkę i wytrzeć oczy albo nos, ale ten drugi mężczyzna zawołał: „Pośpiesz się pan!” — i Charles obejrzał się raz jeszcze, uniósł ze smutkiem rękę, po czym wsiadł do auta. Wtedy Constance parsknęła śmiechem, a ja jej zawtórowałam i zauważyłam, że Charles nagle odwrócił głowę, jakby coś usłyszał; ale samochód już ruszył i potoczył się drogą, a my w mrocznym hallu padłyśmy sobie w objęcia, zaśmiewając się do łez. Nasz śmiech odbijał się echem od zniszczonych schodów i wlatywał ku niebu.

— Jestem taka szczęśliwa — wydyszała w końcu Constance. — Merricat, jestem taka szczęśliwa.

— Mówiłam, że spodoba ci się na księżycu.

Pewnej niedzieli, po nabożeństwie, Carringtonowie zatrzymali samochód przed naszym domem i siedzieli w milczeniu, patrząc na drzwi, jak gdyby przypuszczali, że wyjdziemy, jeśli potrzebujemy czegoś właśnie od nich. Myślałam czasami o bawialni i jadalni, zamkniętych na zawsze, i o ślicznych przedmiotach należących do naszej matki, które leżały tam rozsypane, pokryte coraz gęstszym, miękkim kurzem. W domu pojawiły się teraz nowe punkty graniczne, razem z nowym porządkiem dni. Z naszych niegdyś tak pięknych schodów pozostał jedynie wykrzywiony, nadłamany fragment, który mijaliśmy codziennie i z którym zawarłyśmy znajomość równie bliską, jak swego czasu z całym schodami. Deski przybite do kuchennych okien należały do nas, stały się częścią domu i pokochałyśmy je. Byłyśmy bardzo szczęśliwe, choć Constance lękała się nieustannie, że rozbijemy jedną z naszych dwóch filiżanek i któraś z nas będzie zmuszona pić z filiżanki bez uszka. Miałyśmy znajome miejsca: krzesła przy stole, łóżka i punkty obserwacyjne przy frontowych drzwiach. Constance prała czerwono-biały obrus i koszule stryja Juliana, które nosiła, a gdy suszyły się w ogrodzie, chodziłam w obrusie z żółtym szlaczkiem, który wyglądał bardzo ładnie w zestawieniu z moim złotym paskiem. Stare brązowe buty matki stały sobie spokojnie w kącie kuchni, ponieważ w ciepłe letnie dni biegałam bosą jak Jonasz. Constance nie lubiła zrywać zbyt wielu kwiatów, lecz na kuchennym stole zawsze stał wazon z różami albo stokrotkami, choć Constance nigdy nie zrywała róż z krzewu stryja Juliana.

Myślałam czasami o moich sześciu niebieskich kulkach, ale teraz nie wolno mi było chodzić na łąkę i doszłam do wniosku, że być może te zakopane kulki miały ochraniać dom, który już nie istniał, i nic ich

nie łączy z domem, w którym mieszkamy teraz i jesteśmy bardzo szczęśliwe. Moimi nowymi magicznymi osłonami były zamki na drzwiach, deski na oknach, barykady przy ścianach domu. W niektóre wieczory dostrzegaliśmy w mroku poruszające się cienie na trawniku i słyszałyśmy szepty.

— Przestań, może one patrzą.

— Myślisz, że widzą po ciemku?

— Podobno widzą wszystko.

Później rozlegał się śmiech, który odpływał w ciepły mrok.

— Niedługo nazwą to miejsce Aleją Zakochanych — powiedziała Constance.

— Niewątpliwie na pamiątkę Charlesa.

— Charles najlepiej by zrobił — zaczęła Constance poważnie i z namysłem — gdyby strzelił sobie w głowę na naszym podjeździe.

Słuchając, co mówią obcy, dowiedziałyśmy się, że — jeśli w ogóle patrzyli — widzieli tylko zniszczoną budowlę, zarośniętą dzikim winem, w której prawie nie dawało się rozpoznać domu. Był miejscem w połowie drogi między miasteczkiem a autostradą, stał pośrodku ścieżki, lecz nikt nigdy nie dostrzegł naszych oczu, spoglądających zza winorośli.

— Nie wchodzić na schodki — ostrzegały się nawzajem dzieci — bo złapią cię panie tego domu.

Pewnego razu jakiś chłopczyk, namówiony przez inne dzieci, stanął przy schodkach zwrócony twarzą w stronę domu, drżący, bliski płaczu i gotów do ucieczki, po czym wykrzyknął łamiącym się głosem:

— Merricat, rzecze Connie, chcesz herbaty kroplę, dwie?

I umilkną, a za nim wszystkie dzieci.

Tego samego wieczoru znalazłyśmy na progu koszyk pełen świeżych jajek, z karteczką: „On wcale nie chciał, proszę pani.”

— Biedne dziecko — powiedziała Constance, wkładając jajka do miski, którą zamierzała wstawić do chłodziarki. — W tej chwili pewnie chowa się pod łóżkiem.

— Może dostał porządne lanie jako nauczkę.

— Zjemy sobie omlet na śniadanie.

— Ciekawe, czy mogłabym zjeść dziecko, gdybym miała okazję.

— Wątpię, czy potrafiłabym je ugotować — stwierdziła Constance.

— Żal mi tych obcych — powiedziałam. — Tak wielu rzeczy muszą się bać.

— No cóż — odparła Constance — ja boję się pajaków.

— Już my z Jonaszem dopilnujemy, żeby żaden pajak nie zbliżył się do ciebie. Och, Constance — westchnęłam — jakie my jesteśmy szczęśliwe.